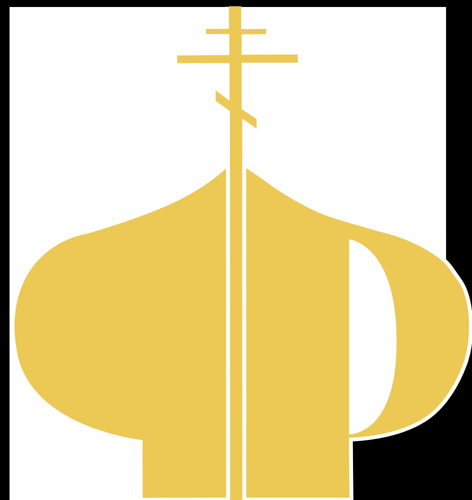


ISSN 1230-1078
Nr indeksu 371416

- Prawosławny Krym
- Wielki Tydzień w Tarnowie
- Na augustowskiej ziemi
- Chrześcijańska Bruksela

PRZEGLĄD PRAWOSŁAWNY

Miesięcznik ogólnopolski
Nr 5 (383) maj 2017
cena 6 zł (w tym 5% VAT)

17 kwietnia na Paschę zmarł arcybiskup wrocławski i szczeciński JEREMIASZ

Więcej na s. 2-33

Fot. Anna Radziukiewicz

W numerze



Na Paschę odszedł Nasz Władyka

17 kwietnia 2017 roku o 1.50 w Paschalny Poniedziałek po długiej i ciężkiej chorobie w Szpitalu Klinicznym we Wrocławiu w 74. roku życia zasnął w Panu Najprzewielebniejszy Jeremiasz, arcybiskup wrocławski i szczeciński, wieloletni prezes Polskiej Rady Ekumenicznej, rektor Chrześcijańskiej Akademii Teologicznej, współtwórca wrocławskiej Dzielnicy Wzajemnego Szacunku Czterech Świątyń, wybitny teolog prawosławny i działacz ekumeniczny – Nasz Władyka.

WROCŁAW

Ciało zmarłego hierarchy około piątej rano zostało wystawione w cerkwi katedralnej Narodzenia Przenajświętszej Bogarodzicy we Wrocławiu, gdzie przez prawie trzydzieści cztery lata niósł pasterską służbę. Ze zmarłym Władyką w czasie Liturgii Paschalnego Poniedziałku, odprawionej przez *locum tenens* biskupa supraskiego **Grzegorza**, żegnało się bardzo wielu wiernych, duchownych i świeckich. Cały czas czytano modlitwy, a o drugiej w nocy odsłużono Liturgię.

Uroczystości ostatniego pożegnania Władyki **Jeremiasza** z wrocławską katedrą, diecezją wrocławsko-szczecińską i Wrocławiem rozpoczęły się następnego dnia o dziewiątej jutrznią. Wzięły w nich udział tłumy wiernych, duchowni, dostojnicy innych Kościołów, przedstawiciele władz. Liturgii w asyście licznie przybyłych duchownych przewodniczył władyka Grzegorz.

Pożegnaniu Władyki Jeremiasza we wrocławskiej katedrze towarzyszył niezwykle uroczysty, paschalny śpiew chóru, składającego się w tym dniu z chórzystów z całej diecezji, kierowanego przez **Piotra Kuropkę**. *Chrystos Woskriese* obok cerkiewnosłowiańskiego śpiewano po grecku i łacinie.



Po Liturgii odsłużono panichidę. Następnie o. mitrat **Jerzy Szczur**, proboszcz wrocławskiej parafii, podziękował biskupowi Grzegorzowi za przybycie do Wrocławia i przewodniczenie nabożeństwom Wielkiego Tygodnia oraz Liturgii Paschalnej. Podziękowania skierował również do przybyłych gości, metropolitów wrocławskich Kościoła rzymskokatolickiego, księdza kardynała **Henryka Gulbinowicza**, księdza arcybiskupa **Józefa Kupnego** oraz księdza arcybiskupa seniora **Mariana Gołębiewskiego**, biskupów Kościoła ewangelicko-augsburskiego diecezji wrocławskiej, **Waldemara Pytla** oraz biskupa seniora **Ryszarda Bogusza**, księdza **Maksymiliana** ze zgromadzenia o. paulinów przy kościele św. Mikołaja w Dzielnicy Wzajemnego Szacunku, księdza **Andrzeja Michaliszyna** z wrocławskiej parafii greckokatolickiej, księdza profesora **Michała Czajkowskiego** – przyjaciela Władyki Jeremiasza, prezydenta miasta **Rafała Dutkiewicza**, wiceprezydenta **Adama Grehla**, przedstawicieli zaprzyjaźnionej Dzielnicy Wzajemnego Szacunku Czterech Świątyń, **Aleksandra Gleigewichta** – przewodniczącego Gminy Wyznaniowej Żydowskiej i jednego ze współtwórców Fundacji Dzielnicy Czterech Świątyń **Jerzego Kichlera**, **Damiana Mrozka** doradcy wojewody dolnośląskiego oraz duchownych diecezji wrocławsko-szczecińskiej, bliskich sercu zmarłego sióstr monasteru w Turkowicach i wiernych.

Proboszcz wrocławskiej katedry przybliżył zebranym życiorys zmarłego Władyki (podajemy go w dalszej części wspomnień o Władyce). – Obejmując w 1983 roku katedrę wrocławską rozpoczął długi i żmudny proces budowania i umacniania prawosławia na ziemiach Polski Zachodniej – podkreślił o. Jerzy. Diecezja wrocławsko-szczecińska znalazła się wówczas w bardzo trudnej sytuacji. Nieobsadzone parafie wymagały szybkich, przemyślanych decyzji. Trzydzieści cztery lata duszpasterskiej posługi to konsekwentny okres stabilizacji i rozwoju Cerkwi. Zaowocował budową i powstaniem trzynastu świątyń oraz erygowaniem dziesięciu parafii. To czas odrodzenia duchowego. Większość duchownych dzisiejszej diecezji otrzymała święcenia kapłańskie lub diakońskie z rąk Władyki Jeremiasza. Niezwykle ważnym aspektem jego pracy duszpasterskiej była praca z młodzieżą, w której widział przyszłość i siłę Cerkwi. – Najważniejsze to ziarno, które zasiewał w sercach ludzi.

– Dzień dzisiejszy jest dniem bólu, dlatego że hierarcha i ojciec żegna się ze swymi dziećmi. Jest to moment najtrudniejszy w wymiarze ludzkim. Jednak optymizm chrześcijański mówi nam, że Władyka, odchodząc, zostaje z nami. On nie był. On jest wciąż i będzie wciąż, był i będzie służył na innym poziomie, w innym wymiarze – wygłosił w homilii biskup Grzegorz. – Jest to człowiek szerokiego wymiaru, głębokiego intelektu i duchowości, wielkiej pokory. Władyka Grzegorz, powołując się na słowa Ojców Kościoła, szczególnie św. Jana Chryzostoma, powiedział, że każdy prawdziwy hierarcha w swoim sercu mieści cały lud Boży, który jest mu powierzony. – Wy wszyscy, bracia i siostry, mieściliście się w sercu Władyki i nikomu tam nie było ciasno. Każdy miał swoje miejsce. (…) Władyka codziennie mógł oddać życie za każdego z was i mógł to uczynić wielokrotnie w ciągu dnia. To jest najpiękniejszy, największy wymiar posługi hierarchy i każdego kapłana. I my znaliśmy właśnie takiego Władykę, który i w dzień, i w nocy modlił się także za nas i za cały świat. To napawa nas wielką nadzieją. To że Władyka odszedł właśnie w paschalny dzień mówi nam o tym, jakie było Jego życie. (…) Widziałem jego wielki, wielki ból. Jego wielkie cierpienie. Rzeczywiście On wszedł na Krzyż. On przeżył Wielki Piątek, żeby w radości duchowej odczuć Paschę Chrystusową. Bóg dał mu takie szczęście.

Władyka Grzegorz przypomniał świętego Apostoła Pawła, który prosił o śmierć. Przypomniał, że chrześcijanie na przestrzeni wieków na pogrzeby przywdziewali szaty białe, będące oznaką głębokiej chrześcijańskiej radości. – Władyko, wiemy, że Bóg dał nam być bardzo blisko. Nie zapominajcie nas w swoich świętych modlitwach, kiedy staniecie przed tronem Najwyższego. Wspominajcie nas, abyśmy także ruszyli drogą prawdziwego chrześcijaństwa, abyśmy pokonywali zło i egoizm. Życzeniem byłoby, abyśmy wszyscy razem spotkali się w tym miejscu, gdzie nie ma bólu, smutku, w Królestwie Niebiańskim. *Błażen put' w on'że idieszy, jako ugotova sia Tiebie miesto upokojenja,*







(Błogosławiona droga, którą dzisiaj idziesz, gdyż tam przygotowano Tobie miejsce odpoczynku.) *Amin. Chrystos Woskriesie!* – powiedział na zakończenie władyka Grzegorz.

– Jakkolwiek patrzymy na jego odejście z tego świata do wieczności w perspektywie wiary i ufamy, że Chrystus, którego głosił tutaj na ziemi i niebie to śmierć Jego Ekscelencji arcybiskupa Jeremiasza jest ogromną stratą dla naszego miasta i całego Dolnego Śląska – zwrócił się do zebranych w imieniu Kościoła rzymskokatolickiego metropolita wrocławski, arcybiskup Józef Kupny. – Pan Jezus, rozstając się ze swoimi uczniami, obiecał, że tu wróci i każdego zabierze do siebie w jedno miejsce, kiedy będzie dla niego przygotowane. Stąd mocno wierzę, że to nie przyszła śmierć. Przyszedł Chrystus, żeby zabrać Jego Ekscelencję do siebie, bo miejsce dla niego było już gotowe. Uczynił to w chwili, kiedy wszyscy chrześcijanie na różne sposoby, ale jednak wspólnie, w tym samym czasie świętowali Wielkanoc i śpiewali radosne Alleluja. To piękne podsumowanie wieloletniej posługi świętej pamięci arcybiskupa Jeremiasza we Wrocławiu i w całej naszej ojczyźnie, której jednym z najważniejszych rysów była działalność ekumeniczna. Arcybiskupie Jeremiaszu, odchodzisz od nas, ale Twoje dzieło pozostaje wciąż żywe. Słowa, które zaszczepiłeś w wielu Dolnoślązakach, będą nadal żyły, a inicjatywy, które rozpocząłeś, wciąż będą się rozwijały. Wspieraj nas w Domu Ojca swoją modlitwą, by Wrocław i Dzielnica Wzajemnego Szacunku wciąż pozostawały dla całego świata przykładem, jak można żyć i tworzyć jedność w różnorodności. Spoczywaj w pokoju.

– Jezus Chrystus śmierć zniszczył, a żywot i nieśmiertelność najjaśniej wywiódł przez Ewangelię – słowami świętego apostoła Pawła pożegnał zmarłego Władykę biskup Waldemar Pytel w imieniu diecezji wrocławskiej Kościoła luterańskiego. – Pragnę pożegnać, tu ośmielę się użyć słowa, przyjaciela Kościoła ewangelickiego, przede wszystkim człowieka wielkiego formatu, wielkiej kultury osobistej, człowieka wielkiej wiary, dla którego zgłębienie teologii Krzyża, która jest nam tak bliska, było czymś ważnym, istotnym w ekumenicznym dialogu. Ekscelencjo, Księże Arcybiskupie, dziękujemy Ci za Twoje otwarte serce. Dziękujemy Ci za Twoją wiarę, Dziękujemy Ci za Twoją miłość, którą otaczałeś każdego napotkanego człowieka. Będzie nam Ciebie brakowało, ale też w nadziei Zmartwychwstania Ciebie żegnamy, bo nasz Zbawiciel powiedział: Błogosławieni, którzy się smucą, albowiem oni będą pocieszeni. Spoczywaj w pokoju!

– Dzisiaj Wrocław żegna arcybiskupa Jeremiasza. W poczuciu wspólnoty uczestniczymy w tym nabożeństwie, aby modlić się, a jednocześnie wyrazić wdzięczność za świadectwo życia księdza arcybiskupa Jeremiasza – powiedział wiceprezydent Wrocławia, Adam Grehl. – Byliśmy świadkami Jego troski o człowieka, o Kościół, o

miasto Wrocław, o ojczyznę, o świat. Dawał świadectwo i budował ducha Wrocławia. Wiceprezydent Grehl wspomniał jego zaangażowanie w tworzeniu Dzielnicy Wzajemnego Szacunku Czterech Świątyń. – Siłą Wrocławia są ludzie. Poprzez swoją aktywność, postawę, bogactwo ducha budują siłę miasta. Przez lata ksiądz arcybiskup w sposób bardzo skromny, nie narzucający swojej woli, towarzyszył nam w chwilach radości i troski. Zawsze otwarty, zawsze życzliwy. W różnych momentach okazywał nam zainteresowanie. Bardzo serdecznie dziękujemy. Jeszcze parę dni temu przysłał życzenia pełne mądrych słów. Zachowamy je w pamięci, mając głębokie przekonanie, że te dzieła i to dobro z udziałem księdza arcybiskupa Jeremiasza będzie trwało, a ta myśl będzie nas motywować do tego, aby to dobre, które jest udziałem nas wszystkich pielęgnować, rozkwitać.



– Jesteśmy w ogromnym smutku i żalu z powodu wielkiej straty, jaką ponieśliśmy. Jeszcze niedawno rozmawiałem z Jego Ekscelencją księdzem arcybiskupem, zawsze szanującym drugiego, pełnym życzliwości, ciepła. Prawie dwadzieścia pięć lat temu, gdy szukaliśmy sprzymierzeńców do zorganizowania dzielnicy, otrzymaliśmy zaproszenie do parafii prawosławnej. Byłem pod ogromnym wrażeniem skromności, pobożności, wiedzy religijnej i społecznej. (…) Jeszcze dwadzieścia pięć lat temu było niemożliwe, aby zaproszono Żyda do uczestniczenia w Liturgii prawosławnej, aby duchowny prawosławny uczestniczył w modlitwach w synagodze. Dzisiaj wydaje się to oczywiste. Zawdzięczamy to, i dzielnica, i miasto Wrocław, Władyce Jeremiaszowi – przemawiał **Jerzy Kichler** z Dzielnicy Wzajemnego Szacunku Czterech Świątyń. – Odejście Jego Ekscelencji do wieczności jest w jakiś sposób symboliczne. Spotykają się ze sobą trzy Paschy. Wielkanoc katolicka, prawosławna, a także żydowska. Ekscelencja często był uczestnikiem naszej Paschy w synagodze. Okres Paschy dla Żydów jest symbolem wyzwolenia z ziemi niewoli do wolności... Księże Arcybiskupie Jeremiaszu, oby dusza Twoja została wyzwolona.

– Wspomnienie Jego Ekscelencji Najprzewielebniejszego Jeremiasza byłoby niepełne bez przedstawienia jego roli w założeniu powstałego w 1990 roku Stowarzyszenia Prawosławnego Świętych Apostołów Piotra i Pawła we Wrocławiu oraz powołaniu terenowych oddziałów w Szczecinie i Lubinie – mówiła jego prezes, **Lubomiła Rydzanicz**. – Żywe zainteresowanie arcybiskupa bieżącą działalnością było czynnikiem inspirującym stowarzyszenie do dalszej działalności. Wśród różnorodnych form pracy udział Władyki był zawsze znaczący. Jako wykładowca wzbudzał żywe zainteresowanie naukowym i twórczym ujęciem wykładanych treści. Szczególnie podczas sympozjów. Zaś towarzyszące wykładom nabożeństwa, odprawiane przez Jego Ekscelencję wyróżniały się głęboką duchowością religijną i doskonale harmonizowały z ich nastrojem i tematyką. Będzie nam Was, Władyko, bardzo brakowało…

Kiedy po przemówieniach odkryta trumna z ciałem Władyki, niesiona przez duchownych, którym zmarły udzielił święceń, okrążyła wrocławską katedrę, padał deszcz. Wrocław płakał. Jeszcze tylko przez półtorej godziny, w oczekiwaniu na transport do Warszawy, uczestnicy pożegnania mogli pokłonić się zmarłemu. W kolejce czekały tłumy.

– Władyka dał nam szczególne święto, odchodząc w okresie Paschy, bo nigdy w takiej grupie się nie zebraliśmy. Dał nam radość Zmartwychwstania Pańskiego – mówił przy trumnie o. mitrat **Aleksander Konachowicz**, który z Władyką Jeremiaszem przybył do Wrocławia 4 września 1983 roku. – On jest razem z nami, on nie opuszcza nas, bo jak wierzymy, życie duchowe nie kończy się na śmierci cielesnej, a zaczyna. (…) Módlcie się i czytajcie Pismo Święte – mawiał Władyka. – Najważniejszy w życiu człowieka jest udział w Świętej Liturgii. Nie zapominajcie o tym. (…) Dla niego Pascha była każdego dnia. Mimo trosk, starał się być radosny. (…) Abyśmy zachowali go takim w pamięci, nie dotkniętego wielkim cierpieniem, a radosnego. (…) Każdemu przebaczał. Mówił prostym, ale teologicznym językiem. Ci, którzy stali w świątyni, a jesteśmy różnych narodowości, wszyscy mogli zrozumieć. Nawet polskojęzyczni. (…) On będzie z nami podczas każdej Liturgii. Módlcie się proszę o pokój Jego duszy. Niech Pan Bóg przyjmie Go z otwartymi rękami i da mu radość wieczną. Amen.

Nastąpiły ostatnie chwile pożegnania z katedrą. Po 14.30 ostatni raz duchowni obnieśli zakrytą już trumnę wewnątrz cerkwi i wśród kropli deszczu i ludzkich łez ciało Władyki Jeremiasza złożono w samochodzie i w honorowej asyście policyjnych

motocykli opuściło ulicę Wszystkich Świętych, Świętego Mikołaja i miasto Wrocław. *Wiecznaja Pamiat' Wam Władyko!*

– To był wielki chrześcijanin i ujmujący człowiek! Jego wielkość nie polegała na podkreślaniu majestatu sprawowanej godności (…). Z Jego ekumenicznej otwartości korzystali w wymiarze jak najbardziej praktycznym, a nie deklaratywnym, luteranie na Dolnym Śląsku, którym za sprawą Jego decyzji udostępniono cerkiew w Lubinie, gdzie odbywały się ewangelickie nabożeństwa! Księże Profesorze, czcigodny Biskupie, spoczywaj w pokoju! – Sebastian Roszak.

– Był ujmująco skromny, a jednocześnie w kontaktach osobistych onieśmielał swoją wiedzą, choć raczej było to wrażenie słuchaczy niż Jego świadome działanie – nigdy nie popisywał się mądrością, był pokorny i zawsze mówił łagodnym tonem. Pamiętam, jak w czasie powodzi 1997 nosił worki z piaskiem, ratując okolice cerkwi i Dzielnicy Czterech Świątyń. Iluż hierarchom korona, mitra czy infuła spadłaby z głowy w takim momencie… Ale nie Jemu…R.I.P. Złożyłem kondolencje proboszczowi parafii prawosławnej w moim mieście i zapewne wybiorę się na nabożeństwo zaduszne w czterdziestym dniu po śmierci. Mam nadzieję, że się zobaczymy, Władyko – TAM… – Wołyński Prusak.





WARSZAWA

We wtorek wieczorem trumna z ciałem władyki dotarła do cerkwi św. Jana Klimaka na Woli, w której arcybiskup Jeremiasz, jeszcze jako kapłan, odprawiał jedno z pierwszych swoich nabożeństw.

Panichidę odsłużył o. **Anatol Szydłowski**. Potem duchowni przez całą noc czytali Ewangelię. Nazajutrz już na godzinę przed początkiem Liturgii cerkiew wypełniła się po brzegi – dotarli wierni z diecezji przemysko-gorlickiej, warszawsko-szczecińskiej, białostocko-gdańskiej, warszawiacy. Przybyli metropolita **Sawa**, arcybiskupi **Abel** i **Jakub**, biskupi **Jerzy**, **Paisjusz** i **Grzegorz**, duchowni, których uczył, a często i wyświęcał.

Przybyli przedstawiciele Kościoła rzymskokatolickiego – biskupi **Krzysztof Nitkiewicz**, **Michał Janocha**, **Grzegorz Ryś**, Kościoła ewangelicko-augsburskiego biskup **Jerzy Samiec**, z Kościoła ewangelicko-reformowanego biskup **Marek Izdebski** i biskup **Zdzisław Tranda**, z Kościoła polskokatolickiego biskup **Wiktor Wysoczański**, z Kościoła Starokatolickiego Mariawitów biskup **Maria Ludwik Jabłoński** oraz biskup **Marek Babi**. Pięknie śpiewał chór. Raz po raz rozlegało się radosne *Christos Woskresie*! Chrystus zmartwychwstał!



– Dla prawosławnego chrześcijanina nie ma większej Łaski Bożej, niż gdy moment rozłączenia ludzkiego

śmiertelnego ciała z nieśmiertelną duszą następuje w okresie Triumfu Paschalnego – zwrócił się do wiernych tuż po Ewangelii arcybiskup **Abel**. – A moment śmierci w dniach Wielkiego Świetlanego Tygodnia Paschalnego jest szczególnym darem Bożym.

Arcybiskup Jeremiasz był wybitnym hierarchą naszego Kościoła prawosławnego – mówił. – Ważnym uczestnikiem życia publicznego. Bez ustanku dawał świadectwo, że wiara, nauka i rozum mogą działać wspólnie. Był człowiekiem dialogu, wielkim erudytą i intelektualistą. Zawsze widział w człowieku to co dobre. Nie znosił fałszu, obnażał kłamstwo, obłudę i absurdy. Piętnował przejawy zła i był radykalny w sprawach dotyczących zbawienia. W imię prawdy był gotów zapłacić najwyższą cenę, gdyż dobry pasterz oddaje życie za owce swoje.

Arcybiskup Abel odwołał się do osobistych wspomnień. Władykę Jeremiasza znał dobrze, obaj pochodzili z tej samej narewskiej parafii. Jemu, nastoletniemu *prisłużnikowi*, zawsze imponowała autorytatywna postawa i stoicki spokój młodego studenta szkół teologicznych w Warszawie.



Na początku lat 80. władyka Abel, obsługujący parafie na Podkarpaciu, spotkał się z władyką Jeremiaszem, wtedy świeckim nauczycielem akademickim, w pociągu relacji Warszawa – Białystok. Obaj mieli okazję spokojnie porozmawiać o problemach związanych z inwestycjami cerkiewnymi w tym regionie. I władyka Jeremiasz dzięki swym kontaktom zagranicznym bardzo szybko pokaźną pomoc finansową zorganizował.

– To dzięki temu spotkaniu prawosławni Łemkowie mają dzisiaj w Zyndranowej cerkiew Świętego Mikołaja, a parafia w Komańczy dom parafialny – podkreślał mówca. – Przypominam sobie także wyjazdowe spotkanie Komisji Wspólnej Rządu i naszego Kościoła, spotkanie, które odbyło się w monasterze św. Onufrego w Jabłecznej, poświęcone przygotowywanej ustawie o stosunku państwa do Polskiego Autokefalicznego Kościoła Prawosławnego. Były to bardzo trudne rozmowy. I to właśnie m.in. arcybiskup Jeremiasz ze swym wewnętrznym spokojem i salomonową mądrością potrafił poprowadzić negocjacje z korzyścią dla Cerkwi.

– Często Władyko podkreślałeś, że umierać w okresie Paschalnego Tygodnia to wielkie błogosławieństwo. Wrota Królestwa Niebieskiego są bowiem wtedy otwarte. Szczerze wierzymy że przejdziesz przez te wrota i wejdziesz do domu Pana naszego Jezusa Chrystusa, o to bowiem będziemy się szczerze modlić.

Tuż przed *otpiewanijem* zmarłego pożegnalną mowę wygłosił metropolita Sawa. Także zwierzchnik naszej Cerkwi zwrócił uwagę na to, że najszczęśliwsza śmierć spotyka człowieka wtedy, gdy odchodzi z tego świata na Paschę i w okresie paschalnym.

– Błogosławiony jesteś Władyko – powiedział, przypominając słowa św. Jana Chryzostoma: „Niech nikt nie lęka się śmierci, wybawiła bowiem nas śmierć Zbawiciela. Gdzie twe, piekło, zwycięstwo? Zmartwychwstał Chrystus i życie świeci całą pełnią. Zmartwychwstał Chrystus i nikt martwy nie pozostał w grobie”.

– Władyko! Żyjesz, jesteś z nami – mówił hierarcha. – Tak uczy nasza Cerkiew. Dzisiaj odprowadzamy tylko na miejsce spoczynku Twoje ciało, które oczekiwać będzie swego zmartwychwstania.

Metropolita przypomniał trudne lata zmagania się arcybiskupa z nieuleczalną chorobą. – W ostatnim etapie swego ziemskiego życia wiele cierpiałeś, znosząc cierpienia z pokorą, mówiąc: „Chwała Bogu za radości i doświadczenia”. Modlitwa nasza okazała się także bezsilna, taka bowiem jest wola Boża i nikt nie jest w stanie wystąpić przeciwko niej.

Metropolita podkreślił, że wszystko to, co jest bolesnym doświadczeniem w naszym życiu, powinno być złożone u podnóża Krzyża, na którym oddał swoje życie za rodzaj ludzki, jedyny bez grzechu, sam Syn Boży. On także modlił się do swojego Ojca: „Ojcze, jeśli chcesz, oddal ten kielich ode mnie; wszakże nie moja, lecz Twoja wola niech się stanie” (Mt 6,10).

– Wszyscy, zarówno najbliżsi jak i współpracownicy zmarłego, duchowni i wierni owdowiałej diecezji wrocławsko-szczecińskiej, której służył 34 lata – szukajmy mocy i pokrzepienia w Krzyżu i Zmartwychwstałym Panu, byśmy mogli powiedzieć: „Niech będzie wola Twoja Boże” – mówił. – Wymaga tego od nas nasza wiara. Tylko w ten sposób jednoczymy się z duchem zmarłego arcybiskupa we wspólnej wierze, którą świadczył światu przez swe ziemskie życie.

Metropolita Sawa przypomniał życiorys zmarłego arcybiskupa.

Święcenia kapłańskie otrzymał 26

lutego 1983 roku, 6 marca tego roku złożył śluby zakonne. Tydzień później, 13 marca 1983 roku odbyła się jego chirotonia biskupia.

W lipcu 1983 roku objął katedrę wrocławsko-szczecińską.

Pozostawał na niej 34 lata, służąc Cerkwi i jej wiernym, przybyłym na ziemie zachodnie z Chełmszczyzny, Łemkowszczyzny, Wileńszczyzny. Budował świątynie dusz ludzkich, a także nowe cerkwie.

Dzięki swojej pokorze i gorliwości w pełnieniu służby biskupiej zyskał od wiernych miano „Nasz Władyka". – Jest to najwyższe podziękowanie, jakie może otrzymać biskup jako arcypasterz od swoich diecezjan – podkreślił metropolita.

Praca świętej pamięci arcybiskupa Jeremiasza była wielopłaszczyznowa, obejmowała działalność duszpasterską, naukową, młodzieżową, ekumeniczną, współpracę z władzami państwowymi wielokrotnie przyjmowała przy tym wymiar międzynarodowy – panprawosławny i ekumeniczny.

Zmarły władyka przez trzy kadencje pełnił funkcję Przewodniczącego Polskiej Rady Ekumenicznej. Jako biblista był przewodniczącym zarówno komisji prawosławnej, jak i ekumenicznej zajmującej się tłumaczeniem Pisma Świętego na język polski. Owocem tej pracy jest przekład na język polski czterech Ewangelii.

Śp. arcybiskup Jeremiasz współprzewodniczył także komisji regulacyjnej, która zajmowała się uporządkowaniem spraw majątkowych naszej Cerkwi.

Przez kilka kadencji był członkiem Komitetu Centralnego Światowej Rady Kościołów, aktywnie uczestniczył w wielu komisjach wszechprawosławnych, zajmujących się przygotowaniem Wszechprawosławnego Soboru oraz komisjach mieszanych do spraw dialogu Kościoła rzymskokatolickiego z Cerkwią prawosławną.

Zarówno jako świecki teolog, jak i biskup wiele uwagi poświęcał pracy z młodzieżą.

Nie sposób nie wspomnieć o utworzonych przez niego ośrodkach miłosierdzia, Domu Opieki w Cieplicach czy Sokołowsku.





– Ś.p. Władykę Jeremiasza cechowała głęboka wiara, skromność, pokora i szacunek wobec drugiego człowieka, bez różnicy kim by on nie był – podkreślał metropolia.

Z oddaniem, poświęceniem i cierpliwością pełnił służbę Cerkwi Chrystusowej, nade wszystko poprzez sprawowanie nabożeństw, szczególnie Liturgii. Pomimo ciężkiej choroby starał się żyć życiem Cerkwi.

Odprowadzamy Go dzisiaj na miejsce wiecznego spoczynku, tu w Warszawie, z którą związany był od młodzieńczych lat.

Drogi Bracie arcybiskupie Jeremiaszu! Dziękuję Ci za wszystko co uczyniłeś dla Świętej Cerkwi. Żegnamy Cię w nadziei, że spotkamy się przed tronem Bożym na Sądzie Ostatecznym.

Dzisiaj żegnają się z Tobą twoi współbracia w biskupstwie, z którymi wspólnie dźwigałeś ciężar „jarzma Chrystusowego" naszej Cerkwi. Żegna Cię Twoja diecezja wrocławsko-szczecińska – duchowni i wierni.

Dziękują Ci za wszystko.

Żegna Cię młodzież, której starałeś się służyć przez całe swoje życie.

Żegnają się z Tobą przedstawiciele Kościołów, należących do Polskiej Rady Ekumenicznej, Towarzystwa Biblijnego, Chrześcijańskiej Akademii Teologicznej, Prawosławnego Seminarium Duchownego.

Żegnają Cię przedstawiciele Kościoła rzymskokatolickiego, władz państwowych. Żegnają Cię wszyscy zebrani w tej świątyni.

Władyko Jeremiaszu! Dzisiaj, po raz ostatni tu na ziemi, uczestniczyłeś wraz z nami w Liturgii, Liturgii paschalnej. Dzisiaj widzisz już tylko to, co widział św. Jan Apostoł: (Obj.7,9-10): „A oto tłum wielki, którego nikt nie mógł zliczyć z każdego narodu, ze wszystkich plemion i ludów i języków, którzy stali przed tronem i przed Barankiem, odzianych w szaty białe z palmami w swych rękach. I wołali głosem donośnym, mówiąc: zbawienie

jest u Boga naszego, który siedzi na tronie u Baranka”.

So sviatymi upokoj, Christie, duszu usopszogo Wysokopreosviaszczenniejszego archijepiskopa Ijeremiju.

List kondolencyjny nadesłał prezydent Rzeczypospolitej **Andrzej Duda**.

„W zmarłym tracimy znakomitego naukowca, autora cenionych dzieł teologicznych” – napisał. „Jego osiągnięcia jako badacza i wykładowcy, wieloletniego rektora CHAT, a także wrażliwego duszpasterza, potrafiącego zachwycić bogactwem przesłania Dobrej Nowiny, stanowią piękny wkład w skarbnicę myśli chrześcijańskiej i polskiej kultury. Z wdzięcznością wspominamy zasługi śp. Arcybiskupa Jeremiasza, położone podczas Jego przewodniczenia Polskiej Radzie Ekumenicznej, oraz współorganizacji Zjazdów Gnieźnieńskich.

Zapamiętamy go jako orędownika dialogu między różnymi tradycjami chrześcijańskimi”.

W imieniu Polskiej Rady Ekumenicznej arcybiskupa Jeremiasza, pożegnał jej prezes, zwierzchnik Kościoła ewangelicko-augsburskiego, ks. biskup Jerzy Samiec. Przypomniał, że władyka Jeremiasz był wieloletnim – przez trzy kadencje – zwierzchnikiem Polskiej Rady Ekumenicznej. Był zawsze postrzegany jako ktoś, kto jest obdarzony wielkim poczuciem humoru, był człowiekiem bardzo łagodnym, niezwykłym teologiem, tłumaczem Nowego Testamentu, a jednocześnie osobą, która dążyła do pojednania i dialogu, jako ten, który zawsze wszystkich szanował, który zawsze zauważał drugiego człowieka, który zawsze dążył do tego, by osiągnąć konsensus, by znaleźć rozwiązanie, które wszyscy będą szanowali, które będą wszystkich zadowalały.

– Sądzę, że symboliczne jest także to, że arcybiskup Jeremiasz odszedł w dniu, kiedy wszystkie Kościoły obchodziły Zmartwychwstanie w tym samym czasie, a więc jest to także wyraz jego dążeń ekumenicznych, by wszyscy byli jedno.

Zmarłego pożegnał także biskup sandomierski Krzysztof Nitkiewicz, przewodniczący zespołu konferencji Episkopatu Polski do spraw kontaktów z Polską Radą Ekumeniczną. – Wielokrotnie w czasie tej Liturgii rozbrzmiewał *Christos Woskresie*. I ten śpiew w tych dniach rozbrzmiewa w naszych wszystkich Kościołach. Przeżywamy ten pogrzeb, wierząc mocno w zmartwychwstanie. Kiedy pracowaliśmy w ramach zespołu, kiedy jeździliśmy na spotkania międzynarodowej mieszanej komisji teologicznej Kościołów prawosławnego i katolickiego, arcybiskup Jeremiasz miał wiele dalekosiężnych wizji, ale jednocześnie widział drobiazgi, rzeczy aktualne, zawsze zachęcał nas, inspirował, dzięki czemu można było zrobić wiele wspaniałych rzeczy.

Ks. arcybiskup Stanisław Gądecki, przewodniczący konferencji Episkopatu Polski, złożył już kondolencje, wyrazy smutku, do których my, tutaj biskupi rzymskokatoliccy i rzymskokatoliccy kapłani się dołączamy.

Ale wierzymy, księże ś.p. Arcybiskupie Jeremiaszu, że spotkamy się w chwale Zmartwychwstałego Pana.

W mieniu całej społeczności Chrześcijańskiej Akademii Teologicznej w warszawie, a także konferencji rektorów uczelni warszawskich zmarłego władykę pożegnał rektor Chrześcijańskiej Akademii Teologicznej, ks. prof. **Bogusław Milerski**.

– Arcybiskup Jeremiasz był biblistą i znamienitym profesorem teologii. Zwieńczył swoją pracę teologiczną przekładem wielu ksiąg Nowego Testamentu, które następnie zostały opublikowane jako przekład przyjaciół. To było znamienne, że arcybiskup potrafił odnaleźć w drugim człowieku swego przyjaciela.

Tak więc oprócz wymiernych efektów pracy teologicznej i ekumenicznej stworzył z ChAT wspólnotę przyjaciół. To nie mury, to nie zaplecze techniczne, a właśnie wspólnota dzięki arcybiskupowi stała się znakiem rozpoznawczym Akademii. Arcybiskup był człowiekiem pojednania, nie tylko pojednania między ludźmi, między wyznaniami, ale też znacznie szerzej, pojednania kulturowego i politycznego.

Wszyscy dobrze wiemy, ze znakomicie znał języki naszych sąsiadów. I to właśnie on stał się pomostem między Wschodem i Zachodem, a dzięki niemu nasza uczelnia stała się szczególną instytucją w naszym kraju, która nie tylko krzewi kulturę, ideologię różnych Kościołów chrześcijańskich, ale jest instytucją pojednania między kulturami i narodami. Także łańcuch rektorski został zaprojektowany przez arcybiskupa Jeremiasza. Są tu wygrawerowane symbole alfa i omega. Ilustrują one los ludzki, początek i koniec, ale nade wszystko są symbolem nadziei, że jest Pan, który jest ponad początkiem i końcem.

Do wolskiej cerkwi przybyła też wiceprezydent Wrocławia **Magdalena Piasecka**. – Odszedł od nas duszpasterz, ekumenista, arcybiskup, a przede wszystkim wspaniały człowiek, który na zawsze pozostanie w naszych sercach i umysłach w naszym Wrocławiu – mówiła. – Ekscelencjo, dziękuję za twoją otwartość, niespotykaną energię, hart ducha i życzliwość. Bez Ciebie nie istniałaby dzisiaj Dzielnica Czterech Świątyń, miejsce szacunku i współpracy międzywyznaniowej, bez Ciebie bylibyśmy innymi ludźmi. Dziękuję, że byłeś wśród nas, ucząc skromności, wskazując jak być dobrym człowiekiem. Takim Cię żegnamy.

Na koniec pogrzebu metropolita Sawa serdecznie podziękował wszystkim, którzy towarzyszyli Władyce w jego najtrudniejszych chwilach, okazywali swoją pomoc do końca.

Trumnę na ramionach przenieśli z cerkwi do grobu duchowni diecezji wrocławsko-szczecińskiej. Władyka spoczął obok biskupów Sawy (Sowietowa) i Mateusza (Siemaszko).

I duchowni, i wierni długo nie odchodzili od usłanej wieńcami mogiły. *Wiecznaja pamiat'*, śpiewana na łemkowską melodię, tonęła wśród paraliturgicznych paschalnych pieśni. A *Christos Woskresie* zaśpiewały swemu Władyce także dwie pięcio-, sześcioletnie dziewczynki.

Wiecznaja pamiat'.

Anna Rydzanicz
Ałła Matreńczyk
fot. **Anna Rydzanicz**
Aleksander Wasyluk


Władyka Jeremiasz jako rektor ChAT wręcza dyplom doctora honoris causa prof. Wacławowi Hryniewiczowi

CHAT – WSPÓLNOTA PRZYJACIÓŁ

W Prawosławnym Seminarium Duchownym Jan Anchimiuk podjął pracę wykładowcy Starego i Nowego Testamentu zaraz po powrocie ze studiów za granicą. Wkrótce został też zatrudniony jako asystent w Katedrze Pisma Świętego Nowego Testamentu, w sekcji prawosławnej Chrześcijańskiej Akademii Teologicznej. W roku 1980 otrzymał stopień naukowy doktora habilitowanego na podstawie dorobku naukowego i rozprawy habilitacyjnej „Aniołów sądzić będziemy". Już jako biskup, ordynariusz diecezji wrocławsko-szczecińskiej, został wybrany rektorem ChAT i pełnił tę funkcję w latach 1996-2002 i 2009-2012. Podsumowaniem tej działalności niech będą słowa prof. dr. hab. Bogusława Milerskiego, rektora ChAT, wypowiedziane podczas ceremonii pogrzebowej Władyki: „Potrafił znaleźć w drugim człowieku swojego przyjaciela (…) i stworzył z ChAT wspólnotę przyjaciół. To nie mury ani zaplecze techniczne, ale wspólnota akademicka dzięki abp. Jeremiaszowi stała się znakiem rozpoznawczym akademii".

Pracę naukowo-dydaktyczną godził z innymi formami działalności. Redaktorską – w latach 1971-1976 był redaktorem naczelnym oficjalnego organu prasowego PAKP „Wiadomości Polskiego Autokefalicznego Kościoła Prawosławnego"; społeczno-religijną – jako organizator i duchowy opiekun Bractwa Młodzieży Prawosławnej; ekumeniczną – działał aktywnie w kraju i zagranicą, jako delegat PAKP uczestniczył w V Zgromadzeniu Ogólnym Światowej Rady Kościołów w Nairobi (1975 roku), gdzie został wybrany na członka Komitetu Naczelnego ŚRK i był nim przez dwie kadencje, do 1991 roku. W latach 2001-2016 był prezesem Polskiej Rady Ekumenicznej. W tym czasie współprzewodniczył także Komisji ds. Dialogu Konferencji Episkopatu Polski i Polskiej Rady Ekumenicznej. Z ramienia Kościoła prawosławnego wchodził w skład Komitetu Krajowego Towarzystwa Biblijnego w Polsce, gdzie pełnił funkcję zastępcy przewodniczącego. Uczestniczył także w organizacji i był wielokrotnym gościem Zjazdów Gnieźnieńskich. Translatorską – jako jeden z inicjatorów i członek Ekumenicznego Przekładu Przyjaciół.

Jana Anchimiuka poznałem, będąc alumnem seminarium. Na wykładach w Chrześcijańskiej Akademii Teologicznej prezentował studentom szerokie spektrum zagadnień związanych ze wstępem i egzegezą Pisma Świętego Nowego Testamentu w kontekście Tradycji Świętej i najnowszych koncepcji biblistycznych. Podkreślał znaczenie intelektualnego poznania i jednocześnie zachęcał, byśmy żyli zgodnie ze zdobytą wiedzą oraz dzielili się nią z naszymi rówieśnikami. Wyrażało się to we wspólnych nabożeństwach akademickich i spotkaniach z młodzieżą studiującą i pracującą w Warszawie, gdzie omawialiśmy wybrane zagadnienia teologiczne. Nie należałem do grona aktywnych działaczy młodzieżowych, w trakcie studiów interesowałem się zagadnieniami związanymi z teologią dogmatyczną, a najwięcej trudności miałem ze zdaniem egzaminu z egzegezy Nowego Testamentu, dlatego też byłem bardzo zaskoczony, gdy dr Anchimiuk zaproponował mi funkcję asystenta w kierowanej przez niego katedrze. Pomimo różnych obaw i wątpliwości przyjąłem propozycję i od tej pory Władyka był dla mnie nauczycielem i patronem, w którym zawsze znajdowałem wsparcie zarówno materialne jak i duchowe, zrozumienie i radę w kwestiach naukowych i życiowych, wyrozumiałość i miłosierdzie względem moich błędów i grzechów, otwartość i miłość chrześcijańską, która usuwała dystans hierarchiczny, intelektualny i pokoleniowy. Dlatego Arcybiskup Jeremiasz był dla mnie prawdziwym prawosławnym chrześcijaninem, w którym nie było podstępu.

Podzielam pogląd metropolity Sawy, który w słowie pożegnalnym do zasług Władyki Jeremiasza zaliczył umiejętność budowania wokół siebie „świątyni dusz ludzkich" i kolejne stwierdzenie, że „święci ludzie odchodzą w okresie Wielkanocnym". Świętość Arcybiskupa Jeremiasza polegała na życiu według przykazań Bożych, przedstawionych podczas kazania Jezusa Chrystusa na górze (por. Mt 55,3-12). „Błogosławieni ubodzy w duchu" – Władyka kierował się pokorą serca jako zasadniczą przesłanką w swoim życiu, unikał wyniosłości i pewności siebie na rzecz świadomości własnej niemocy, mając na uwadze słowa Abrahama: „Jestem pyłem i prochem" (Rdz 18,27) i poszukiwał wsparcia w Chrystusie. „Błogosławieni, którzy się smucą" – poczucie obciążającego brzemienia grzechów własnych i innych powodowało u Arcybiskupa smutek, który publicznie wyraził na ekumenicznym spotkaniu w Hali Ludowej we Wrocławiu w 1997 roku,



Władyka Jeremiasz z mniszkami turkowickiego monasteru

mówiąc: „Panie, przepraszamy Cię, że mamy tak twarde serca, tak mało mamy miłości”. „Błogosławieni cisi” – łagodność i cichość to powszechnie znana Jego cecha. „Błogosławieni, którzy łakną i pragną sprawiedliwości” – Władyka stosował w swym postępowaniu zasadę sprawiedliwości i starał się, by kierowano się nią w Kościele, społeczeństwie i na świecie. „Błogosławieni miłosierni” – okazywał miłosierdzie potrzebującym pomocy materialnej i wspierał duchowo. „Błogosławieni czystego serca” – w relacjach międzyludzkich zachowywał pokorę, otwartość i zrozumienie, co było przejawem Jego czystości serca. „Błogosławieni, którzy wprowadzają pokój” – nie należał do ludzi konfliktowych, wręcz przeciwnie, zabiegał o pokojowe relacje z innymi, łagodził istniejące konflikty, występował przeciw antagonizowaniu społeczeństw i konfliktom zbrojnym. „Błogosławieni, którzy cierpią prześladowania dla sprawiedliwości” – niektóre poglądy i działania Władyki nie znajdowały uznania u wszystkich prawosławnych, niektórzy niesprawiedliwie je osądzali. „Błogosławieni jesteście, gdy wam urągają i prześladują was i gdy z mego powodu mówią kłamliwie wszystko złe o was” – byli też i tacy, którzy fabrykowali kłamstwa i urągali Władyce. Można stwierdzić, iż Władyka w swym życiu kierował się przykazaniem Chrystusa: „Bądźcie więc wy doskonali, jak doskonały jest Ojciec wasz niebieski” (Mt 5,48).

Arcybiskup Jeremiasz był solą ziemi podlaskiej, lampą, której światło wyznaczało drogę prowadzącą do Chrystusa wielu pokoleniom prawosławnych w Polsce. Wierzę, że opuściwszy nas usłyszał słowa: „Sługo dobry i wierny (…) wejdź do radości swego Pana” (Mt 25,23).

Władyko, Chrystus Zmartwychwstał!

Wsiewołod Konach
fot. **Anna Radziukiewicz**

TAK BARDZO CHCIAŁBYM UMRZEĆ NA PASCHĘ

Sobota wieczór. *Wsienoszczna* we wrocławskiej katedrze dobiega końca. Czytają Pierwszy Czas. Z góry, z chóru, widzę naszego Władykę, jak w kłobuku i riasie podchodzi do *prestoła*, klęka, opierając o niego głowę i zastyga w takiej pozycji… Widzę i jednocześnie czuję jego modlitwę. Wiem, że modli się za cały świat, za Cerkiew Chrystusową, której był oddany bezgranicznie, za wszystkich nas… Ta modlitwa klęczącego Władyki Jeremiasza dawała mi więcej niż moja własna. Dawała mi pewność, że jesteśmy w niej wszyscy i że dzięki niej wszystko będzie dobrze, bo jest Bóg i jest nasz Władyka…

Widzę też, jak prowadzą go *ipodiakoni* na niedzielną Liturgię, jak ze skłonioną w pobożności głową błogosławi, stojąc na *kafiedre*, każdego podchodzącego do ikony parafianina – jakby rozdawał drogocenny dar, bo w moim, dziecięcym wówczas, rozumieniu rozdawał nam swoją miłość. Tym właśnie stał się dla mnie Władyka – miłością. W tej jego wyjątkowej miłości do ludzi, będąc dzieckiem (miałam wtedy około 10 – 12 lat), postrzegałam go jako zupełnie bezbronnego człowieka, gdyż nie rozumiałam jeszcze wtedy, iż ta bezbronność i łagodność to właśnie pokora. Bałam się o Władykę, o to, że w swojej absolutnej bezbronności nie poradzi sobie ze złymi ludźmi. Wywoływało to we mnie taki żal i tęsknotę, że gdy wracałam z rodzicami i siostrą z cerkwi do domu, wieczorem, po kolacji chowałam się do szafy w swoim pokoju i płakałam. Tak bardzo chciałam, żeby ktoś Władykę uszczęśliwił, żeby, tak jak on rozdaje miłość w błogosławiącym geście, i jego ludzie wzajemnie obdarowywali miłością. Mama odnajdywała mnie w końcu w szafie zapłakaną i dziwiła się mojej dziecięcej, pełnej empatii miłości do Władyki.

Biskup Antoni Bloom powiedział kiedyś, że człowiek nie może uwierzyć w Boga, jeśli nie zobaczy w oczach innego wierzącego człowieka światła wiary i wieczności. Dla mnie Władyka Jeremiasz był właśnie tym człowiekiem, który uosabiał Bożą obecność pośród swojego ludu. Był i jest sercem naszej Cerkwi i mojej rodziny. Takim go pamiętam i takim pozostanie na zawsze.

Gdy został biskupem wrocławskim i szczecińskim i pierwszy raz śpiewaliśmy *mnogoletstwije*, nie potrafiliśmy po słowiańsku właściwie odmienić jego imienia.

…A słowo, z którym zwracał się do parafian w trakcie niedzielnych i świątecznych Liturgii, nauczyło mnie słuchać i słyszeć. Od tego czasu stało się dla mnie cenniejsze od klejnotów. Dzięki niepowtarzalnym i nieporównywalnym z niczyimi więcej *propowiediam* Władyki zaczęłam rozumieć czytaną Ewangelię i Apostoła. Słowo Boże przestało być konglomeracją

niezrozumiałych cerkiewnosłowiańskich terminów, bo Władyka złotym kluczem swych słów otworzył przede mną drzwi bezgranicznego bogactwa liturgicznej teologii zawartej w tekstach liturgicznych, typikonie i tradycji Cerkwi prawosławnej.

Wytrwale i niezmiennie powtarzał nasz Władyka, by przed niedzielną Liturgią przeczytać w domu właściwy fragment Ewangelii, by iść do cerkwi przygotowanym.

A do niedzielnej Eucharystii uczył przygotowywać się już od piątku wieczorem. Podkreślał ważność wyrobienia w sobie nawyku uczestniczenia przed *Pryczastijem* w sobotnich *wsienoszcznych bdienijach*.

Władyka Jeremiasz szybko zaskarbił sobie serce naszej rodziny. Dzięki jego osobie również ówczesna, nieliczna wrocławska młodzież zaczęła regularnie uczęszczać na sobotnio – niedzielne nabożeństwa. Z utęsknieniem i ja czekałam na nie przez cały tydzień.

Pewnego razu (było to w 1984 lub 85 roku), właśnie po jednej z takich wieczornych sobotnich służb, moja mama podeszła do Władyki i spytała, czy zechciałby odwiedzić nas w domu i porozmawiać. Zgodził się z radością.

Ten pierwszy raz, gdy Władyka Jeremiasz przekroczył próg naszego domu, stał się początkiem wyjątkowej, wspaniałej i nieocenionej przyjaźni – tak ośmielę się to nazwać – Władyki z naszą rodziną.

Od tej pory Władyka Jeremiasz każdego roku odwiedzał nas drugiego dnia Świąt Bożego Narodzenia i Paschy, a także, gdy pozwalały mu na to jego obowiązki, w niektóre niedzielne wieczory.

To był rytuał, na wspomnienie którego robi mi się ciepło na sercu. Zazwyczaj wyglądało to tak, że po wieczerni Władyka szedł na chwilę do swoich pokoi i zaraz był już gotowy. Miał na sobie *podrasnik*, charakterystyczny dla niego prochowiec i beret. W takim stroju szedł z nami pieszo przez wrocławski rynek, dalej przez Odrę aż do domu na ulicę Damrota. Nie trzeba było nakłaniać Władyki do rozmowy. Widziałam, że wykorzystywał każdą chwilę, by mówić o Chrystusie, o Cerkwi. Starał się nam pokazać piękno życia duchowego. Rodzice poruszali wszelkie nurtujące ich tematy – religijne, filozoficzne, nawet polityczne. Pamiętam, jak mama pytała o Lwa Tołstoja i stosunek Cerkwi do jego osoby. Pamiętam też, jak po wysłuchaniu jednej z pieśni ojca Romana, z tych pod gitarę, powiedział, że nie rozumie mnicha, który wpada w rozrzewnienie i tęsknotę. Dla Władyki bycie mnichem oznaczało radość, głęboką i niezachwianą wiarę. Nie istniały dla niego *unynije*, rozrzewnienie i rozpacz. To był człowiek z fundamentem głęboko utwierdzonym w Bogu i Bożych obietnicach, człowiek niosący radość, światło i spokój wszędzie tam, gdzie się pojawiał.

Z Władyką rozmawiali rodzice. Ja, jako dziecko, słuchałam tylko, wpatrując się w wiszącą na jego piersi Panagiję. To mi w zupełności wystarczało. Byłam szczęśliwa. Mój tato odprowadzał Władykę tramwajem na parafię, a ja czułam się jak dziecko w domu Ojca, które niczego się nie boi, bo wie, że wszystko jest na swoim miejscu. Bóg, Władyka, rodzice…

Czy da się słowami opisać ból po stracie bliskiego człowieka? Myślę, że wielki ból, przeciwnie do wielkiego szczęścia, o którym wielu miałoby ochotę wykrzyczeć z dachu wieżowca, można przeżyć jedynie w ciszy własnego serca. Wypłakać. Wymodlić. Ofiarować Bogu. Bo tylko Bóg to rozumie.

Dla mnie świat bez Władyki Jeremiasza jest już całkiem inny. Powiem więcej. Jako dojrzała osoba, dorosły, świadomy chrześcijanin, nie poznałam dotąd świata, w którym by Władyki Jeremiasza nie było… Poznaję go dopiero teraz… I pełne bólu jest to poznanie.

I trudno uwierzyć. Świat bez Władyki Jeremiasza… Jak w nim żyć, gdy nie widać światłości i dobra, które w sobie niósł? Wybaczcie, Władyko… gdybyście mnie teraz słyszeli, być może nie zrozumielibyście mego rozrzewnienia, tak jak kiedyś nie mogliście zrozumieć smętnej pieśni ojca Romana, pozwólcie jednak mi i wszystkim nam, których osierociliście, wypłakać w ten sposób nasz ból.

Jest Wielki Piątek. Na środku cerkwi leży Płaszczanica. Władyka Jeremiasz czyta Kanon o płaczu Bogarodzicy: „Nie odejdę od Twojego grobu (…), ani też nie przestanę wylewać łez, aż sama zstąpię do otchłani, nie mogę bowiem znieść rozłączenia z Tobą (…)! Synu mój i Boże, zabierz mnie teraz ze sobą, abym i ja zstąpiła, Władco, razem z Tobą do otchłani, nie zostawiaj mnie samej, nie mogę żyć bez Ciebie, słodkiej mojej Światłości" (Kanon Symeona Logotheta o Ukrzyżowaniu Pana i Płaczu Bogurodzicy, Pieśń 7 i 8) i… sam płacze. Łzy ściskają za gardło, co kilka słów Władyka się zatrzymuje. Nie może czytać. Płaczę i ja. Płaczą chyba wszyscy. Udziela się nam jego żywa, autentyczna wiara. On jest jak Mojżesz, który pośredniczy między nami a Bogiem. Doskonale pamiętam jedną jego wielkopiątkową *propowied'*: „Bracia i Siostry, dziś ukrzyżowano naszego Chrystusa, Boga i Zbawiciela. Dawajcie, będziemy płakać. Amiń"…

Zapłakałam, po raz niezliczony z kolei, gdy podczas pożegnania Władyki z diecezją wrocławsko-szczecińską do jego trumny na środku cerkwi podszedł nietrzeźwy mężczyzna. Podszedł, by się pożegnać, by po raz ostatni podziękować mu, że nigdy nim nie wzgardził, nigdy nie odrzucił, zawsze pomagał. To był ten sam człowiek, alkoholik, którego niespełna rok temu widziałam, będąc we Wrocławiu, pod domem arcybiskupim na ulicy Świętego Mikołaja i o którym wtedy, wkładając mu do kieszeni papierowy banknot, Władyka Jeremiasz powiedział: „To mój przyjaciel".

O tym, jak wyjątkowym człowiekiem był nasz Władyka, świadczy też strach Boży, jaki towarzyszył mu nieustannie, szczególnie podczas czytania Ewangelii. Słów Ewangelisty Mateusza: *I plunuwsze Nań* (Plując na Niego – Mt 27,30) nie był w stanie przeczytać inaczej, niż schylając głowę i ściszając głos. Tak głęboko przeżywał pokorę i uniżenie Chrystusa. Strach Boży i *błagogowienije* – pobożność zmuszały Władykę do czynienia ziemnego pokłonu przy słowach o śmierci Zbawiciela na Krzyżu:

Władyka Jeremiasz z matuszką Eufalią

Predadie duch (Oddał ducha). Takiego Władykę Jeremiasza pamiętam…

Pewnego dnia przyszłam do Władyki, by zdradzić mu moją największą życiową tajemnicę. Miałam wtedy 16 lat. Powiedziałam mu: „Władyko, chcę pójść do klasztoru”. Władyka uśmiechnął się jednak bardzo życzliwie i potraktował mnie naprawdę poważnie. Powiedział, że w związku z tym daje mi pierwsze *posłuszanije*



– żebym skończyła szkołę i studia i nauczyła się dobrze choć jednego obcego języka. Uważał bowiem, że współczesny mnich powinien mieć wykształcenie i znać obcy język. Dał mi również do czytania drugi tom „Dobrotolubija” (Filokalii) i osobiście pokazał, jak powinno się czytać duchową literaturę. Miał, oczywiście, we wszystkim rację.

Gdy wspominam Władykę, widzę go przede wszystkim jako mnicha, który do końca jest posłuszny woli Bożej, Cerkwi, który nie posiada bogactwa, żyje skromnie, skromnie przemawia, cały oddany jest służbie innym, niczego nie zachowuje dla siebie, o sobie zapomina, dużo się modli…

Z racji swoich obowiązków, Władyka nie zawsze miał możliwość służenia *wsienoszcznogo bdienija* przed Liturgią. W czasie wspólnych wyjazdów z Władyką, gdy przychodziła pora wieczornego nabożeństwa, prosił, byśmy w czasie jazdy samochodem odsłużyli wieczernię z pamięci. Sam podpowiadał nam słowa, wygłaszał ektenie, dawał *wozgłasy*. Nie chciał, zgodnie z tym czego nauczał, sprawować Liturgii bez uczestnictwa w wieczerni dnia poprzedniego. Wiele takich samochodowych wieczerni pamiętam…

Władyka lubił spędzać czas z młodzieżą. Zależało mu na tym, by ludzie, wierni wrocławskiej katedry, nie uciekali po niedzielnej Liturgii od razu do swoich domów. Chciał, byśmy przedłużali naszą wspólną modlitwę i spotykali się po nabożeństwie w sali katechetycznej przy herbacie, by tworzyła się między nami więź, byśmy żyli, jak wspólnota chrześcijan, jak rodzina. I tak dzięki naszemu Władyce żyliśmy, staraliśmy się i to staranie przenosiliśmy z cerkwi, z małej parafialnej salki każdy na swój własny domowy grunt. Myślę, że tę więź odczuliśmy wszyscy w momencie śmierci i pożegnania naszego Władyki Jeremiasza. Złączył nas ból i cierpienie, poczucie nieocenionej straty i osierocenia, lecz jednocześnie – biorąc pod uwagę fakt, iż to bolesne wydarzenie spotkało nas praktycznie w dzień Paschy – nadzieja, wręcz pewność, że to nieprzypadkowa i niezwyczajna śmierć. Bo Władyka żył *Woskresieniejem*.

Pamiętam, jak któregoś roku w Dzień Paschy Władyka służył Liturgię o godzinie dziesiątej w „małej cerkwi” we Wrocławiu. Śpiewaliśmy my, wrocławska młodzież. Po służbie Władyka zabrał nas do siebie na śniadanie, a potem pojechaliśmy z nim busem do lasu. Śpiewaliśmy, ciesząc się wiosenną przyrodą, Stichiry Paschy. A ile było wspólnych wyjazdów do Jeleniej Góry, potem do Cieplic, gdy staraniem Władyki wybudowano tam Prawosławny Dom św. Stefana. I nasze z nim wycieczki w góry, w trakcie których rozmawialiśmy o końcu świata i Ewangelii. Pamiętam też, jak w Boże Narodzenie zbierał nas i tłumaczył dogmatyczno-teologiczne znaczenie irmosów kanonu na *Rożdiestwo*. Pamiętam, jak lubił siadać z nami przy ognisku i podśpiewywać łemkowskie i inne pieśni, zaszczepiając w nas szacunek do rodzimej, prawosławnej kultury i folkloru. Taki był właśnie nasz Władyka. Wszechstronny.

Żałuję, że ta bliskość, to wychowanie, ta niezwykła pedagogika Władyki Jeremiasza, jaką wobec nas przejawiał, przypadły jedynie na moje dzieciństwo i niedojrzałą młodość. W 1991 roku wyjechałam na studia do Warszawy. Mimo że odwiedzałam rodzinny dom, naszą cerkiew, mimo że głęboka więź z Władyką trwała cały czas, utraciłam systematyczność kontaktów, a możliwość wspólnej modlitwy, słuchania jego słów i po prostu widzenia go, znacznie się zmniejszyła. Przez to z jeszcze większym entuzjazmem i radością przyjmowałam każdą możliwość spotkania z Władyką poza Wrocławiem.

Pamiętam, jak rokrocznie w czasie majowej pielgrzymki młodzieży na Świętą Górę Grabarkę młodzież garnęła się do Władyki Jeremiasza, jak on sam wychodził naprzeciw tym młodzieńczym poszukiwaniom ideałów i autorytetu. I stał się dla nich autorytetem. Odtąd nie było „majowej Grabarki” (a jeśli była, pielgrzymka nie była już tą samą) bez Władyki Jeremiasza, bez jego imienin, bez jego słów, prowadzonej przez niego grupy dyskusyjnej czy nocnej Liturgii. Stał się, był i pozostanie dla wielu z tamtych młodych ludzi ich Władyką, tak samo, jak stał się moim. Z jakim zaangażowaniem, niestrudzenie i z wielką radością odpowiadał na pytania młodzieży w trakcie spotkania „100 pytań do…”. Z jakim spokojem rozjaśniał często niekonwencjonalne problemy, nie wstydził się żadnego, nawet najbardziej krępującego, pytania. Pamiętam, jak po zakończeniu jednej z takich pielgrzymek usiedliśmy z Władyką za stołem w monasterskim budynku i jak Władyka z westchnieniem, z jakąś tęsknotą, jakby wybiegając w przyszłość, powiedział: „Tak bardzo chciałbym umrzeć na Paschę…”. I umarł. Mówił też, że ktoś, kto odchodzi do Boga w paschalnym okresie ma szczególne błogosławieństwo. W tym czasie umierają ludzie wybrani. Tak mówił. Tak, Władyko, Bóg Was wybrał. Przyjął Was w tym najbardziej wyjątkowym czasie Paschy. Gdyby to był inny dzień, przeżyć Wasze odejście byłoby nam chyba jeszcze

trudniej. Wierzę, że żyjecie teraz tym, czego sami uczyliście. Że widzicie i doświadczacie tego, o czym dniem i nocą czytaliście w Piśmie Świętym, o tym, czego oko nie widziało i ucho nie słyszało, a co Bóg przygotował dla tych, którzy Go miłują (1 Kor 2,9). Władyko, tym żyliście. Żyliście *Woskresienijem*, Ewangelią (każdą wolną chwilę wykorzystywaliście na czytanie jej). Może dlatego nie byliście tak sentymentalni, jak my. Bo czy można się smucić, mając obok siebie Chrystusa?

Po studiach, w 1996 roku, z błogosławieństwem Władyki Jeremiasza wyjechałam do monasteru. Dziś mija łącznie 21 lat od czasu opuszczenia mego rodzinnego miasta i cerkwi. Jednak kontakt z Władyką wciąż trwał. W rocznicę jego siedemdziesiątych urodzin i trzydziestolecia chirotonii biskupiej (we wrześniu 2013 roku) przyjechałyśmy z siostrami z Turkowic do Wrocławia, by podziękować Bogu za Władykę, a Władyce za dar prawdziwego pasterstwa, miłości i obecności w naszym życiu, za przyjaźń, mądrość. Za to, że jest. Że stał się autorytetem, hierarchą, Władyką, który nigdy nie przejawiał swojej władczości, bo jego władzą była władza miłości, ta najtrudniejsza do władania. Władyka był już wtedy po pierwszej fali ataku swojej ciężkiej choroby. Nastąpiła poprawa. Przy śniadaniu po Świętej Liturgii Władyka opowiadał o wielu rzeczach, o historii, korzeniach prawosławia w Polsce. Myślę, że cieszył się z naszego spotkania, bo kochał mnichów i zawsze zachęcał, by służyć swojej matce – Cerkwi do końca. Rozstawaliśmy się ze łzami, ale też z nadzieją i radością na następne spotkanie. Nastąpiło ono tym razem w Turkowicach w roku 2014. Władyka Jeremiasz zechciał przyjechać do naszego monasteru na święto Turkowickiej Ikony Matki Bożej. Ze wzruszeniem obserwował ludzi modlących się w cerkwi. Cieszył się z odradzania się monasteru, a przede wszystkim, jak sam mówił, odczuwał szczególną obecność Przenajświętszej Bogarodzicy i Łaskę Bożą spoczywającą na tym świętym miejscu. Ponownie żegnałyśmy drogiego nam Władykę ze łzami w oczach i nadzieją na kolejne spotkanie.

Było to w maju 2016 roku. Władyka był już poważnie chory. Rozpoczęła się jego droga na Golgotę. Mimo bólu, wycieńczenia i pogarszającego się stanu zdrowia, Władyka był, jak zawsze, pokorny i cichy. I radosny, mimo że między ciepłym uśmiechem na twarzy pojawiał się chwilowo lekki grymas wciąż odczuwanego przez niego cierpienia. Jak zwykle nie chciał, by mu służono, lecz sam szukał sposobności, by nam usłużyć i pocieszyć nas. Spotkałyśmy się z nim niedługo przed rozpoczęciem niedzielnej Liturgii. Weszłyśmy do jego domu po błogosławieństwo na drogę, po choć kilka jego słów i uśmiech. Szykował się do służby. Widać było, że się modli, bo był powściągliwy w słowach, starał się zachować milczenie. Wskazał tylko na stojącą w arcybiskupim salonie ikonę św. Paraskiewy Turkowickiej, którą podarowałyśmy mu podczas jego wizyty w Turkowicach. Więcej nie potrzebowałyśmy niczego. Był to znak, że Władyka pamięta o nas, modli się, jest z nami.

Ostatnie nasze spotkanie miało miejsce w sierpniu 2016 roku. Władyka zaprosił nas na śniadanie. Tym razem pozwolił nam sobie i gościom usłużyć. Dał tylko krótkie wytyczne, co i jak robić. To był jedyny raz, gdy Władyka przyjął od nas taką usługę. Poczytałyśmy to sobie za wielki zaszczyt. Było to pożegnalne spotkanie, tak czułyśmy w głębi serca. Podczas skromnego posiłku Władyka zwrócił się z pełnymi wdzięczności słowami do obecnego przy stole Jarka (Jarosława Pietruczuka). Mówił o nim jako o sercu Cieplic (Domu św. Stefana). Mówił, że można na nim polegać i żałował, że tacy oddani ludzie są rzadkością. I dziękował mu, że traktuje Cieplice jak swój własny dom, mimo że pochodzi z zupełnie innego końca Polski. Żegnałyśmy się z Władyką szczególnie ciepło i długo. Władyka chciał nam coś od siebie podarować, na jego twarzy aż rysowało się zatroskanie. Poruszał się z trudnością. Chodzenie sprawiało mu ból. Poszedł jednak do swojej *kielii* i przyniósł z niej paczkę książek – był to owoc jego wieloletniego trudu nad „przekładem przyjaciół” Nowego Testamentu. Wciąż pozostawał jednak niezaspokojony i dalej czegoś szukał. Rozglądał się dookoła przez chwilę, a my stałyśmy w drzwiach. Nagle jednym ruchem sięgnął po duży, składany, wypoczynkowy fotel i wręczył go nam z radością… Chciał, żeby było nam w monasterze dobrze… Jest, Drogi Władyko. Jest, w dużej mierze również dzięki Wam, bo widziałyśmy w Was żywy przykład człowieka, który nie dbał o swoją własną wygodę, lecz zawsze o dobro innych, jakby Waszą dewizą życiową było: „Nic dla siebie, wszystko dla innych”. Was samego jakby nie było, choć w metafizycznym, duchowym sensie zawsze, jako mnich, byliście *monos* – jeden, sam przed Bogiem. W naszym ziemskim, ludzkim wymiarze, w życiu, daliście się jednak poznać zawsze i jakby wyłącznie w relacji z kimś – z nami, Waszymi dziećmi, z wiernymi naszej Cerkwi, ze wszystkimi innymi ludźmi, bez względu na to, jak wiele ich od siebie różniło. Dlatego i alkoholik

Władyka Jeremiasz z mniszkami turkowickiego monasteru



Władyka Jeremiasz
podczas jubileuszu 30-lecia chirotonii, rok 2013



znalazł miejsce w Waszym sercu, i gorliwy parafianin, i ten mniej gorliwy, i innowierca, słowem – każdy. Każdy, kto Was, Władyko, znał, wierzył i czuł, że jest dla Was tym jedynym, wyjątkowym człowiekiem, dzieckiem, współbratem, przyjacielem.

Wierzę, że każdy, kto znał naszego Władykę Jeremiasza, mógłby napisać podobne, a nawet bogatsze, pełniejsze i piękniejsze wspomnienie. Wiem, że te wylane przeze mnie na papier słowa mogą wydać się komuś zbyt ubogie, a może zbyt dziecinne, emocjonalne czy wręcz gorszące. Ale to miłość Władyki sprawiła, że poczułam się, jakbym była w jego życiu jedynym dzieckiem, jakby to, kim był, jaki był i co robił, robił specjalnie dla mnie. Wiem, że wielu czuło tak samo jak ja i cieszę się, że wszyscy znaleźliśmy w jego sercu miejsce i – jak mówił w swym słowie władyka Grzegorz – nikomu nie było w jego sercu za ciasno.

Pisząc to wspomnienie o Władyce Jeremiaszu, mam poczucie, jakby każdy kolejny akapit, każda nowa myśl była tą pierwszą, jakby cały czas był początek i nigdy koniec. Bo tak naprawdę nie chce się kończyć tego wspomnienia, tak jak nie chciało się kończyć tej wspólnej, ziemskiej wędrówki z Władyką. Jednak wolą Bożą było postawić tę, tak naprawdę nieoczekiwaną, kropkę nad jego życiem i przenieść go do wieczności. Głęboko wierzę, że tam właśnie jest, z Chrystusem, w wiecznej radości, gdzie nie ma więcej ni bólu, ni łez, ni westchnień.

Chciałabym od serca skłonić się przed wszystkimi, którzy w czasie choroby pomagali i służyli Władyce: ojcu Pawłowi Stefanowskiemu z Matuszką, ojcu diakonowi Mieczysławowowi Oleśniewiczowi z Matuszką, ojcu Pawłowi (Kuziakowi) z Sak i wielu, wielu innym oddanym mu osobom, których imiona zna sam Bóg i Władyka Jeremiasz. *Spasi Was Gospodi!*

Do zobaczenia, drogi nasz Władyko! Do zobaczenia w wieczności! *Christos Woskresie*, kochany nasz Władyko…

m. Eufalia (Zołotarjew)
fot. **archiwum monasteru w Turkowicach**

A WASZ SMUTEK W RADOŚĆ SIĘ PRZEMIENI

Wielu z nas, duchownych i wiernych diecezji wrocławsko-szczecińskiej, choćby z racji przystępności Arcybiskupa Jeremiasza, z pewnością przechowuje w pamięci jakieś zdarzenia, fragmenty rozmów, obserwacje. Niech więc one przemówią.

Władykę poznałem w grudniu 1994 roku, niedługo po powrocie z kilkuletniego pobytu w Kijowie. Domyślałem się, że tamto spotkanie będzie dla mnie kluczowe – od tej rozmowy mogła zależeć przyszłość naszej rodziny. Byłem już wówczas studentem I roku seminarium duchownego i myślałem o przyjęciu święceń kapłańskich. Do bardzo ważnej dla mnie rozmowy starałem się przygotować w odpowiedni sposób, tym bardziej, że znałem przecież kilku hierarchów z okresu kijowskiego, ich maniery i zwyczaje. Nadszedł dzień spotkania, rozpoczęła się Liturgia – pierwsze obserwacje w cerkwi i pełna konsternacja. Wzniosła, ale bez patosu i nadmiernej, sztucznej podniosłości Liturgia i żywe słowo kazało się domyślać człowieka otwartego, serdecznego i… prostego w najlepszym znaczeniu tego słowa. Moje zaciekawienie rosło. Podczas obiadu ówczesny łobeski proboszcz, o. Jerzy Ignatowicz, przedstawił mnie jako „seminarzystę z naszej diecezji, a dokładnie z jego parafii". Władyka aż zaniemówił: „Z naszej diecezji i ja o tym nic nie wiem?". Chwila dziwnej ciszy, podczas której szybko postarałem się wytłumaczyć hierarsze, że owszem, jest to sytuacja nietypowa, ale inaczej po prostu nie mogło być. Nie znałem miejsca, w którym zamieszkamy, a nie chcąc tracić roku w seminarium złożyłem dokumenty za namową i wiedzą metropolity Bazylego, do którego udałem się prosto z warszawskiego dworca, zaraz po przyjeździe. To rozwiało wątpliwości Władyki i, by mieć okazję do rozmowy, uprzejmie posadził mnie zaraz obok siebie. Teraz miałem poznać jeszcze inne oblicze Władyki – subtelny dowcip. Podano kalmary. Gospodarz, anonsując danie, na nieszczęście napomknął, iż jest dość drogie. Władyka zdążył już spróbować i widać było, że bardzo mu smakuje, ale usłyszawszy o jego „walorach" zatrzymał widelec z kolejną porcją w pół drogi. Odłożył go, odsunął miskę. Chwilkę pomyślał... „Cóż, w takim razie nie wypada mi tego jeść. A macie jeszcze trochę tej sałatki?". „Tak, władyko, są dwie miski". „No to dajcie tu, mamy gościa z zagranicy, dla niego będzie odpowiednie". Mówiąc to postawił obie miski przede mną. Czułem się co najmniej niezręcznie... Próbowałem oponować, ale Władyka z uśmiechem powtarzał: „Ależ proszę jeść, śmiało, to bardzo drogie danie. Tacy goście...". Rad nie rad musiałem zmęczyć ten prezent.

Władyka Jeremiasz jako młody biskup wrocławski ze ś.p. o. Bazylim Michalczukiem, proboszczem parafii w Gorzowie Wielkopolskim



Naraz Władyka pyta gospodarza: „A kalmary, to według was, co to jest? Ryby, ślimaki, małże, może jeszcze coś?". „Chyba raczej ryba, bo w rybnym kupiłem". „No – roześmiał się Władyka, rozładowując sytuację – dobrze, że nie w mięsnym, bo nie moglibyśmy ich dziś jeść". Podczas odjazdu Władyka zaprosił mnie do Wrocławia, by jakoś bliżej mnie poznać, na spokojnie porozmawiać, poobserwować. I tam wziął do siebie na górę na obiad, podał, pozbierał naczynia. Na chwilkę musiał odejść, więc szybko zacząłem zmywać po obiedzie, ale Władyka zaraz wrócił i poprosił, bym tego nie robił. On sam zmyje. Ta scena wróciła dwa, może trzy lata temu, gdy podczas jakiegoś luźnego, wesołego spotkania Władyka opowiadał o swojej wizycie (jeszcze jako Jana Anchimiuka) w Londynie, u metropolity Antoniego (Blooma). Po skończonym obiedzie gość z Polski stanął przy zmywaku i „wyobraź sobie, czuję, jak ktoś mnie delikatnie klepie w plecy. Odwracam się, a tu metropolita: *Mołodoj czełowiek, nie zabierajcie mi chleba. To moja praca*.

Władyka wyświęcił mnie na diakona w grudniu 1996 roku. Praktykę diakońską mogłem przejść dopiero w okresie Wielkiego Postu i pierwszych dni Paschy we wrocławskiej katedrze.

Podczas pobytu we wrocławskiej siedzibie arcybiskupa po raz pierwszy miałem okazję przyjrzeć się Władyce z bliska. Jego energia, zapał do celebrowania kolejnych, przeciągłych przecież, nabożeństw Wielkiego Tygodnia były porażające. Pierwsze trzy dni Wielkiego Tygodnia Władyka sam czytał Ewangelię. Poprosił, czy mógłbym mu towarzyszyć w charakterze *cztieca* i trochę pośpiewać. „Oczywiście, z chęcią – odparłem – ale ze śpiewaniem to u mnie nie najlepiej". „Jakby nie było, to i tak lepiej niż u mnie" – odparł z ogromną dozą samokrytyki. Władyka czytał po słowiańsku tekst Nowego Testamentu, ja – niestety – nie wytrzymując tego wysiłku czasem zasypiałem, stojąc nad książkami. Władyka się nie zrażał: „Nie martw się, po prostu kiedy będziesz potrzebny, chrząknę lub coś głośniej powiem".

Na Paschę, po nocnej Liturgii, wszyscy siedliśmy do wspólnego stołu. Władyka krzątał się, nakładał, nalewał, obsługiwał, jak mógł. Po pewnym czasie pyta: „Chcesz ze mną posłużyć drugą paschalną Liturgię, o dziesiątej?". „Jak to, przecież... – i oczami wskazałem na stół pełen obfitości. „Naucz się patrzeć" – powiedział wówczas Władyka. Dopiero teraz spostrzegłem, że stojący przed nim talerz był czysty. Trzeba dodać, że nie jadł nic od Wielkiego Piątku. To była jedyna – jak do tej pory – Liturgia, której nie służyłem w pełnym wymiarze, tj. służyłem bez *Priczastija*.

Kolejne bliższe spotkanie miało miejsce w lipcu 1998 roku w Słupsku, w dniu święta parafialnego. Podczas obiadu Władyka zaproponował mi objęcie w najbliższym czasie tej placówki. Nie myślałem o tym – seminarium skończone, żyło nam się dobrze, spokojnie. Posługa diakona w Łobzie nie absorbowała na tyle, bym nie mógł pracować zawodowo, co czyniliśmy z żoną z zupełnie dobrym skutkiem. Nieco rozleniwiony stabilnością ówczesnej sytuacji nie przyjąłem propozycji. Władyka był zdecydowany i wręcz nalegał: „Zaproponuję ci to publicznie, przy wszystkich. Pod taką presją nie dasz rady odmówić". „Dam radę, Władyko". Do dziś czuję niesmak swego zachowania. Ale Duch Święty powiał w inny sposób. Kilka miesięcy potem, w połowie września, po powrocie z pracy zastałem w domu dziwną ciszę. „Przed chwilą dzwonił Władyka" – powiedziała żona. Było grubo po północy. „Prosił, byś przemyślał jeszcze raz decyzję o Słupsku. Prosił też, byś oddzwonił. Do rana jest pod telefonem". Oboje raz jeszcze się zastanowiliśmy, krótka modlitwa i telefon do Władyki. Odebrał po pierwszym dzwonku. Decyzja zapadła.

Jeśli już przy telefonach jesteśmy – nie pamiętam przypadku, by Władyka nie oddzwonił, nie mogąc wcześniej odebrać połączenia. Jeśli mimo wszystko coś takiego się działo – wiedzieliśmy, że jest źle. Przejrzałem też kilkuletnie esemesy od Władyki. Większość z nich to: „bardzo proszę", „bardzo dziękuję", czasem „przepraszam, ale...". Autorytet budowany na szacunku bliźniego.

Po przybyciu do Słupska rozpoczęliśmy spory remont. A to wiązało się z kosztami, które nas przerosły. Władyka przyjechał, obejrzał, popytał. „Zróbcie chociaż sobie łazienkę. Tyle pracy, małe dziecko, chociaż tam można jakoś się normalnie poczuć". „Zrobilibyśmy, ale nie ma za co – odparłem – poczekamy, powoli jakoś się zrobi". „Nie, zrobi się teraz i zrobi się dobrze. Ile potrzebujecie?". „Około ośmiu tysięcy" – odparłem. Władyka poprosił kierowcę, Mietka Oleśniewicza, o kurs do najbliższego bankomatu. Mieczysław przywiózł pieniądze, okazało się, że kilka dni

wcześniej Władyka otrzymał nagrodę rektorską, która do nas trafiła. Taka sytuacja miała miejsce kilkakrotnie...

Jeszcze z innej strony dane mi było poznać Władykę po śmierci o. Antoniego Habury, który zginął w wypadku samochodowym w marcu 2006 roku. Późnym wieczorem siedzieliśmy z Władyką i matuszką Tośka, Asią, w pokoju, trochę rozmawialiśmy. Władyka nagle bardzo powoli, dobitnie i z namysłem, mimo całego dramatu tej chwili, powiedział: „Mam wrażenie, że Bóg jest bardzo blisko". Te słowa, powiedziane w taki sposób, z takim przekonaniem, zabrzmiały jak fundament, na którym można było się oprzeć i wówczas, i w kolejnych ciężkich chwilach.

Dużą sympatią Władyka darzył Kaszubów i była to sympatia odwzajemniana. Często spotykał się z członkami Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego, latem wielokrotnie wspólnie jeździliśmy do Władyki do Rowów na jakieś luźne spotkania. Podczas pogrzebu cioci w mojej rodzinnej parafii (pod Bytowem) w czasie Liturgii przebywałem w ołtarzu. Zaprzyjaźniony ksiądz proboszcz podczas wygłaszania kwestii: „Módlmy się jeszcze za naszego papieża X i za naszego biskupa X" na chwilkę przerwał, odwrócił się do mnie i spytał: „Jak Twojego Jeremiasza tytułować?" i po chwili kontynuował: „Jeremiasza, arcybiskupa wrocławskiego i szczecińskiego". Cóż, takiej otwartości się nie spodziewałem, a Władyka, gdy w żartach opowiedziałem mu tę historię, dziwnie się zamyślił. Z pewnością nie takiej reakcji się spodziewałem.

Któregoś kolejnego lata Władyka przyjechał na coroczny urlop do Rowów w piątek. Spytany o plany na sobotę przeprosił, że nie może w Słupsku celebrować Liturgii (na co wszyscy czekaliśmy z radością), ponieważ musi wracać na niedzielę do Wrocławia. Tam wyszło jak wyszło i nie ma zastępstwa, księża mają zaplanowane i uzgodnione wcześniej urlopy. Zdumiałem się, i to mocno: „Ale przecież ja mogę pojechać!". „Nie chciałem cię prosić, bo też masz urlop" – odparł. A dla mnie był to podwójny zaszczyt – Władyka celebrował w Słupsku, ja miałem przyjemność służenia w katedrze, z którą byłem związany od czasów święceń.

Podczas ostatniego pobytu w Słupsku, zeszłego lata, Władyka został u nas po Liturgii na obiad. W tym samym czasie w hospicjum leżała Ania Pilawska, lekarz anestezjolog, którą wraz z mężem, Sławkiem, Władyka miał kiedyś okazję poznać u nas na obiedzie. W przeddzień odwiedziłem Anię i opowiedziałem o przyjeździe Władyki do Słupska. Rano zadzwonił Sławek: „Wiesz, może spróbuj poprosić Władykę, by po drodze do Rowów znalazł chwilkę na odwiedziny u Ani. Ją by to mocno wsparło". Trzeba dodać, że Władyka już wówczas czuł się bardzo źle, z trudem się poruszał, chodzenie sprawiało mu ból. Gdy wsiadaliśmy do auta, nieśmiało zapytałem, czy byłaby taka możliwość. „Do pani Ani? Oczywiście. Jedziemy". Trafiliśmy akurat na niedzielną Eucharystię, celebrowaną przez kapelana hospicjum, na głównym holu. Aby przejść do pokoju Ani, musieliśmy przejść obok tymczasowego ołtarza. Poczekaliśmy, aż zakończy się Ewangelia i ruszyliśmy. Wizyta była krótka, ale bardzo owocna. Wzruszająca to była scena, gdy dwoje chorych ludzi (Władyka poprosił, bym nie wychodził), świadomych swego końca, rozmawiało ze sobą o rzeczach w życiu najważniejszych. Odchodząc Władyka błogosławił Anię i raz jeszcze podkreślił: „Pani Aniu, najważniejsze to radość w środku. Taka radość mimo wszystko, to cała reszta nie jest tak dokuczliwa". Gdy wchodziliśmy ponownie do korytarza, celebrans, słysząc nas wychodzących, odwrócił się akurat ze słowami: „Przekażcie sobie znak pokoju", po czym podszedł do nas i serdecznie nas uściskał. Władyka miał łzy w oczach.

Słowa te powtórzył podczas ostatniego spotkania z duchownymi naszej diecezji podczas tegorocznych wielkopostnych rekolekcji. Widząc łzy w naszych oczach dobitnie i z uśmiechem (mimo bólu, który temu towarzyszył) kilkakrotnie powtórzył: „Nie patrzcie na to, jakim mnie widzicie. W środku jest radość. A radość płynie z Eucharystii. To największe szczęście, największy skarb dla człowieka – Eucharystia". Wiedzieliśmy, że tymi słowami się z nami pożegnał. I takim Go zapamiętamy.

Jadąc na *otpiewanije* władyki do wrocławskiej katedry nie spodziewałem się, że smutek i poczucie pustki zmieni się w tak wielką radość. Wracając, przepełniony tą wewnętrzną radością, nie czułem już, że wracam z pogrzebu drogiego mi człowieka. Mało tego, nagle zrozumiałem ewangeliczne słowa: „A wasz smutek w radość się przemieni" (J 16,20). Uśmiechałem się na samą myśl o tym, że ludzie, którzy przybędą do Warszawy na pogrzeb ukochanego Władyki, jeszcze o tym nie wiedzą. Tak, Pascha, tj. czas, w którym odszedł nasz Władyka, był jedynym takim okresem, który był w stanie sprawić, że dramat ostatnich dni Władyki i jego odejście nie wywołały długotrwałej i głębokiej żałoby osieroconej diecezji. *Sława Bohu za wsio!*

Christos Woskriesie, Drogi Władyko!

o. Mariusz Synak
fot. **Aleksander Demczuk**
i **archiwum Jarosława Makala**

MŁODZIEŻOWY WŁADYKA

Do Warszawy przyjechaliśmy wraz z bratem Jarosławem na studia w 1975 roku. Z racji dojazdu z Ochoty było nam bliżej na Wolę, gdzie w tym czasie dyrygentem chóru był kolega naszego ojca Aleksandra z czasów seminarium – Bazyli Kalinowski. W cerkwi na Pradze bywaliśmy okazjonalnie, ale naszą uwagę zwróciły ogłoszenia pisane odręcznie o spotkaniach na tematy teologiczne w dolnej cerkwi po liturgii. Tam też po raz pierwszy spotkaliśmy młodego, trzydziestoparoletniego, człowieka z krótką fryzurą w charakterystycznych okularach, zawsze uśmiechniętego. Jan Anchimiuk (późniejszy Władyka Jeremiasz) posiadał niesamowity dar mówienia o skomplikowanych niuansach teologii i liturgii w sposób niezwykle prosty i zajmujący naszą uwagę. Tematyka spotkań i sposób ich prowadzenia

Wyprawa do Stanisławowa

Sanok, w głębi Aleksander Dubec, późniejszy władyka Adam, w czarnej czapce dr Jan Anchimiuk, późniejszy władyka Jeremiasz, rok 1981

Wyjazd do Holi i Horostyty z chórem młodzieżowym, rok 1979



przyciągały zarówno studentów teologii, jak i pozostałych uczelni. Z tych spotkań z inspiracji naszego pana Jana powstał pomysł organizacji paschalnej pielgrzymki młodzieżowej. Pierwsza pielgrzymka majowa na Świętą Górę Grabarkę zapoczątkowała niesamowitą spontaniczną aktywizację młodzieży i studentów wokół Cerkwi. To radość wspólnego przeżywania Zmartwychwstania była i jest do tej pory głównym motorem majowych pielgrzymek. Do tej pory wspominam ten czas jako najlepszy okres w swoim życiu. Czuliśmy powiew Bożej Łaski w naszych przedsięwzięciach. Powstało Koło Teologów Prawosławnych Szkół Teologicznych, Świeckich i Młodzieży Laickiej – pierwsza prawosławna organizacja młodzieżowa w krajach tzw. bloku wschodniego. Pan Jan inspirował naszą aktywność, zapraszając do swojego mieszkania na Podleśnej, gdzie godzinami omawialiśmy nowe plany i przedsięwzięcia. Były wspólne spotkania wigilijne, obozy w Bieszczadach, wypady do Kampinosu, wypad na żaglówki na Mazury. Dzięki spotkaniom poznało się wiele późniejszych małżeństw, w tym i moje. Pamiętam, gdy pan Jan nas poinformował, iż metropolita Bazyli zaproponował mu kontynuację pracy na rzecz Cerkwi w posłudze biskupiej. W szczególności utkwiła mi w pamięci jego prośba, abyśmy zawsze otwarcie przekazywali mu informację zwrotną, jeśli zauważymy coś niewłaściwego w jego postępowaniu. To był nasz młodzieżowy Władyka. Zawsze otwarty, pogodny, z dużym poczuciem humoru i niesamowicie delikatny. Każde spotkanie z nim to zaproszenie do dyskusji i wymiany poglądów. Mimo olbrzymiej zajętości zawsze znalazł czas na rozmowę i pochylenie się nad codziennymi problemami innego człowieka. Władyka Jeremiasz posiadł dar nawiązywania osobistej więzi z każdym spotkanym człowiekiem. To dzięki temu na jego pożegnaniu w wolskiej cerkwi czuliśmy się jak jedna rodzina. Władyka jako wybitny egzegeta Nowego Testamentu często komentował Listy św. Apostoła Pawła z niedzielnych czytań. Na jednym ze spotkań na Pradze omawialiśmy treść listu św. apostoła Pawła do Tymoteusza i Władyka zwrócił uwagę na porównanie życia chrześcijańskiego do sportowego wyczynu – „W dobrych zawodach wystąpiłem, bieg ukończyłem, wiary ustrzegłem. Na ostatek odłożono dla mnie wieniec sprawiedliwości, który mi w owym dniu odda Pan, sprawiedliwy Sędzia, a nie tylko mnie, ale i wszystkim, którzy umiłowali pojawienie się Jego" (2 Tym 4,6-8).



Niech ten cytat pozostanie najlepszą ilustracją życia naszego Władyki, a nam pozostaje modlitwa za jego duszę i oczekiwanie na ponowne spotkanie się z Nim w życiu wiecznym. *Christos Woskriesie* Drogi Władyko!

Sławomir Makal

fot. **archiwum Jarosława Makala**



JAK MAMY DZIĘKOWAĆ

I znowu nas zebrałeś, Władyko. Już nie dwudziesto-, lecz prawie sześćdziesięciolatków. Staliśmy przy Tobie tym razem nie po to, by wysłuchać twego odczytu, pojechać na pielgrzymkę czy na spacer do Kampinosu, lecz by pobrać ostatnią lekcję. Twego mądrego, głęboko wierzącego życia. By żarliwą modlitwą za *upokojenie* Twojej duszy spróbować podziękować Ci za wszystko.

W naszej pamięci, zapisałeś się na przełomie lat 70. i 80. jako doktor. Nasz doktor.

Nasz doktor Jan Anchimiuk pracował na Chrześcijańskiej Akademii Teologicznej, mieszkał na Podleśnej i co niedziela, po Liturgii w warszawskim soborze, zbierał nas, prawosławnych studentów, na spotkania. Siadaliśmy przy długim stole, w niedużej salce przylegającej do dolnej cerkwi, dziś stanowiącej jej integralną część,



Postrig, chirotonia i pierwsze arcypasterskie błogosławieństwo władyki Jeremiasza, rok 1983

z ekspozycją pięknych mozaik ze zburzonego warszawskiego soboru św. Aleksandra Newskiego. I słuchaliśmy, nieśmiało zadając pytania. A mieliśmy o co pytać. Lekcje religii prowadzone były wtedy na plebaniach według bardzo indywidualnych programów, a i książek o prawosławiu ze świecą można było szukać. Tylko szczęśliwcy mieli w swych bibliotekach „Wschodnie chrześcijaństwo" Zernowa, a po „Prawosławie" Józefa Kellera wydeptywaliśmy po księgarniach ścieżki.





A doktor nas uczył, tłumaczył, objaśniał. I *wocerkowlał*. Jego wiedza była ogromna, a wiara niezłomna. Spotykaliśmy się nieraz w jego mieszkaniu na Podleśnej – podejmował nas herbatą (przy okazji ucząc, jak należy ją parzyć), podawaną na ręcznie tkanym przez jego mamę lnianym obrusie, przygotowywał grzanki z serem. Miał niesamowitą charyzmę – organizował z nami a to wypad do Puszczy Kampinoskiej, a to wyjazd w góry. Nocowaliśmy w domu rodzinnym o. Mariana Bendzy, doktor uczył nas wtedy jazdy na nartach i nieważne, że było nas dwa razy więcej niż nart – wtedy umieliśmy się dzielić. A wieczorami, po modlitwach, czytał na głos „Kiedy Kraków był trzecim Rzymem" Franka Kmietowicza. Jak dzisiejsza młodzież przyjęłaby taką lekturę?

To z jego inicjatywy zostały zorganizowane pierwsze pielgrzymki. I choć lawinowo rosła liczba uczestników, doktor dbał, żeby nikt nie czuł się samotny, doceniał pracę każdego z nas. Choć zupełnie nie wiem, jak to robił, dla każdego znajdował czas. Stale podkreślał wagę Eucharystii. I siał, siał, siał.

Gdy przyszedł czas, podjął decyzję, a może nawet ryzyko, utworzenia Bractwa Młodzieży Prawosławnej. I chociaż nie od razu zostało zarejestrowane, wkrótce zaczęło pączkować – miało swoje oddziały w Łodzi, Gdańsku, Białymstoku, Wrocławiu, Drohiczynie. W wielkich bólach rodził się jego statut – w Warszawie pracowały nad nimi dwie najtęższe nasze głowy – Borys Kierdaszuk, dziś pracownik naukowy biochemii na Uniwersytecie Warszawskim, i Eugeniusz Sadowski.

Wieści o naszej działalności, pierwszej w bloku państw socjalistycznych, powoli wychodziły poza granice kraju. Pamiętam wizytę gościa z Syndesmosu, Aloszy Strouve z Francji, jego samotne spacery pośród okolicznych lasów na Grabarce – zdziwienie, że nie natrafił na oddziały milicji. Pamiętam wizytę arcybiskupa Pawła na jesiennej Grabarce (bo i takie były, o tak), któremu bardzo spodobała się nasza inscenizacja do *Afonskowo Listka*. Poprosił o słowa, chciał je przełożyć na fiński. Gdy młodzież zaśpiewała mu *mnogaja leta*, poprawił: – *Dla monacha pojut Spasi Chrystie Boże*.

Po latach dowiedzieliśmy się, że był specjalnym wysłannikiem Światowej Rady Kościołów, który tu na miejscu miał sprawdzić, jak w stanie wojennym funkcjonuje Cerkiew.

I dzień, w którym Bractwo wstępowało do Syndesmosu też pamiętam. W 1983 roku na Krecie razem z nami wstępowali studenci szkół teologicznych ZSRR. Pokazywaliśmy zdjęcia, opowiadaliśmy o Bractwie, Grabarce i Przemienieniu, w białoruskich ludowych strojach zaśpiewaliśmy *Pred*

Toboju moj Boh, Nese Hala wodu i *Kalinkę*.

Za każdym z tych wydarzeń stał On – Nasz Doktor. Nauczyciel. Przewodnik. Przyjaciel. I doskonały teolog. Właśnie wtedy opublikował „Aniołów sądzić będziemy". Pracował bardzo dużo. Gdy miał tekst do napisania, lubił wcześniej pospacerować po puszczy, a potem zaparzał termos kawy.

Byliśmy z nim w dzień jego święceń diakońskich i kapłańskich. Na jego chirotonię przyjechało może nawet ze stu młodych ludzi. Gdy łańcuszek wiernych podchodził po jego pierwsze arcypasterskie błogosławieństwo, stanęliśmy pod klirosem i śpiewaliśmy mu pieśni z *Bogogłasnika* (sami na to nie wpadliśmy, wcześniej na chirotonii władyki Adama robili tak Łemkowie).

Później władyka poprosił mnie o przetłumaczenie tekstu do Biuletynu Informacyjnego Bractwa, potem o napisanie krótkiego artykułu. Kto wie, gdyby nie te pierwsze próby, czy związałabym swoje zawodowe życie z „Przeglądem Prawosławnym".

Później już jako władyka wrocławski i szczeciński niejednokrotnie przyjeżdżał z odczytami do Białegostoku – sala w Centrum Kultury Prawosławnej zawsze pękała w szwach.

W 2013 roku władyka obchodził 70 rocznicę urodzin. Z tej okazji Chrześcijańska Akademia Teologiczna wydała pamiątkową księgę „Ku Słowu, ku Kościołowi, ku światu". W dedykacji napisał, że dziękuje mi i mężowi za wykonaną i wykonywaną pracę. A jak my mamy Wam podziękować, Władyko?

Wiecznaja pamiat'.

Ałła Matreńczyk
fot. **Jerzy Tomaszenko**

ZMIENIŁ MOJE ŻYCIE

W 2009 roku ówczesny przewodniczący Bractwa Młodzieży Prawosławnej poprosił osoby tworzące Bractwo o podzielenie się refleksjami o jego znaczeniu w życiu Cerkwi i w naszym życiu osobistym. Napisałem wówczas, że Bractwo zmieniło moje życie, że było i jest obok rodziny największą moją radością, że gdy przychodzą zwątpienia i smutek pocieszam się, że dokładając małą cegiełkę do jego powstania nie zmarnowałem życia. Jednak w moim życiu – i tego wtedy nie napisałem – nie byłoby Bractwa, a następnie mojego udziału w społeczno-politycznym życiu naszej społeczności, nie tworzyłbym redakcji „Przeglądu Prawosławnego", tego wszystkiego by nie było, gdybym ponad czterdzieści lat temu nie spotkał młodego wówczas asystenta Chrześcijańskiej Akademii Teologicznej, Jana Anchimiuka, dla nas, pokolenia studentów warszawskich uczelni z przełomu lat 60. i 70. „Janka", dla studiujących po nas „naszego doktora", a od 1983 roku „naszego władyki" Jeremiasza. Myślę, że po otrzymaniu wiadomości o Jego odejściu do wieczności wielu, podobnie jak ja, zastanawiało się, jakie byłoby ich życie, gdyby nie poznali Go osobiście lub nie zetknęli się z Bractwem.

„Władyko Jeremiaszu – powiedział w czasie pogrzebu metropolita Sawa – to naszemu Zbawicielowi, głowie świętej Cerkwi, poświęciłeś swoje ziemskie życie, służąc mu wiernie, realizując wszechstronnie swój talent, który otrzymałeś od Boga".

W tej służbie niezwykle ważne, może najważniejsze obok życia liturgicznego, miejsce zajmowała troska naszego Władyki o ludzi świeckich, o ich *wocerkowlenije*, włączenie w pełnię cerkiewnego życia. Ta troska wynikała z trzeźwej oceny sytuacji, w jakiej znalazła się Cerkiew, a więc i cała prawosławna społeczność w naszym kraju na przełomie lat 60. i 70. ubiegłego wieku.

Dezorganizacja życia cerkiewnego po zmianie granic państwowych, powojenny terror polskiego podziemia, wysiedlenia w ramach Akcji Wisła, procesy migracyjne ze wsi do miast, nowe, dla wielu atrakcyjne, ideowo-polityczne założenia nowego ustroju niosły w skutku rozpad świadomości i więzi łączących prawosławnych z ich wiarą, kulturą, tradycją. W ocenie młodego, dorastającego w powojennych realiach, naukowca stopień zagrożenia zbliżał się do niebezpiecznego progu, przekroczenie którego przyniosłoby



opłakane skutki w postaci utraty przez znaczącą część naszej społeczności więzi z własną kulturą, tradycją i wiarą. Oznaczałoby to polonizację i w dłuższej perspektywie indyferentyzm religijny i odejście od prawosławia.

Wśród prawosławnych istnieje przekonanie, że o stanie Cerkwi, o jej duchowym życiu świadczą monastery. W latach 70. w naszej Cerkwi były dwa monastery: męski w Jabłecznej, w którym był jeden, wykształcony, zesłany tu za próby aktywizacji życia cerkiewnego, mnich. Był nim obecny metropolita Sawa. W drugim, żeńskim na Grabarce była matuszka Barbara i kilka w bardzo zaawansowanym wieku mniszek. Na wsiach ludzie tradycyjnie chodzili do cerkwi. W miastach było inaczej. – Nieraz – opowiadał mi ś.p. o. Serafin Żelaźniakowicz – widziałem „prawosławnego" urzędnika, który idąc ulicą Lipową w Białymstoku, przed soborem przechodził na drugą stronę ulicy, by ktoś nie pomyślał, że idzie do cerkwi. „Już w końcu lat 60. było wyraźnie widać, że lekcje religii i kazania nie trafiały do wszystkich, że bardzo wielu ludzi miało fałszywe albo nie miało żadnego wyobrażenia o życiu Cerkwi prawosławnej" – tak władyka Jeremiasz opisywał ówczesną sytuację.

Choć w moim środowisku z lat studenckich mało osób dystanso-



Biskupi Sawa i Jeremiasz na Świętej Górze Grabarce na majowej pielgrzymce młodzieży, pierwsza połowa lat 80.

wało się od Cerkwi, nasza wiedza o prawosławiu była znikoma. Gdy po raz pierwszy, a było to w 1969 roku, młody asystent ChAT zaprosił nas na spotkanie, na którym mieliśmy rozmawiać o Cerkwi i naszym udziale w jej życiu, byliśmy onieśmieleni. W większości wiejskie dzieci, wynieśliśmy z domów przykład wiary naszych rodziców, ale większość z nas duchownego widziała w cerkwi w czasie nabożeństwa, a poza nią to na cmentarzu w czasie pogrzebów czy poświęcania grobów. O rozmowie, a tym bardziej dyskusji, z duchownym nie było mowy. Tylko sporadycznie coś o Cerkwi mogliśmy przeczytać w „Wiadomościach PAKP". Nie było książek ani czasopism, a o radiowych czy telewizyjnych audycjach nikomu nawet się nie śniło. Byliśmy drugim pokoleniem, któremu nowa polityczna rzeczywistość umożliwiła wyrwanie się z zamkniętego dla naszych rodziców kręgu biedy, a często zwykłej nędzy. Choć nie mieliśmy większych pretensji do PRL-owskiej rzeczywistości, nie przyjmowaliśmy za własną oficjalnej, obowiązującej ideologii. Wchodząc w dorosłe życie poszukiwaliśmy odpowiedzi na pytania o nasz stosunek do Boga, do Cerkwi, także o to, kim jesteśmy w sensie narodowym. Od odpowiedzi na te pytania zależały dalsze drogi naszego życia.

I oto pojawił się młody człowiek nie w sutannie, co miało dla nas znaczenie, dzięki któremu na nasze problemy mogliśmy spojrzeć z innej perspektywy. Bractwo, choć wówczas nie używaliśmy tego określenia, stało się dla nas doświadczeniem, które utwierdzało nas w tym co intuicyjnie czuliśmy. Odkrywaliśmy, że prawosławie jest nie tylko święte, ale też piękne, że w nim możemy znaleźć odpowiedź na nasze pytania i rozterki. Dzięki nawiązanej w ramach Syndesmosu międzynarodowej współpracy odkryliśmy, że jest także uniwersalne w sensie geograficznym.

Bractwo istnieje do dziś i choć w jego historii okresy aktywnej, prężnej działalności, przeplatają się z okresami „stabilizacji", to wciąż jest ono miejscem jednoczącym, ułatwiającym młodym ludziom odnajdywanie drogi do Cerkwi i Boga.

Ale Bractwo nie zaistniało samo z siebie. Jego powstanie poprzedziło dziesięć lat wytężonej pracy późniejszego arcybiskupa Jeremiasza, tej pracy, mimo wielorakich przeciwności, w tym niezrozumienia jej przez dużą część duchownych, traktujących Jego inicjatywę jako „protestanckie wymysły". Jej celem, gdyby pokusić się o najkrótsze sformułowanie, było uświadomienie jak największej liczbie ludzi jednego z podstawowych elementów nauczania Zbawiciela, Apostołów i Ojców Cerkwi o tym, że każdy ochrzczony, niezależnie czy jest mężczyzną czy kobietą, jest powołany do kapłaństwa królewskiego.

Myśl teologiczna w ciągu ostatnich wieków zarówno na Zachodzie jak i na Wschodzie – pisał władyka w publikowanym, ukazującym się jeszcze jako „Tygodnik Podlaski" naszym „Przeglądzie" tekście (nr 2/1987) – zaciemniła świadomość powołania każdego ochrzczonego do kapłaństwa królewskiego. W tym rozpoczynającym się od cytatu: „I wy sami jako kamienie żywe budujcie się w dom duchowy, w kapłaństwo święte, aby składać duchowe ofiary przyjemne Bogu przez Jezusa Chrystusa. (...) Wy jesteście rodem, wybranym, królewskim kapłaństwem, narodem świętym, ludem nabytym, abyście rozgłaszali cnoty tego, który was powołał z ciemności do cudownej swojej światłości. Wy, którzy niegdyś byliście nie ludem, teraz jesteście ludem Bożym, dla was niegdyś nie było zmiłowania, ale teraz zmiłowania dostąpiliście" (1 P 2,5,9,10). W tekście Władyka przypomniał, czym w istocie jest Cerkiew i jaki powinien być cel działalności każdego chrześcijanina. „W obrazie Kościoła – czytamy dalej – według ksiąg Nowego Testamentu nie ma zatem i miejsca na podział członków Kościoła na grupy. Obraz Kościoła nie jest obrazem organizacji składającej się z przywódców i bezkształtnej masy, której przywódcy nadają kierunek. Taki obraz Kościoła, czy nawet w ogóle czynienie z Kościoła organizacji lub instytucji pozostaje wyraźnie w sprzeczności z nauczaniem Chrystusa i Apostołów. Obraz Kościoła ksiąg Nowego Testamentu jest raczej obrazem Ludu Bożego wędrującego po tej ziemi ku Ziemi Obiecanej, Królestwu Ojca. Wszyscy członkowie Ludu są równi. Każdy otrzymał dar Ducha Świętego. Ponieważ Duch Święty jest Zasadą Życia, Ożywicielem, to otrzymanie Jego daru jest równoznaczne z powołaniem do życia, czyli do służby. W każdym charyzmacie jest obecna pełnia łaski Świętego Ducha. Dlatego bezprzedmiotowe jest mówienie o

Święta Góra Grabarka, rok 1984. W środku władyka Jeremiasz, z prawej Eugeniusz Czykwin, z lewej prof. Aleksander Naumow



większym lub mniejszym charyzmacie. Nikt w Kościele nie może stać z natury wyżej od kogokolwiek innego, jakkolwiek może pełnić wyższą służbę. Teologowie prawosławni często podkreślają, że nie ma ontologicznej różnicy między biskupem a każdym innym wiernym, jakkolwiek jest różnica w służbie i jest wyraźna hierarchia służb.

W Kościele występują służby niezmienne, w pewnym sensie wyższego rzędu (diakon, prezbiter, biskup) i służby zmieniające się, przybierające różne kształty (nauczyciel, ewangelista, prorok, uzdrowicie i inne). (...).

Naszkicowany wyżej obraz Kościoła i znaczenie świątyni według Ksiąg Nowego Testamentu jest konsekwencją wcielenia Syna Bożego, Jego życia, śmierci i zmartwychwstania, które w sposób jednoznaczny określają cel wszelkiego działania chrześcijanina, w tym również zaangażowania społecznego. Oznacza to, że nie ma podziału na cele religijne, społeczne czy jakiekolwiek inne. Takiego podziału celów działania człowieka nie może być w świadomości chrześcijańskiej. Celem zatem działania chrześcijanina na wszystkich płaszczyznach jest przemienienie (przebóstwienie — *theosis*) świata na drodze uświęcenia siebie, swojego ducha, duszy i ciała oraz całego stworzonego przez Boga świata. Jednym z elementów tej drogi jest eliminacja grzechu, zarówno w sferze życia indywidualnego, jak i społecznego czy politycznego. Dotyczy to zarówno wymiarów lokalnych jednego narodu czy regionu, jak i całej Ziemi i Wszechświata".

Swoją otwartością, okazywanym każdemu człowiekowi szacunkiem, także dystansem wobec rzeczy drugorzędnych, w tym zbędnych ceremoniałów, Władyka zaświadczał swoją, mimo biskupiej godności, równość z każdym innym powołanym do kapłaństwa królewskiego człowiekiem.

Stwierdzanie, że w działalności chrześcijanina nie może być podziału na cele religijne, społeczne czy jakiekolwiek inne wykorzystywałem, tłumacząc moje zaangażowanie w życie polityczne. Będąc posłem na Sejm byłem pytany, czasami miało to formę zarzutu, po co jako działacz Bractwa i redaktor „Przeglądu Prawosławnego" angażuję się w politykę. Przecież Cerkiew – to był stale przytaczany argument – do polityki się nie miesza. Tak – odpowiadałem – Cerkiew jest poza polityką, ale będąc w Bractwie wielu z nas uświadomiło sobie potrzebę aktywności w sferze społecznej, której od polityki oddzielić się nie da. Z tej potrzeby zrodziła się dla przykładu idea wydawania „Przeglądu Prawosławnego" czy, wprawdzie nieudana, próba stworzenia struktury pozwalającej zapewnić prawosławnej społeczności na Podlasiu adekwatnej reprezentacji w samorządzie wojewódzkim i parlamencie, w którym dziś nie mamy swojego przedstawiciela. Gdy te argumenty nie przekonywały moich adwersarzy, mówiłem, że w pracach nad ustawą regulującą sytuację prawną naszej Cerkwi, i to na każdym etapie, uczestniczył arcybiskup Jeremiasz. Przypomnienie, że wypełnianie misji Cerkwi zależy także od obowiązującego w państwie prawa, a to stanowią politycy, zazwyczaj rozwiewało wątpliwości. Innego argumentu usprawiedliwiającego moją poselską aktywność użył Władyka kilka lat temu w czasie majowej pielgrzymki młodzieży na Świętą Górę Grabarkę. Gdy jedna z uczestniczek z oburzeniem zapytała mnie „a co tu na Świętej Górze robi polityk", nie wiedziałem, co mam odpowiedzieć. Wyręczył mnie Władyka, mówiąc do zgromadzonych: „Bóg jest miłosierny. Może to trudno zrozumieć, ale Jego miłosierdzie jest tak wielkie, że każdy, nawet polityk, może być zbawiony".

W całym moim dorosłym, także osobistym życiu Władyka przychodził mi z pomocą. Gdy ciągano mnie po sądach w tzw. procesie lustracyjnym, uspokoił mnie słowami: „Wie Bóg i wiedzą ludzie, co w życiu robiłeś. Dlatego nie ciesz się za bardzo, gdy cię oczyszczą i nie zamartwiaj się, gdyby cię skazali. Wiedz, że ten, kto służy Cerkwi, nie przeżyje życia, nie odczuwając ciężaru Krzyża".

Bóg dał Władyce Jeremiaszowi ciężki krzyż. W trudach i troskach, w ciężkiej chorobie niósł go z pokorą. W paschalny wtorek, w dzień po odejściu Władyki, listonosz przyniósł mi list ze świąteczną kartą, na której przeczytałem: „Wieści o Zmartwychwstaniu Pana naszego Jezusa Chrystusa od samego początku towarzyszyło niedowierzanie. Na Apostołów padł strach. Pan Jezus Chrystus przekonuje ich, by uwierzyli, przywołując do codziennych prostych działań: jedzenia, dotknięcia ran. Zmartwychwstanie wymaga przekroczenia granic, podzielanych dotychczas przekonań, otwarcia na to, co wydaje się niemożliwe. Oby radość Zmartwychwstania towarzyszyła wszystkim nie tylko w te święte dni, ale i w ciągu całego roku.

Jeremiasz, arcybiskup wrocławski i szczeciński, Pascha 2017". Przy życzeniach był nakreślony, wyraźnie słabnącą ręką, podpis „arcybiskup Jeremiasz". *Woistino Woskresie*, Władyko.

Wierzymy, że także tam, przed tronem Wszechmogącego, nasz Władyka będzie naszym orędownikiem i *molitwiennikom*.

Upokoj Gospodi Duszu raba twojego nawopredstawlennogo archijepiskopa Jeremiju i sotwori jemu wiecznuju pamiat'.

Eugeniusz Czykwin
fot. **Jerzy Tomaszenko**
fot. **archiwum Jarosława Makala**

BARDZO NAM IMPONOWAŁ

Późniejszego arcybiskupa poznałam ponad czterdzieści lat temu. Nie był wówczas doktorem, nie przyjął jeszcze święceń, był po prostu Jankiem, kolegą mojego chłopaka. Dostałam się akurat na studia doktoranckie do Warszawy, wyrwałam z rodzinnego domu i niosło mnie poczucie własnej wyjątkowości i nadzwyczajności. Ot, taki niemądry czas. Kiedy mój chłopak, dziś mąż, mi go przedstawił, w swojej próżności i chęci zaimponowania przyjęłam postawę wyższości. Szybko się jednak przekonałam, jaka jestem „cienka". Ten człowiek nie tylko imponował rozległą wiedzą, ale przede wszystkim niezwykłą siłą duchową, połączoną ze skromnością. Miałam porównanie z intelektualnymi tuzami, na których wykłady uczęszczałam, np. profesorami Stefanem Nowakiem, Januszem Reykowskim, Hanną Świdą-Ziembą i innymi. Wszyscy oni byli „tylko" mądrzy, czasem elokwentni, oryginalni, ale nie mieli tej siły ducha, jaką uosabiał Janek.

Byłam na publicznej obronie jego pracy doktorskiej, która wypadła znakomicie i zgromadziła wielu wielbicieli jego talentu, „uwiedzionych" osobistym urokiem i bezpośredniością doktoranta.

Wielokrotnie latem wyjeżdżałam z rodziną do Rowów koło Słupska gdzie znajduje się skromny domek wynajmowany prawosławnym. Władyka też przyjeżdżał tam na odpoczynek. W bezpośrednich kontaktach ujawniała się jeszcze wyraźniej Jego otwartość, ciekawość wobec każdego z nas, czułość i skromność. Niejednokrotnie brał się za sprzątanie, zajmował się dziećmi, starał się bardzo uczestniczyć w codziennych, zwyczajnych obowiązkach domowych. Widzieliśmy, jak przygotowywał się do służb w maleńkiej cerkiewce w Słupsku. Jego kazania były majstersztykami krasomówczymi. Trafiały zawsze w punkt ważny dla słuchacza, często przybierały charakter rozmowy, w której Władyka stawiał pytania, zawieszał głos i zostawiał czas na samodzielne próby odpowiedzi. Tym samym tworzył aurę współuczestnictwa i poważnego partnerskiego dialogu równych stron. Obcy mu był dyrektywny, wyższościowy ton wypowiedzi, jakikolwiek element perswazji czy przemądrzałości. A był wówczas znanym teologiem, profesorem, wykładowcą na wielu uczelniach zachodniej i wschodniej Europy.

W czasie wakacji widziałam Go zadumanego, zamyślonego, modlącego się. Któregoś dnia dowiedziałam się z radia o pożarze na Świętej Górze Grabarce i jako pierwsza powiedziałam o tym Władyce. Widziałam, jak wykonał w tył zwrot i zatopił się w gorącej modlitwie, jakby w innej rzeczywistości.

Po latach, kiedy zdarzało mi się bywać za granicą, prawosławni, ale także ludzie związani ze Światową Radą Kościołów, pytali: „Do you know Jeremaya?" („Czy znasz Jeremiasza?"). Potwierdzenie wywoływało ożywienie interlokutora i pragnienie udzielania pomocy. Każdy kto choćby otarł się o Władykę, należał z zasady do „klubu", był jednym z nas, fanów jego Osoby, należał do „rodziny", stawał się „one of us" („jednym z nas").

Kilka lat temu Władyka zadzwonił do mnie z propozycją pracy na Chrześcijańskiej Akademii Teologicznej, której był rektorem. Nie wahałam się ani chwili. Nie było żadnej rozmowy o pieniądzach. Po 31 latach pracy na Uniwersytecie w Białymstoku – który był moim drugim domem – zostałam pracownikiem ChAT i „podwładną" Arcybiskupa. To dobry czas dla mnie. Poznałam tu np. profesor teologii Kalinę Wojciechowską, protestantkę, „zakochaną", jak ja, w osobie Władyki, ojcu chrzestnym jej jedynego syna. Mam wrażenie, że wiele osób z kadry profesorskiej mimowolnie stara się naśladować w relacjach ze studentami i pracownikami mistrza, jakim był Arcybiskup Jeremiasz. Te starania kreują pewien niespotykany na żadnej innej uczelni klimat ChAT-u, integrujący pracowników i studentów w wolności poszukiwań badawczych, ale też wierności czy choćby szacunku dla transcendentnych wartości.

Władyka wiele uwagi poświęcał idei ekumenizmu. Siłą jego osoby była autentyczność głoszonych przekonań, choćby one nie wszystkim były w smak. Umarł w dniu Paschy, który wszystkie gałęzie podzielonego chrześcijaństwa celebrowały wspólnie. Znak?

Christos Woskresie, Drogi Władyko.

Elżbieta Czykwin

WŁADYKA NIE TYLKO PRAWOSŁAWNYCH

Kilka godzin po cudownej Liturgii paschalnej w warszawskim soborze św. Marii Magdaleny jak grom z jasnego nieba spadła na mnie wiadomość: nie żyje władyka Jeremiasz. Wiedziałem o jego ciężkiej chorobie od dawna. 11 grudnia 2015 roku Ksiądz Arcybiskup pisał do mnie: „Drogi Panie Grzegorzu! W poniedziałek miałem tzw. wlewkę chemiczną. Do następnego poniedziałku nie jestem zdolny do udziału w publicznych wydarzeniach. Serdecznie pozdrawiam i życzę błogosławieństwa Bożego. Arcybiskup Jeremiasz".

Boża reżyseria

Mimo iż zdawałem sobie sprawę z powagi sytuacji, to śmierć zawsze zaskakuje, zwłaszcza w takim dniu

jak Święto Zmartwychwstania. Panuje powszechne przekonanie, że odejście Władyki w tym dniu to nie był przypadek, ale wyraźna reżyseria Boża, nagroda za piękne, wierne Bogu, życie. Warto tutaj podkreślić, że po arcybiskupie Mironie, to drugi prawosławny hierarcha, który w ciągu ostatnich kilku lat umarł w okresie paschalnym.

Telefonuję, mailuję, esemesuję do moich prawosławnych przyjaciół. Od razu też dostrzegam, jak śmierć Arcybiskupa wywołała poruszenie w całej rodzinie chrześcijańskiej w Polsce. „Ogarnął mnie ogromny smutek" – napisał mi w mailu ewangelicki profesor, nieskory do ujawniania wzruszeń.

Przewodniczący katolickiej Konferencji Episkopatu Polski, arcybiskup Stanisława Gądecki, w liście kondolencyjnym do metropolity Sawy nie użył gładkich, pisanych w takich okolicznościach, fraz, lecz zacytował piękne, głębokie słowa z piątej pieśni prawosławnego kanonu Wielkiej Soboty i ukazał śmierć Arcybiskupa w perspektywie zmartwychwstania. Kilka dni później w pogrzebie Władyki Jeremiasza wzięło udział trzech biskupów rzymskokatolickich, mimo że w tym samym czasie i w tej samej dzielnicy przedstawiciele Episkopatu Polski z reprezentacją polskich władz mieli spotkanie z kardynałem Gerhardem Müllerem, prefektem Kongregacji ds. Nauki Wiary, drugą osobą po papieżu w Kurii Rzymskiej. To wszystko świadczy o szacunku, o uznaniu, jakim cieszył się Zmarły w Kościele rzymskokatolickim. Nie tylko zresztą w tej wspólnocie, ale także we wszystkich Kościołach skupionych w Polskiej Radzie Ekumenicznej, której był wieloletnim prezesem jako pierwszy hierarcha prawosławny.

Jana Anchimiuka poznałem jeszcze jako człowieka świeckiego ponad 35 lat temu. Już wówczas wywarł duży wpływ nie tylko na moje myślenie o prawosławiu, ale pomógł głębiej wniknąć w istotę chrześcijaństwa. Pierwsza nasza dłuższa rozmowa pozostawiła we mnie niezatarty ślad. Dr Anchimiuk w kuluarach sympozjum biblijnego „O Słowie Bożym", zorganizowanego 15 listopada 1982 roku w warszawskiej ATK, mówił mi o zmarnowanej w Polsce szansie ekumenicznej, jaką stwarzał list papieża Jana Pawła II z okazji 1500 rocznicy Soboru Konstantynopolitańskiego. Chodziło o problem *filioque,* dzielący od wieków katolików i prawosławnych. Dr Anchimiuk zwrócił uwagę, że w oryginale listu papieskiego widniały słowa o Duchu Świętym, który pochodzi od Ojca, natomiast tłumacz okazał się bardziej papieski niż sam papież i zmienił ten zwrot na sformułowanie: „który od Ojca i Syna pochodzi". Poruszyło mnie to bardzo i od tamtej chwili, w duchu solidarności i jedności z Kościołami Wschodu, gdy podczas mszy odmawiane jest credo nicejsko-konstantynopolitańskie, być może jako jedyny uczestnik Liturgii konsekwentnie opuszczam słowa: „… i Syna". Mówię głośno, tak, żeby słyszeli wierni stojący obok: „Wierzę w Ducha Świętego, który od Ojca pochodzi". Czy zdradzam w ten sposób mój macierzysty Kościół? Jestem przekonany, że nie.

Urodzony pasterz

Potem, na innym sympozjum, niczym sztubacy podśmiewaliśmy się z dr. Anchimiukiem z pewnego biskupa (mniejsza o konfesję), który wydawał się nam nienaturalny i nadęty. A tu, niespodziewanie dla mnie, sam Jan Anchimiuk został biskupem. Byłem bardzo ciekaw, jak poradzi sobie w tej odpowiedzialnej roli, skoro ponad czterdzieści lat przeżył jako świecki. Biskup Jeremiasz okazał się „urodzonym pasterzem", a zawdzięczał to, moim zdaniem, następującym cechom: nieprzeciętnej wiedzy teologicznej, mądrości, otwartości, komunikatywności, znajomości problemów ludzi świeckich. I rzecz najważniejsza: czuło się, że władyka kocha ludzi.

Nic więc dziwnego, że garnęli się do Niego nie tylko prawosławni. Kiedy w czasach mojej młodości wraz z braćmi Makalami zorganizowałem w Warszawie spotkanie młodych katolików i prawosławnych, nie mogło zabraknąć Biskupa Jeremiasza. Podczas agapy w sali metropolii prawosławnej przy ul.



Świerczewskiego (dzisiaj Aleja Solidarności) jeden z moich katolickich kolegów uderzył w bojowe tony.

Mówił, że wobec ateistycznej komuny, która jest naszym wspólnym wrogiem, powinniśmy się jednoczyć w walce przeciwko niej. Przyznam, że wówczas ten pogląd był mi bliski. Młody Biskup Jeremiasz pokazał, że nie tędy droga i postawił sprawę jasno: ekumenizm nie polega na szukaniu wspólnych wrogów i jednoczeniu się w walce przeciwko komukolwiek. Chodzi w nim o to, aby razem dążyć do jedności i każdego traktować jak dziecko Boże. Tę lekcję prawosławnego biskupa dobrze zapamiętałem.

To nie była ostatnia nauka, jakiej udzielił mi Władyka Jeremiasz. Jako człowiek zafascynowany bogactwem chrześcijaństwa przed laty, w obecności Arcybiskupa, zachwycałem się, jaki to pluralistyczny jest „Jego" Wrocław. Mamy tam biskupa rzymskokatolickiego, prawosławnego, luterańskiego, polskokatolickiego – wyliczałem. Władyka Jeremiasz powiedział tylko jedno zdanie: „Biskup powinien być jeden". Uświadomił mi, że to, co jest źródłem mojego zachwytu, stanowi eklezjologiczną anomalię.

Można by bez końca wymieniać zasługi ekumeniczne Arcybiskupa Jeremiasza, wspomnę o jednej, która mnie zauroczyła. Trzech duchownych

Władyka Jeremiasz z metropolitą Kalistosem (Ware), Wrocław, rok 2011



różnych wyznań – abp Jeremiasz, ks. prof. Michał Czajkowski (katolik), pastor Mieczysław Kwiecień (ewangeliczny chrześcijanin) oraz red. Jan Turnau jako redaktor – przez trzydzieści lat tłumaczyli Nowy Testament. W okresie wakacji zbierali się najczęściej w zbudowanym przez arcybiskupa Jeremiasza Prawosławnym Domu Opieki św. Stefana w Cieplicach koło Jeleniej Góry, czasem w warszawskim mieszkaniu Turnaów, pracując bez żadnego wynagrodzenia, poświęcając wolny czas, świadomi, że nie będzie to oficjalny przekład żadnego z Kościołów. Władyce przybywało zajęć, był przepracowany, a mimo to nie opuszczał swoich kolegów w translatorskiej pracy. Dzieło, ukończone w 2012 roku, zostało wydane jako „Ekumeniczny Przekład Przyjaciół".

Łzy władyki

Zawsze z największą radością i zainteresowaniem czekałem na Jego kazanie czy przemówienie. Od znacznej części zwierzchników Władyka Jeremiasz różnił się tym, że nie mówił o Chrystusie, ale o Nim świadczył. Nawet ze znanej perykopy ewangelicznej potrafił wydobyć oryginalną myśl i dać nowe naświetlenie. Jakże żal, że już nigdy nie usłyszymy Jego głębokich komentarzy do Pisma Świętego.

Mam nadzieję, że nikt się na mnie nie obrazi, ale uważałem Go za najwybitniejszego w Polsce prawosławnego teologa i biblistę przełomu tysiącleci.

Przy wielkich walorach intelektu Władyka Jeremiasz był człowiekiem niespotykanie dobrym i wrażliwym. Zapamiętałem następujący epizod. 2 stycznia 2005 roku zmarła katolicka zakonnica, s. Joanna Lossow, bardzo zasłużona dla ekumenizmu w Polsce. Kolega z KAI zadzwonił do Władyki z prośbą o wspomnienie. Po drugiej stronie słuchawki zapadła długa cisza. Wreszcie dziennikarz usłyszał szloch: to prawosławny hierarcha opłakiwał katolicką zakonnicę.

Wiem, że z kolei Jego śmierć wywołała łzy niejednego katolika. Władyka Jeremiasz, namiętnie kochający prawosławie, służył – jak mało który duchowny – wszystkim Kościołom chrześcijańskim, działającym w naszej ojczyźnie i dlatego ośmieliłem się dać tytuł mojemu wspomnieniu: „Władyka nie tylko prawosławnych". Nie tylko prawosławni odczuwają po śmierci Arcybiskupa Jeremiasza duchowe sieroctwo.

Słusznie powiedział podczas pogrzebu metropolita Sawa, że „święci ludzie odchodzą w okresie wielkanocnym" i że to wielka łaska umrzeć w takim czasie. Ale czyż nie jest także wymownym znakiem fakt, że Władyka Jeremiasz, tak oddany i szczery w pracy na rzecz jedności, umarł w czasie, kiedy chrześcijanie Wschodu i Zachodu świętowali razem największe nasze święto – Wielkanoc?

Wieczna Ci pamięć, drogi Władyko.

Grzegorz Polak

NASZ WŁADYKA

Czy to bezczelność ze strony rzymskiego katolika nazywać księdza arcybiskupa Jeremiasza „naszym Władyką"? Być może to uzurpacja. Ale znam wielu katolików (w tym nawet biskupów), którzy bardzo szanują i lubią prawosławnego hierarchę.

Natomiast w naszym małym gronie tłumaczy Nowego Testamentu (Ekumeniczny Przekład Przyjaciół) był rzeczywiście „naszym Władyką". Nie dlatego, że Jemu ten przekład najwięcej zawdzięcza, bo jest świetnym znawcą języka greckiego, a także biblistyki i teologii (prawosławnej teologii uczyliśmy się od Niego), ale przede wszystkim dlatego, że obdarował nas swoją przyjaźnią.

Jest człowiekiem bezpośrednim, serdecznym, ciepłym, radosnym (mimo kłopotów zdrowotnych).

Żartobliwie odnosiłem czasem do moich pasterzy przekręcone słowa Jezusa. Zdanie: „Nie przyszedłem, aby służyć, lecz aby mi służono" stało się hasłem biskupim.

Nasz Władyka jest zawsze skromny, pokorny i uczynny. Podczas posiłków w bardzo naturalny sposób usługiwał przy stole... Jednak zawsze był dla nas biskupem (wiernym swojej tożsamości prawosławnej, w duchu prawdziwie ekumenicznym). Nie udawało się nam odnieść do Niego złośliwości, stosowanych przez nas w stosunku do biskupów innego Kościoła (nikt się nie domyśli, o jakim Kościele myślę): że nie mówi, lecz przemawia, nie ma twarzy, lecz oblicze, nie idzie, lecz kroczy...

Niełatwo Go obrazić, sam jest delikatny nawet w krytyce. *Last but not least*, Jego dyskretna a głęboka pobożność... Powiedziano o kimś, że ma niesympatyczne cnoty, a sympatyczne wady.

Nasz Władyka ma cnoty nie tylko sympatyczne, a wad nie ma (albo je skrzętnie ukrywa – przed katolikami?).

ks. Michał Czajkowski

Tekst pochodzi z książki „Nasz Władyka", wyd. diecezja wrocławsko-szczecińska, rok 2013

fot. **Anna Radziukiewicz**

Działać w duchu pobożności, miłości i wzajemnego szacunku

wywiad z arcybiskupem Jeremiaszem

– Siedemdziesiąt to liczba symboliczna. W Biblii pojawia się wielokrotnie i w różnych kontekstach. (...) Ekwiwalentem siedemdziesięciu może być z jednej strony nieokreślone „bardzo dużo", z drugiej zaś „pełnia" „nasycenie", „całość", a także „suma". O tej sumie dokonań Księdza Arcybiskupa chcieliśmy porozmawiać tuż przed siedemdziesiątymi urodzinami Władyki. Bohater biblijnej Księgi Jeremiasza, charyzmatyczny, wielki prorok, początkowo wzbraniał się przyjąć Boże wybranie (Jr 1,6), czy decyzja Księdza Arcybiskupa o podjęciu studiów teologicznych była równie dramatyczna?

Arcybiskup Jeremiasz: – Aż tak dramatyczna to nie. Bezpośrednim powodem podjęcia studiów teologicznych był przypadek. Przestrzeliłem sobie palec skonstruowanym własnoręcznie samopałem i po tym wypadku, gdy miałem 13 lat, zacząłem się zastanawiać nad sensem życia. Mój ojciec już wcześniej bardzo chciał, bym poszedł do seminarium, a ja zwlekałem. Jakichś więc podobieństw do postawy proroka Jeremiasza można się tu dopatrywać. Po tym wypadku uznałem jednak, że należy się bardzo poważnie nad tym zastanowić.

Drugim bezpośrednim impulsem było to, że bardzo lubiłem po przystąpieniu do Komunii Świętej i powrocie do domu sięgnąć do książek ojca, wybrać z nich jedną książeczkę, która mówiła o Jezusie Chrystusie, i sobie poczytać. Pamiętam, że wtedy czułem się bardzo dobrze, doznawałem jakiejś wyjątkowej satysfakcji wewnętrznej. Był to stan szczególnego wyciszenia i czułem się szczęśliwy, bardzo zadowolony z tego, że mogłem coś poczytać.

I trzecia przyczyna, to chyba pobożność, która wówczas była rzeczą normalną na wsi, w której się urodziłem, w Odrynkach. Wszyscy byli wierzący: prawosławni, którzy stanowili dwie trzecie mieszkańców, i katolicy. W niedzielę z każdego domu prawie wszyscy szli na nabożeństwo, zostawała jedna osoba, której zadaniem było pilnowanie dobytku. Ale nie samo pójście do kościoła było ważne. W niedzielę odczuwało się, że jest to naprawdę dzień świąteczny. Przed każdym świętem odbywało się sprzątanie, które polegało m.in. na zgrabieniu, pozamiataniu, a także posypaniu żółtym piaskiem ścieżek, co było wielkim utrapieniem dla gospodyń, ponieważ ten piasek przyczepiał się do obuwia i był wnoszony do domów. Uważam, że te elementy odegrały istotną rolę w podjęciu przeze mnie decyzji.

Szczególnie ważne było pragnienie ojca. Kiedyś mi o tym opowiedział. Głęboką jesienią 1939 roku lub też w styczniu roku następnego tereny te znajdowały się pod okupacją radziecką. Wszystkie cerkwie i kościoły w okolicy były pozamykane, spora liczba księży została zabita albo wywieziona na ciężkie roboty w głąb Związku Radzieckiego. Ojciec przyjaźnił się z rodziną, z której pochodził metropolita Bazyli Doroszkiewicz. Wówczas był on księdzem w parafii położonej dwanaście kilometrów od mojej wsi. Mój ojciec nocą poszedł do niego, jako do dobrego znajomego, by po prostu porozmawiać. Ks. Doroszkiewicz, mimo późnej pory i zmęczenia, przyjął ojca i zaproponował mu wspólną modlitwę w cerkwi. Ojciec się zdziwił, gdyż wiedział, że cerkiew jest zamknięta. Ks. Doroszkiewicz powiedział jednak, że wykopał jamę; obaj się przez ten otwór dostali do cerkwi, weszli do prezbiterium i tam, przy jednej zapalonej świecy, odprawili błagalny molebien. Wtedy też pojawiła się u ojca myśl, by może jeden z jego synów został duchownym.

– Jest więc pewne podobieństwo do dziejów proroka Jeremiasza, który przecież został wybrany i poświęcony zanim się urodził (Jr 1,5). Modlitwa ojca, atmosfera głębokiej pobożności w Odrynkach, odpowiednie lektury, a potem ten wypadek. W wieku trzynastu lat zdecydował się zatem Ksiądz Arcybiskup, aby podjąć naukę w Prawosławnym Seminarium Duchownym w Warszawie.

– Tak. Do seminarium szło się tuż po szkole podstawowej. Nauka w seminarium trwała cztery lata, ale chcąc mieć maturę i średnie wykształcenie, seminarzyści musieli chodzić do liceum wieczorowego, które mieściło się przy ulicy Mokotowskiej 16 w Warszawie. Było to liceum dla pracujących, gdzie przyjmowano kandydatów, którzy ukończyli 16 lat. Dobrze je wspominam; wszystkich przedmiotów uczyli tam świetni nauczyciele, jeszcze przedwojenni, którzy chcieli czegoś nauczyć swych dorosłych uczniów.

– Wydaje się naturalne, że po ukończeniu seminarium duchownego młody człowiek wybiera studia teologiczne.

– Po ukończeniu seminarium zastanawiałem się, czy pójść na studia teologiczne, czy gdzie indziej. Prawdziwą pokusą dla mnie był powrót na wieś i uprawianie roli. Bardzo lubiłem kosić żyto, owies, trawę, potem wszystko zwozić. Podjęcie studiów nie było więc takie pewne. Miałem wówczas dość buntowniczy nastrój. Zacząłem się buntować już w seminarium, potem w liceum. W dziesiątej klasie liceum interesowałem się pochodzeniem świata, czytałem bardzo dużo o kosmogonii, kosmologii. Biologii uczyła nas dyrektorka liceum, twarda komunistka, jeszcze przedwojenna. Z zasadami. Wykładała nam między innymi teorię ewolucji Oparina. Pod-



czas wykładu ja się podobno złośliwie uśmiechałem. Na przerwie pani dyrektor poprosiła mnie do siebie, do gabinetu, poczęstowała kawą – miałem wtedy niecałe siedemnaście lat! „Widziałam, że pan się uśmiechał, kiedy przedstawiałam teorię Oparina" – powiedziała. Zaryzykowałem i wyjaśniłem, że dla mnie ta teoria jest zupełnie niewiarygodna, ma zbyt wiele niepewnych elementów, które można łatwo podważyć.

– Po takiej rozmowie mógł Ksiądz Arcybiskup nie tylko przestać myśleć o jakichkolwiek studiach, ale nawet o uzyskaniu matury.

– Mogło tak być, ale pani dyrektor rozmawiała ze mną jak równy z równym. Zresztą na studia teologiczne zostałem przyjęty, nie mając jeszcze matury. Przyjęto mnie pod warunkiem, że zdam ją na drugim roku studiów.

– A więc jednak już jako siedemnastolatek związał Ksiądz Arcybiskup swoją przyszłość z teologią. Marzenie ojca zaczęło się spełniać...

– Częściowo. Pewna rozmowa nieco przesunęła to w czasie. W czerwcu 1965 roku jechałem autobusem z południowego dworca PKS przy ulicy Puławskiej do Chylic, gdzie wówczas mieściła się siedziba ChAT, na zakończenie roku akademickiego. Siedziałem w autobusie i zastanawiałem się, co dalej? Był to czwarty rok, koniec studiów. Wtedy dosiadł się do mnie pan doktor Janusz Małuszyński z sekcji starokatolickiej. I podczas rozmowy też zapytał, co będę dalej robił? Odpowiedziałem mu, że wszystko obmyśliłem: szukam żony i pójdę gdzieś na parafię. On zaś: „Może byś się zastanowił nad dalszymi studiami? Może byś pojechał za granicę? Szkoda byłoby, gdybyś od razu poszedł na parafię". Chyba wcześniej rozmawiał na ten temat z ks. Klingerem i biskupem Wantułą, którzy zadecydowali, że mam jechać na studia do Szwajcarii. Biskup Wantuła wypełnił za mnie wszystkie potrzebne ankiety, łącznie z życiorysem. Dokumenty zostały wysłane do Genewy i po pewnym czasie przyszło zaproszenie, ale nie – jak się spodziewałem – do Instytutu Ekumenicznego w Bossey, lecz na uniwersytet w Zurychu. Należało tylko otrzymać paszport.

– Z tonu Księdza Arcybiskupa można wnioskować, że otrzymanie paszportu wcale nie było takie oczywiste i proste.

– Z otrzymaniem paszportu sprawa się opóźniała, ponieważ – gdy złożyłem już odpowiednie podanie – przeprowadzono ze mną rozmowę i zażądano, bym sporządził charakterystykę kolegów. Powiedziałem, że w takim razie rezygnuję z wyjazdu. Nie napisałem jej, więc poinformowano mnie, że nie dostanę paszportu. No i co tu robić? Poszedłem do metropolity Stefana (Rudyka), który mi wyjaśnił, dlaczego tak się stało. Później władze państwowe obiecywały, że może za rok dostanę paszport, ale muszą sprawdzić wszystko, co mnie dotyczy. I rzeczywiście, wszystko sprawdzali. Interesowano się nawet członkami bardzo dalekiej rodziny. Prześwietlano wszystkich krewnych; panowie odwiedzili kilka wsi, wypytując, kim jest ojciec, kim jest mama, kim są bracia itd.

– Ale mimo wszystko nie zrezygnował Ksiądz Arcybiskup z zamiaru kontynuowania nauki? Nie powrócił wtedy do myśli „pójścia gdzieś na parafię"?

– Zastanawiałem, się czy nie podjąć studiów na filologii klasycznej. Tam – myślałem – opanuję lepiej grekę. Uważałem natomiast, że jestem dobry z łaciny. Na tyle dobry, że podszedłem do egzaminów wstępnych na Uniwersytet Warszawski bez przygotowania. I oczywiście oblałem! Przetłumaczyłem nawet fragment Cycerona na język polski, ale później były jakieś koniugacje, odmiana czasownika *esse* w *coniunctivie* – z tym już sobie nie poradziłem. Przeżywałem to bardzo, był to dla mnie naprawdę potężny cios. Poszedłem do metropolity Stefana i poinformowałem go, że nie dostałem się na studia. Metropolita zaś powiedział: „Tym się nie martw. Patriarcha moskiewski – był nim wtedy Aleksy I – kiedyś mi powiedział, że jak będę miał jakiegoś studenta, to mogę go przysłać na studia do Moskiewskiej Akademii Duchownej". Po trzech dniach dostałem telegram, że jestem zaproszony przez samego patriarchę na studia do Moskwy.

– Praca magisterska Księdza Arcybiskupa nosi tytuł *Grzech pierworodny i odkupienie w rosyjskiej teologii prawosławnej XX wieku*. Od kilkudziesięciu lat jest jednak Ksiądz Arcybiskup związany z biblistyką. Na studiach zagranicznych musiało dojść do zmiany kierunku zainteresowań, a może te zainteresowania naukowe zmieniały się kilka razy?

– Już podczas studiów w Warszawie zainteresowałem się psychologią głębi Junga, lecz w tym czasie nie było jeszcze polskich przekładów jego prac. Będąc w Moskwie, a konkretnie w akademii w Siergijew Posadzie, który wtedy nazywał się Zagorsk, dowiedziałem się, że są przekłady rosyjskie. W Bibliotece Lenina znalazłem przetłumaczone dzieła Junga. Świetnie przetłumaczone. Wszystkie je oczywiście przeczytałem i to, co mnie najbardziej frapowało, znalazło potwierdzenie. W Zagorsku pracowałem głównie nad zagadnieniami związanymi z Wcieleniem w teologicznej myśli ojców Cerkwi pierwszych trzech wieków, ale zauważyłem, że koncepcja psychiki człowieka, którą przedstawia Jung, w dużym stopniu pokrywa się doświadczeniem ojców pustyni: tym, co mamy w Filokaliach, w dziełach np. Makarego Wielkiego, czyli od IV aż do XI wieku, do Symeona Nowego

Rodzice władyki Jeremiasza podczas chirotonii w 1983 roku



Teologa. Na poważnie ideami Junga zająłem się jednak dopiero w Zurichu.

– A zatem wyjazd na studia do Szwajcarii wreszcie udało się zrealizować?

– Tak. W Zurichu, na wydziale teologii ewangelickiej, studiowałem przez dwa lata. Wyjechałem 6 grudnia 1966 roku, a wracałem 18 sierpnia 1968 roku, spiesząc się, ponieważ chciałem wrócić zanim zostanie zamknięta granica. Wracałem tuż przed interwencją wojsk Układu Warszawskiego w Czechosłowacji, tuż przed operacją „Dunaj".

– To dość zaskakujące, że teolog prawosławny podjął studia na wydziale teologii ewangelickiej.

– Taka była praktyka już od XIX wieku, że wysyłano studentów teologii prawosławnej na studia zagraniczne na fakultety ewangelickie, rzadziej katolickie. (...)

– Studia w Szwajcarii ukierunkowały zainteresowania naukowe i badania Księdza Arcybiskupa na Nowy Testament, egzegezę, zestawianie tradycji patrystycznej z analizą diachroniczną. Już wtedy wolał Ksiądz Arcybiskup pokazywać elementy łączące, podobieństwa, *loci communes*, niż podkreślać różnice. Szukanie elementów wspólnych, scalanie, integracja – przełożyły się również na pozanaukową działalność Księdza Arcybiskupa. Zaczęło się od pracy z młodzieżą...

– Tak. Pracę tę rozpocząłem w 1968 roku. Miałem jeszcze świeżo w pamięci zarówno doświadczenia szwajcarskie, jak i te ze Związku Radzieckiego. Już jesienią 1968 roku uświadomiłem sobie, że jednym z głównych problemów w życiu Kościoła jest brak pracy z młodzieżą. Właściwie księża bali się młodzieży. Postanowiłem zabrać się do roboty. Zwróciłem się o zgodę do swoich bezpośrednich przełożonych, ale zakazano mi tego. No to poszedłem do metropolity. Metropolita Stefan powiedział po prostu: „Rób, co chcesz". (...)

– Spotkania młodzieżowe miały charakter wykładów czy raczej spotkań towarzyskich?

– Było różnie. Głównie były to wykłady. Bardzo często to ja je prowadziłem, albo inni pracownicy naukowi ChAT. Ale nie tylko. Na spotkaniach nie poruszaliśmy tematów ściśle teologicznych, a raczej – nie tylko teologiczne. Zapraszaliśmy np. ks. biskupa Rodego, który przedstawiał zagadnienia filozoficzne i społeczne. Gościliśmy również matematyków, fizyków, wielkim powodzeniem cieszyły się wykłady historyków. Były oczywiście też spotkania towarzyskie. (...)

Potem na wzór Warszawy zaczęły powstawać centra młodzieżowe w Hajnówce, Białymstoku, Drohiczynie, Bielsku Podlaskim. Organizowaliśmy wyprawy do Elbląga, Gdańska i innych parafii. Wszędzie spotykaliśmy się z entuzjazmem ze strony młodzieży. Na początku zawsze istniała grupa robocza. Liczyła dwadzieścia - dwadzieścia pięć osób, czasami mniej; wszystkie te osoby dobierałem bardzo starannie. Na tym etapie działalności nie była to jeszcze żadna poważna organizacja, wszystko opierało się na przyjaźni. Kiedy organizowaliśmy pierwsze pielgrzymki, to każdy z grupy roboczej oddawał swoje miesięczne stypendium, a ja swoją pensję, na wspólne potrzeby. Bardzo nam pomagał ewangelicko-reformowany biskup Jan Niewieczerzał. (...)

– Przełom lat 70. i 80. nie sprzyjał gromadzeniu się, tymczasem to właśnie wtedy trwała najbardziej intensywna praca integracyjna wśród młodzieży prawosławnej. Na spotkania w mieszkaniu Księdza Arcybiskupa przychodziło mnóstwo młodych ludzi, liczebność pielgrzymek rosła z roku na rok. Czy nie było to niebezpieczne?

– Było, ale nic tylko z powodów politycznych. W 1980 roku odbyła się pierwsza pielgrzymka na Grabarkę, w której uczestniczyło 300 osób, w drugiej – już 700, w następnej – 1000. Największa pielgrzymka zgromadziła 2000 zarejestrowanych uczestników i około 2000 niezarejestrowanych. Należało działać zgodnie z logistyką – zaplanować wszystko i zrealizować, zapewnić noclegi, przygotować dla wszystkich jedzenie, coś ciepłego do picia. Kolejna kwestia – to zagwarantowanie uczestnikom bezpieczeństwa. Najpierw zajmowały się tym nasze własne siły porządkowe, jednak nie były one w stanie uporać się ze wszystkimi problemami. O pomoc poprosiliśmy więc... milicję w Siemiatyczach. W efekcie mieliśmy zapewnioną wyśmienitą ochronę zarówno mundurowych, jak i niemundurowych milicjantów. Dzięki łasce Bożej zawsze udało się uniknąć poważniejszych ekscesów. (...)

– Początek lat 80. ubiegłego wieku przyniósł duże zmiany przede wszystkim w życiu Księdza Arcybiskupa. W 1980 roku uzyskał Ksiądz Arcybiskup stopień naukowy doktora habilitowanego na podstawie rozprawy „Aniołów sądzić będziemy.

Elementy angelologii i antropologii w pierwszym liście apostoła Pawła do Koryntian", a w 1981 został kierownikiem prawosławnej Katedry Pisma Świętego Nowego Testamentu. W 1983 – w marcu – w warszawskiej katedrze metropolitalnej św. Marii Magdaleny miała miejsce uroczysta chirotonia biskupia, a we wrześniu w soborze katedralnym Narodzenia Najświętszej Bogarodzicy we Wrocławiu – intronizacja nowego ordynariusza diecezji wrocławsko-szczecińskiej. Objął Ksiądz Arcybiskup młodą i trudną diecezję, która wymagała mnóstwa uwagi i pracy. I – podobnie jak wcześniej młodzież – integracji.

– Tak. Diecezję wrocławsko-szczecińską zorganizowano w latach czterdziestych. Parafie tworzyły grupy ludzi, którzy w wyniku rozmaitych okoliczności znaleźli się na Ziemiach Zachodnich.

Niewielką grupę stanowili ci, których sprowadzili hitlerowcy na przymusowe roboty. Oni tu już pozostali, dołączyli do nich też powracający z robót z głębi Niemiec. Inna grupa to ci, którzy uciekli przed linią frontu. Kiedy zbliżał się front wschodni, wiele osób, mając złe doświadczenia z lat 1939-1941 – burzenie cerkwi, prześladowania – wolało uciec przed wojskami sowieckimi na zachód. Trzecia grupa – to przesiedleni w ramach Akcji Wisła. Oni stanowią najliczniejszą społeczność. I są jeszcze ci, którzy przyjechali tu w wyniku naturalnych migracji. Parafie nie są więc jednorodne.

Diecezję zastałem w stanie dosyć trudnym. Mój poprzednik, arcybiskup Aleksy (Jaroszuk), zmarł rok wcześniej, a przez ten czas nagromadziło się wiele spraw. Kościół nie był w stanie wysłać na ten teren dostatecznej liczby księży i bardzo często zdarzało się – tak jest zresztą po części i teraz – że kilka parafii było obsługiwanych przez jednego księdza. Czasami nawet pięć-sześć lat czekałem, aż znajdzie się kandydat na trudną parafię. Parafie były i są do dziś w różnym stanie. Należy zaznaczyć, iż największa parafia liczyła 600 osób, a najmniejsza 20. Odległości między parafiami były duże i ci, którzy chcieli uczestniczyć w nabożeństwie w sąsiedniej parafii, musieliby pokonać około siedemdziesięciu kilometrów. Czasami ludzie spontanicznie organizowali się w jakimś miejscu, chcieli mieć tam swoją świątynię, na co się nie zgadzały władze państwowe. Szukano więc innego miejsca. Np. parafia w Żmigrodzie od lat 40. do 1987 roku funkcjonowała najpierw w prywatnym mieszkaniu, ale tam zakazano odprawiania nabożeństw, a później w kaplicy, którą zburzono. Kardynał Gulbinowicz osobiście pojechał do Żmigrodu, by przekazać klucze od zakrystii księdzu prawosławnemu i wreszcie mogliśmy tam spokojnie odprawiać nabożeństwa, chociaż później też pojawiły się jakieś problemy. W kilku parafiach księża nie mieli gdzie mieszkać. Kościoły poewangelickie, które dostaliśmy do zagospodarowania, wymagały oczywiście remontów. Ogólny nastrój był raczej schyłkowy. Ale z czasem udało się otrzymać mieszkania, zbudować kilka plebanii i duży dom w Cieplicach. Muszę powiedzieć, że przy budowie tego domu uzyskaliśmy wielką pomoc od moich szwajcarskich przyjaciół. Właściwie pomagają nam do dziś. Pomogli zbudować dom z przeznaczeniem dla księży emerytów, wyremontować „pałac" biskupi, w którym wcześniej były jedynie dwa pokoje, każdy o powierzchni 16 m^2. Budowa nowego domu parafialnego, nowej cerkwi czy domu w Cieplicach dodawała ludziom otuchy: oto możemy coś zrobić i zapewniamy sobie pewniejszy byt. I to było ważne. (...)

– Z różnorodnością etniczną i narodowościową diecezji wrocławsko-szczecińskiej też trzeba było sobie jakoś poradzić i ułożyć stosunki z katolikami, ewangelikami.

– Należy pamiętać, iż prawosławnym często było naprawdę trudno. Dzieci Łemków i Ukraińców w szkołach nie miały łatwego życia. Przez długi czas w wielu miejscowościach ukraińskie dziecko było postrzegane jako syn bandyty i potencjalny bandyta. Często takie dzieci byty bite nie tylko przez rówieśników, ale też przez nauczycieli. Dorośli mieli kłopoty w miejscach pracy. Pamiętam też taki przypadek: niedaleko stąd mieszkała samotna kobieta. Odwiedził ją ksiądz katolicki. Kiedy dowiedział się, że jest prawosławna, zmusił ją, by usiadła i obchodząc wokoło wypędzał z niej demona. Jednak stosunki między Kościołami prawosławnym a katolickim dość szybko ułożyły się pomyślnie. Kardynał Gulbinowicz najpierw przyglądał się prawosławnym nieufnie, a później bardzo wyraźnie podkreślał braterskość i konieczność normalnego sąsiedztwa.

Stosunki z luteranami też układały się dobrze. Obejmowałem diecezję w 1983 roku, gdy przypadała 500. rocznica urodzin Marcina Lutra. Z tej okazji odbywały się nabożeństwa, sesje naukowe, spotkania, na które byłem zapraszany. Zacieśnialiśmy też wrocławskie stosunki dobrosąsiedzkie w kwartale pomiędzy ulicami św. Mikołaja, gdzie mieści się katedra prawosławna, św. Antoniego, gdzie jest kościół katolicki, Włodkowica, gdzie – w podwórzu – znajduje się synagoga Pod Białym Bocianem, a Kazimierza Wielkiego z luterańskim kościołem Opatrzności Bożej. Takie sąsiedztwo zobowiązuje i od wzajemnych odwiedzin w kościołach z okazji naszych świąt, poprzez organizację różnych imprez kulturalnych, artystycznych, także edukacyjnych doszło w 1995 roku do utworzenia Dzielnicy Wzajemnego Szacunku. Bo szacunek, respektowanie odmienności wyznaniowej i religijnej, były tu kluczowe.

– Ekumenizm w diecezji wrocławsko-szczecińskiej, czy w samym Wrocławiu, o którym Ksiądz Arcybiskup teraz opowiada, to już działania ujęte w pewne ramy organizacyjne, ekumenia oficjalna, nawet na szczeblu hierarchicznym. Ale przecież istnieje jeszcze ekumenizm oddolny, na poziomie – można powiedzieć – podstawowym, mający wymiar bardzo praktyczny. Ludzie różnych wyznań żyją w zgodzie i szczerej przyjaźni na jednym terenie, nikt nie gloryfikuje własnego wyznania przy jednoczesnej dyskredytacji wyznania sąsiada. Nikt nie

jest dyskryminowany tylko dlatego, że urodził się katolikiem, ewangelikiem czy prawosławnym.

– Doświadczyłem tego w dzieciństwie. Mówiłem już, że urodziłem się we wsi Odrynki, w której dwie trzecie to byli prawosławni, a jedna trzecia to rzymscy katolicy. Przy takiej strukturze wyznaniowej należało znaleźć jakiś *modus vivendi*. Polegał on na tym, że wzajemnie respektowano swoje święta. Od 24 do 26 grudnia prawosławni nie wykonywali żadnej ciężkiej pracy, nie było piłowania i rąbania drewna, młócenia, nie podejmowano żadnej pracy, która powodowałaby hałas. Od 6 do 8 stycznia, podczas prawosławnych świąt Bożego Narodzenia, katolicy zachowywali się podobnie. Zasada ta obowiązywała wszystkich i przez wszystkich była przestrzegana, dopiero pod koniec lat sześćdziesiątych dochodziło do jakichś sporadycznych, nieprzyjemnych incydentów na tle wyznaniowym. Takie były moje pierwsze spotkania i doświadczenia międzywyznaniowe. (...) W czasie studiów w Zurychu aktywnie uczestniczyłem w życiu studenckiej parafii ewangelickiej, którą prowadził mój przyjaciel, z którym nadal utrzymuję żywy kontakt.

– Nie było tam żadnej diaspory prawosławnej?

– Była. Były parafie grecka, serbska i dwie rosyjskie – patriarchatu moskiewskiego i tzw. zagraniczna. W soboty i niedziele chodziłem do cerkwi, a jeżeli odbywały się szczególnie ważne nabożeństwa w kościele ewangelickim, to w nich uczestniczyłem. Na przykład w Wielki Piątek brałem udział najpierw w nabożeństwie ewangelickim, a później prawosławnym.

Podczas studiów zetknąłem się z wieloma problemami nie tylko w stosunkach Kościół - Kościół, ale także związanych z reakcją chrześcijan na różne sytuacje polityczne. Ciągle aktualny był problem relacji Wschód - Zachód i pytanie, jakie stanowisko powinni zajmować chrześcijanie wobec władz komunistycznych? Na Zachodzie funkcjonowało mnóstwo stereotypów. Musiałem tłumaczyć, że w Polsce przed kościołami czy cerkwiami nie stoją milicjanci i nie kontrolują każdego, kto wchodzi na nabożeństwo. Niestety, nie wszystkich udało się przekonać. Kiedyś na miesiąc pojechałem do Grafrath, niewielkiej miejscowości niedaleko Monachium, by doskonalić moją znajomość języka niemieckiego, tam bowiem mieściła się jedna z placówek Instytutu Goethego. W Grafrath nie było kościoła ewangelickiego, najbliższy znajdował się w Monachium. Oczywiście cerkwi też nie było. Chodziłem więc do kościoła katolickiego i zajmowałem zwykle miejsce z boku w trzeciej ławce. Wszyscy wiedzieli, że przybył człowiek z Polski, jest prawosławny, mówi po polsku i rosyjsku, uczy się niemieckiego, jest wierzący i chodzi do kościoła katolickiego. Kiedy przyszedłem po raz trzeci, zauważyłem, że ksiądz jest poirytowany moją obecnością w kościele. Był tak wzburzony, że podczas kazania powiedział do wiernych: „Czasami słyszycie, że na Wschodzie – w krajach zdominowanych przez komunizm – są ludzie wierzący. Nie wierzcie! To wszystko jest tylko reklamą, fasadą! Najczęściej są to niewierzący, agenci, którzy do nas przyjeżdżają". Już nigdy nie poszedłem do tego kościoła. (...)

– Nigdy nie myślał Ksiądz Arcybiskup o tym, żeby zostać na Zachodzie?

– Pomyślano o tym za mnie i dostałem nawet propozycję pozostania w Szwajcarii. Otrzymywałem stypendium od HEKS-u – Hilfswerk der Evangelischen Kirchen der Schweiz. Kiedy przyszedłem po przedostatnie stypendium, pani Marianne Laufer, która zawsze wypłacała mi pieniądze, zapytała: „Czy nie chciałby pan zostać w Szwajcarii, poprosić o azyl?". Odpowiedziałem, że jeśli ja nie wrócę, to inni nie będą mogli wyjechać. Wtedy pani Marianne wyciągnęła z szuflady pismo i dała mi do przeczytania. Okazało się, że bez mojej wiedzy pracownicy HEKS-u zwrócili się do metropolity Stefana z prośbą o przedłużenie o rok mojego pobytu. Metropolita odpisał po niemiecku, że wyraża zgodę. Zostałem więc w Szwajcarii na kolejny rok, który okazał się przełomowy. To wtedy metropolita napisał do mnie i poprosił, bym rozpoczął badania nad Nowym Testamentem.

– Ksiądz Arcybiskup mocno zaangażował się i kształtował nie tylko krajową ekumenię, ale miał też realny wpływ na kierunki działań światowego ruchu ekumenicznego.

– Niespodziewanie, chyba w maju 1968 roku, zapytano mnie, czy nie chciałbym pojechać do Uppsali na IV Zgromadzenie Ogólne Światowej Rady Kościołów? Oczywiście zgodziłem się i zostałem zatrudniony jako steward. Właściwie od Uppsali, od 1968 roku, aż do Porto Allegro, czyli do roku 2006, uczestniczyłem we wszystkich Zgromadzeniach Ogólnych ŚRK. Pobyt w Uppsali był niezwykłym doświadczeniem, ponieważ w Zgromadzeniach Ogólnych uczestniczą zawsze tysiące ludzi; w Uppsali było około pięciu tysięcy, w tym tysiąc delegatów z Kościołów członkowskich, po kilkuset doradców, dziennikarzy, sztab Światowej Rady Kościołów i od trzystu do pięciuset stewardów z całego świata. Ich zadanie polegało na przygotowywaniu materiałów i szeroko pojętej pomocy organizacyjnej. Najpierw trafiłem do drukarni, później zapytałem, czy mógłbym przysłuchiwać się również obradom, co pozwoliłoby mi zorientować się, jakie kwestie są na nich poruszane. Dano mi taką możliwość. Podczas obrad roznosiłem delegatom dokumenty. Czasami brakowało tłumaczy, więc podejmowałem się też tłumaczenia. Tak poznałem archimandrytę Germana. Obecnie jest on metropolitą w Wołgogradzie. Zawarliśmy wówczas przyjaźń, która przetrwała dość długo.

Praca w ŚRK było to bardzo ważne doświadczenie. Uzmysłowiłem sobie wtedy wyraźnie, że Kościoły zrzeszone w ŚRK pozostają razem nie tylko w kwestiach ich życia duchowego, wewnętrznego i stosunku do jedności, ale składają wspólne chrześcijańskie świadectwo wobec świata, pokazują, że mogą wpływać na losy społeczeństw, na sprawy gospodarcze.

Wróciłem do kraju, a po kilku latach, w 1975 roku, gdy miało miejsce kolejne, V Zgromadzenie Ogólne w Na-

irobi, pojechałem na nie jako delegat PAKP. Na posiedzeniach plenarnych przeprowadzano wybory do różnych komisji i organów ŚRK, także do Komitetu Naczelnego. Kandydatów do Komitetu Naczelnego przedstawiał Komitet Nominacyjny, który zawsze posiłkuje się pewną siatką kryteriów i wymogów, jakie muszą spełniać kandydaci. Uwzględnia się aspekty konfesyjne, geograficzne, teologiczne, wiekowe i jeszcze kilka innych. Już po zgromadzeniu w Nairobi dowiedziałem się, że wówczas potrzebowano jakiegoś młodego człowieka. I aby zachować równowagę kobiet i mężczyzn, wysunięto dwie kandydatury – pewnej młodej Bułgarki i moją. Przewodniczącym Komitetu Nominacyjnego był biskup Kościoła ewangelickiego Hessen--Nassau. Zadecydował, że zostanę członkiem Komitetu Naczelnego. Rozpoczęła się intensywna praca. Raz w roku jeździłem na posiedzenia Komitetu, które odbywały się w różnych częściach świata. Na następnym, VI Zgromadzeniu Ogólnym w Vancouver w 1983 roku zostałem ponownie wybrany do Komitetu Naczelnego. Byłem też członkiem Komitetu Przygotowawczego VII Zgromadzenia Ogólnego Światowej Rady Kościołów w Canberze w roku 1991. Zostałem poproszony o współprzewodniczenie Komitetowi Nominacyjnemu. Była to ciężka i niewdzięczna praca.

– Wspomniał Ksiądz Arcybiskup, że ŚRK miała wpływ na sytuację polityczną i społeczną na świecie. Obejmowało to również oddziaływanie na politykę władz państw socjalistycznych wobec Kościołów chrześcijańskich?

– Światowa Rada Kościołów w okresie od 1940 do 1990 roku wykonała ogromnie trudną i jednocześnie ważną pracę, która bardzo ułatwiła Kościołom funkcjonowanie w krajach, gdzie nic było pełnej wolności. Walnie przyczyniła się do złagodzenia różnego rodzaju nacisków na Kościoły we wszystkich krajach socjalistycznych, nawet w Związku Radzieckim. Można powiedzieć, że co najmniej 50 procent z tego, co zdołały uczynić Kościoły w tych krajach, należy zawdzięczać Światowej Radzie Kościołów, która prowadziła elastyczną i mądrą politykę. Oficjalnie nie potępiano polityki krajów socjalistycznych, ale opinie były tak formułowane, że wszyscy, wiedzieli, co się za tym kryje. Światowa Rada Kościołów popierała też niektóre ruchy narodowowyzwoleńcze na terenie Afryki i wysyłała pieniądze na cele humanitarne, na leczenie. Nie zawsze, oczywiście, decyzje były trafne, ale np. walka z apartheidem była ze wszech miar słuszna. Wspierano prześladowanych, zapraszano do Genewy więźniów politycznych, więźniów sumienia, którzy dzięki tym zaproszeniom mogli opuścić więzienia, by pojechać do siedziby Światowej Rady Kościołów, albo nawet całkowicie odzyskać wolność. (...)

– Doświadczenia – i te pozytywne, i te negatywne – zdobyte dzięki aktywności w ŚRK wpływają na pewno na kierunek, jaki nadaje Ksiądz Arcybiskup Polskiej Radzie Ekumenicznej jako jej prezes.

– Sądzę, że Polska jest dobrym miejscem, gdzie można podjąć dyskusję na tematy teologiczne, których waga nie została dostatecznie doceniona w pracach KEK-u i Światowej Rady Kościołów. Dysponujemy potencjałem naukowym. Poza tym istnieje zainteresowanie podejmowaniem trudnych kwestii po obu stronach – po stronie PRE i po stronie Rady do spraw Ekumenizmu Konferencji Episkopatu Polski. Mimo że Polska Rada Ekumeniczna jest wewnętrznie różna, to panuje w niej przekonanie, iż należy dyskutować. I w tym zakresie mamy spore doświadczenie. Np. w kwestii ordynacji kobiet niezbędna jest solidna refleksja historyczna. Należy prześledzić, jak się kształtowała rola kobiety w Kościele rzymskokatolickim w ciągu wieków – i to na różnych płaszczyznach i w różnych aspektach. Jaki był stosunek hierarchii do kobiety i dlaczego doszło do marginalizacji roli kobiety w Kościele, a jednocześnie do rozkwitu kultu Maryjnego? Podobne badania należy przeprowadzić nad rolą kobiety w protestantyzmie. Przecież przysłowiowe zdefiniowanie obowiązków kobiety jako KKK – Kinder, Küche, Kirche – też jest wyrazem określonych poglądów. Trzeba zbadać, na ile współczesne pojmowanie roli kobiet jest zgodne bądź opozycyjne wobec poglądów Lutra. Współczesnego stanowiska nie da się po prostu uzasadnić nauczaniem szesnastowiecznych reformatorów, należy więc prześledzić wpływ zmieniających się w ciągu wieków warunków politycznych, społecznych i ekonomicznych na teologię, a potem teologii na życie publiczne i prywatne. Koncepcja kultu Maryjnego i współczesne jego przejawy, zwłaszcza w Polsce, jest w dużej mierze rezultatem takich przekształceń i uwarunkowań. (...)

– W wypowiedziach i pracach Księdza Arcybiskupa fascynacja Pismem Świętym jest widoczna i wiele Ksiądz Arcybiskup robi, aby podzielić się z innymi miłością ku Słowu. W zeszłym roku ukazał się tzw. Ekumeniczny Przekład Przyjaciół, cały Nowy Testament w niezwykłym, niezależnym od żadnych struktur kościelnych, tłumaczeniu czterech przyjaciół reprezentujących trzy tradycje chrześcijańskie: katolicką – ks. prof. Michał Czajkowski i redaktor Jan Turnau, protestancką – pastor Mieczysław Kwiecień i prawosławną – Ksiądz Arcybiskup.

– Jan Turnau z Mieczysławem Kwietniem zaproponowali mi udział w tym przedsięwzięciu. Był to czas stanu wojennego, więc postanowili, że zrobią coś ważnego, potrzebnego i takiego, co może natchnąć optymizmem. Wszystkie te kryteria spełniała tylko najbardziej podstawowa praca nad Słowem Bożym – czytanie i chęć jak najlepszego zrozumienia orędzia Nowego Testamentu. I zaczęliśmy robić to wspólnie. Później nasze pragnienie zrozumienia Pisma Świętego przerodziło się w stan tak wielkiej fascynacji, że właściwie można to było porównać z jakimś uzależnieniem. Tęskniliśmy do tego, żeby usiąść i tłumaczeniom poświęcać jak najwięcej czasu. Jesteśmy, oczywiście, świadomi, że nasze tłumaczenie nie jest doskonałe, że zawiera sporo błędów. Było to jednak bardzo ciekawe doświadczenie

– spojrzenie na ten sam tekst z czterech stron. Spojrzenie ewangelickie reprezentował Mieczysław Kwiecień, katolickie Michał Czajkowski, który bardzo głęboko wnikał w problemy egzegetyczne, ja próbowałem wnieść coś prawosławnego, a Jan Turnau swoim sceptycyzmem, powściągliwością, która sięgała czasami sarkazmu, próbował uzmysłowić nam, że to, co myślimy i robimy, niewiele obchodzi człowieka z ulicy. On właśnie prezentował ten czwarty punkt widzenia – człowieka świeckiego, który trochę zna świat, który trochę myśli, nie fascynuje się teologią, ale chce się czegoś dowiedzieć. Pytał, co dane słowo, kwestia, formuła oznacza dla „zwykłego" człowieka, albo jak to przekazać w sposób bardziej zrozumiały? Takie podejście prowadziło często do ostrych dyskusji. Czasami przekład jednego słowa zajmował nam kilka godzin lub nawet pół dnia. Byliśmy świadomi, że teksty Pisma Świętego poruszają głębokie warstwy psychiki, zmuszają do myślenia. Sądzę, że to nas wszystkich ogromnie fascynowało. Była to wielka przygoda i duchowa, i intelektualna. Wiele jest takich wierszy, gdzie nie ma tego, co chcieliśmy wyrazić, dlatego że nie potrafiliśmy znaleźć odpowiedniego sformułowania. Grecka warstwa słowna jest bogatsza i wprowadza w szerszą rzeczywistość niż późniejszy przekład. Każde słowo, każde zdanie odsłania pewną nową rzeczywistość. Jak ją przekazać za pomocą terminów polskich, które nie są tak wieloznaczne i nośne?

– A jak w niedługiej rozmowie dotknąć wszystkich obszarów aktywności Księdza Arcybiskupa i przedstawić pełnię dokonań Władyki? Bardzo dziękujemy za rozmowę i poświęcony czas.

Kalina Wojciechowska
Wsiewołod Konach
fot. **Anna Radziukiewicz**
Jerzy Tomaszenko

Wywiad pochodzi z księgi pamiątkowej „Ku słowu, ku Kościołowi, ku światu", wydanej przez ChAT z okazji 70 rocznicy urodzin Władyki

Przy Krzyżu

Wtedy to wydał Go im na śmierć krzyżową. Wzięli więc Jezusa i odprowadzili go. A On dźwigając krzyż swój, szedł na miejsce zwane Trupią Czaszką, co po hebrajsku zwie się Golgota, gdzie go ukrzyżowali, a z Nim innych dwóch, z jednej i z drugiej strony, a w pośrodku Jezusa (J 19,18).

Stoimy u Krzyża. Chwile stania i zamyślenia w obliczu Krzyża i Ukrzyżowanego wielu z nas przeżyło już nieraz. Nie tylko my. Wiele pokoleń chrześcijan już bez mała w ciągu dwóch tysiącleci przeżywało te chwile podobnie jak my. Nie tylko chrześcijanie. Pytanie o sens śmierci Jezusa na krzyżu nie było i nie jest obojętne również wielu, bardzo wielu ludziom innych religii i niewierzącym. Również oni nie mogą przejść obok Krzyża obojętnie. Już chociażby dlatego, że Krzyż jest dla nas chrześcijan tak wielkim wydarzeniem.

Z całą pewnością można twierdzić, że będzie tak, dopóki istnieje ludzkość.

Zastanówmy się, dlaczego tak jest. Z czego wynika ta nieprzemijalność śmierci na Krzyżu Człowieka urodzonego w Betlejem, czyli kogoś z małego, peryferyjnego państewka, podporządkowanego potężnemu Imperium Rzymskiemu? Wiemy przecież, że nie była to jedyna śmierć na Krzyżu. Tysiące ludzi zmarło hańbiącą śmiercią niewolnika przed ukrzyżowaniem na Golgocie i po nim.

Historyk odpowie, że dlatego, iż na Golgocie umarł Człowiek, który dał początek potężnemu ruchowi religijnemu. Ruchu tego i jego instytucjonalnych przejawów nie można ignorować ani w przeszłości, ani teraz. Tyle historyk.

Kim jest jednak Ukrzyżowany dla nas? Jednym tchem odpowiemy: Pan nasz i Zbawiciel Jezus Chrystus. Czy jednak uświadamiamy sobie całą głębię tego wyznania? Pan nasz i Zbawiciel to Ten, Kto umarł tak haniebnie opuszczony? Wyznajemy więcej. Ten Człowiek jest wcielonym Bogiem, Bogiem-Człowiekiem, prawdziwym Bogiem i prawdziwym Człowiekiem.



Bogiem, o którym powiadamy, że jest Stwórcą Wszechświata, wszystkiego co istnieje, Wszechpotężny, Wszechmocny, Wszechobecny... Zatrzymajmy się tu. Czy nie głosimy rzeczy niemożliwej? Czy nie mają racji ci, którzy od dawna już mówią, że w najlepszym przypadku siejemy zgorszenie? A może trzeba się wręcz przyznać, że głupstwa i bzdury już od prawie dwóch tysięcy lat opowiadamy?

O, jak mocne musi być to zgorszenie i głupstwo, skoro trwa już tyle wieków! Jak piękne i zachwycające musi być, skoro tyle tysięcy oddało za nie swoje życie! A przecież często mieli inne wyjścia. Mogli się przyznać, że się mylili. Zachowaliby nie tylko życie, często również bogactwo, znaczenie, sławę.

Przyjrzyjmy się Krzyżowi. Spróbujmy odtworzyć wydarzenia. Zdawałoby się, że jest to zadanie proste. Jeśli cokolwiek z Ewangelii pamiętamy dobrze, to już na pewno będzie w

tym opis narodzenia Jezusa i Jego Ukrzyżowania. Jezus z Nazaretu, Bóg-Człowiek – jak trudno jest zgłębić sens Jego śmierci. To On nauczał i tysiące ludzi Go słuchało. On zmusił do milczenia faryzeuszy, saduceuszy, uczonych w Piśmie, gdyż musieli przyznać Mu rację. To On uzdrawiał chorych, wypędzał demony, chodził po wodzie, triumfalnie wjechał do Jerozolimy, witany okrzykami „Hosanna Synowi Dawidowemu".

Dlaczego kilka dni później tłum, w nim również ci sami ludzie, wołają „Ukrzyżuj Go"? Jaka jest nasza rola w tym wydarzeniu? Większość z nas potępia oczywiście czyn Sanhedrynu, Piłata, żołnierzy. Oburzamy się na przewrotność Izraelitów, którzy raz chcą obwołać Jezusa królem, a teraz zmienili zamiar i domagają się Jego ukrzyżowania. W większości z nas tkwi głęboko przekonanie, iż na miejscu ich wszystkich postąpilibyśmy inaczej. Czyżby?

Zastanówmy się nad motywami decyzji Sanhedrynu i Piłata, nad postawą tłumu i żołnierzy. Sanhedryn podejmuje decyzję dlatego, bo chce uchronić naród wybrany przed interwencją Rzymian, którą może sprowokować dalsza działalność Jezusa. Członkowie Rady Najwyższej doszli do przekonania, iż *jeśli go tak zostawią, wszyscy uwierzą w Niego; wtedy przyjdą Rzymianie i zabiorą naszą świątynię i nasz naród* (J 11,48). Dlatego *lepiej jest dla nas, by jeden człowiek umarł za lud, niż żeby wszystek ten lud zginął* (J 11,50).

Obrona czystości religii, ochrona religii i ludu – to są główne motywy decyzji. A u nas? Czy mało jest w naszych Kościołach decyzji złych, krzywdzących ludzi i to najczęściej w imię dobra najwyższego, w imię interesów Kościoła? Czy zupełnie wygasła mentalność godząca wiarę w Boga, który jest Miłością, z bezwzględnym ukaraniem tych, którzy myślą inaczej?

Przedstawiciel władzy, której reakcji tak bardzo obawiał się Sanhedryn, wiedział doskonale, że Jezus był niewinny. Uczciwość kazała Piłatowi podjąć próbę uratowania Jezusa. Jednak pod naciskiem rezygnuje. Boi się o własną pozycję, nie chce mieć kłopotów z powodu kogoś, kto nie jest jego przyjacielem, krewnym, znajomym, kto go w gruncie rzeczy tak mało obchodzi, a kto mu zakłócił spokój.

Przyzwoitość nakazywała okazać, że nie zgadza się, że jest przeciw. Ale obrona tego niewinnego nie wchodziła widać w rachubę. Trzeba byłoby przecież samemu się narazić. Sanhedryn mógł donieść cesarzowi i wówczas kariera znalazłaby się pod znakiem zapytania. Czy nasze postępowanie w podobnych wypadkach jest tak zupełnie inne?

Tłum Izraelitów przed pałacem, wołający „ukrzyżuj go", to przecież ludzie, którzy dali posłuch swojej legalnej, najwyższej, religijnej władzy. Są więc to ludzie lojalni, dobrzy obywatele. A cóż można powiedzieć o żołnierzach, wykonujących rozkaz? Wypełnili tylko rozkazy.

Czy można się dziwić uczniom Jezusa, że się rozpierzchli, z wyjątkiem jednego i kilku kobiet? Pozostała u Krzyża Matka Jego. Ona to wszystko widziała inaczej.

Czy możemy wszystkim im się dziwić, skoro my sami wiele razy zachowaliśmy się podobnie? Czy nie potępialiśmy wszystkich tych, którzy ośmielili się podważać prawdy nam najdroższe? Czy skłonni jesteśmy zrezygnować z własnej kariery i dobrobytu, wystawić na szwank dobro własnej rodziny dla kogoś, kto jest nam nieznany, a o kim mówią, że to jakiś dziwny człowiek? Czy nie jest naszym obowiązkiem posłuszeństwo władzom kościelnym szczególnie wówczas, kiedy bronić zdają się naszej wiary? Można by pytania tego rodzaju mnożyć bez końca.

Odpowiedź na te pytania nie jest jednak najważniejsza. Jest właściwie nawet niepotrzebna. Można przypuszczać, że dla apostołów i dla wielu innych Izraelitów pytanie w obliczu Krzyża brzmiało inaczej. To jest też nasze główne pytanie: dlaczego On, który tak wiele razy okazał swoją moc, jest teraz tak słaby? Nie tylko sam dał się poniewierać i wystawił na śmierć, ale, co ważniejsze, wystawił na upadek, zwątpienie w sens dobra tylu ludzi? Przecież dla nich Krzyż oznaczał, iż nie było prawdą to czego Jezus przedtem nauczał. Człowiek chyba nigdy nie będzie mógł zgłębić tajemnicy śmierci Boga-Człowieka na Krzyżu. Jakkolwiek powiedziano na ten temat wiele głębokich i pięknych słów, jedno jest pewne – Golgota była logicznym i nieuniknionym następstwem całego życia Jezusa. Wiemy jednak równie pewnie, że nie była końcem życia Jezusa. Śmierć Go dotknęła i wzięła w swoje objęcia, nie mogła Go jednak utrzymać. Pan Życia pozostał sobą również w chwili śmierci. Śmierć miała do tej pory władzę nad człowiekiem. Cóż mogła jednak zdziałać wobec Boga-Człowieka? Tego Człowieka nie mogła zwyciężyć, bo musiałaby sięgnąć Boga. Skoro jednak raz okazała się bezsilna, to znaczy, że stała się bezsilna również wobec tych, którzy w Chrystusa zostali wszczepieni.

To dlatego apostoł Paweł woła: *Niech mnie Bóg uchowa, abym miał się chlubić z czego innego, jak tylko z Krzyża Pana naszego Jezusa Chrystusa* (Gal 6,14). Właśnie dlatego współukrzyżowanie z Chrystusem staje się początkiem życia. Śmierć staje się początkiem życia, bo przez śmierć już została zwyciężona!

Zmienia się sens cierpienia człowieka niewinnego, nawet jeśli jest to cierpienie aż do śmierci prowadzące. Uczestnicy cierpień Chrystusowych radują się, gdyż będą się radowali również podczas objawienia Jego chwały. Przez Krzyż radość przyszła na cały świat!

Jeśli tak, to nawet wówczas, kiedy ogarnęła mnie ciemność samotności, ciemność opuszczenia przez Boga, kiedy modlitwa staje się niemożliwa i pustka śmierci zaczyna mnie wypełniać, to nawet wówczas nie jestem sam. W tej pustce słyszę głos z Golgoty: „Boże, Boże mój, czemuś mnie opuścił". Wsłuchuję się w ten głos i dostrzegam, że to jest również mój głos. Nie jestem więc sam. Bóg jest ze mną. Więc okazuje się, że Krzyż jest tylko drogą ku Zmartwychwstaniu. Amen.

Arcybiskup Jeremiasz
PP, listopad, 1986

U dołu skalna cerkiew monasteru św. Klemensa w Inkermanie

Prawosławny Krym





PRELUDIUM

To, że Krym jest perłą turystyczną na skalę światową, wiadomo. Ale że odegrał tak wielką rolę w rozwoju chrześcijaństwa? Sam przez wiele lat nie miałem o tym pojęcia. Oświecenie przyszło nieoczekiwanie, gdy jakiś czas temu studiowałem kupioną w Symferopolu mapę.

Zaintrygowało mnie stosunkowo duże nagromadzenie nazw własnych (góry, przylądki, półwyspy, miejscowości), zaczynających się przedrostkiem *Aj*. Co to ten *Aj* i czemu go tak dużo? Zacząłem szperać i ku memu zdziwieniu okazało się, że słowo jest pochodzenia krymsko-tararskiego, a oznacza… *Święty*.

Tak, wszystko niby się zgadzało, bo Tatarzy niepodzielnie władali Krymem między XV a XVIII wiekiem i nadawane przez nich nazwy często utrzymały się do dziś. To wiedziałem. Ale reszta nie bardzo się zgadzała, ponieważ dalsze części tych nazw, po *Aj*, nie oznaczały muzułmańskich świętych, ale zdecydowanie chrześcijańskich i to w rosyjskim brzmieniu.... Choćby góry: *Aj-Danił* = św. Daniel, *Aj-Wasyl* = św. Bazyli, *Aj-Nikołaj* = św. Mikołaj, *Aj-Sawa* = św. Sawa, *Aj-Foka* = św. Focjusz itp. Pytanie brzmiało: dlaczego muzułmańscy Tatarzy czczą chrześcijańskich świętych? A może tylko przejęli to od wcześniejszych mieszkańców Krymu? Choćby bizantyńskich Greków?

Otóż okazało się, że częściowo przejęli, ale przede wszystkim sami je nadawali, gdyż nierzadko niemal równie wielką czcią darzyli tak swoich, jak i chrześcijańskich świętych! W wielkim poważaniu mieli także ikony i prawosławne monastery. Przyznam szczerze, że było to dla mnie zaskakujące odkrycie.

Jak wielką więc rolę musiało odgrywać tu prawosławie, skoro niemalże największa, a na pewno najsłynniejsza góra (do dziś będąca jedną z największych atrakcji Krymu), majestatyczna Ajpetri, to przecież *Aj-Petri*, czyli Góra Świętego Piotra?! A przylądek Ajtodor, na którym pyszni się turystyczny symbol Krymu, czyli Jaskółcze Gniazdo, to *Aj-Todor*, a więc przylądek św. Teodora. Kwintesencją tego ajowego nazewnictwa jest według mnie przylądek Aja, czyli „Święta” – po prostu. .

Wygląda więc na to, że nawet sami mieszkańcy półwyspu najczęściej nie mają świadomości źródła tychże nazw (co z resztą potwierdziło się w czasie rozmów), bo przecież *Aj-Petri*, którą niepodzielnie władają dziś Tatarzy (niezliczone stragany, czajchany, knajpki, stosika z pamiątkami i najzwyklejszą barachołką; hodowcy wielbłądów, właściciele pozujących do zdjęć niedźwiadków, papug, orłów oraz tysiąca innych rzeczy), może kojarzyć się ze wszystkim, tylko nie ze św. Piotrem. A jednak!

Temat mnie zafascynował i zacząłem go drążyć. Okazało się, że im głębiej drążyłem, tym więcej prawosławnych śladów znajdowałem. Tych współczesnych, starszych i tych całkiem dawnych. Bo prawosławie jest tu obecne od samego początku, czyli od czasów apostolskich. A na dodatek, bardzo często właśnie stąd wędrowało dalej, do Europy.



Sewastopol, dawny Chersonez – pomnik apostoła Andrzeja i sobór św. Włodzimierza
Niżej monaster Uspienski koło Bachczysaraju
U dołu Kercz, dawny Pantikapajon - pomnik ap. Andrzeja Pierwozwannego







APOSTOŁ ANDRZEJ

Gdy po Zesłaniu Ducha Świętego apostołowie rozeszli się po świecie, Andrzejowi *Pierwozwannemu* (Pierwszemu Powołanemu) przypadły w udziale ziemie leżące wokół Morza Czarnego. Jego przepowiadanie skierowane było do Żydów i tych pogan, którzy posługiwali się językiem starogreckim (*koine*), pełniącym wówczas rolę języka międzynarodowego na całym Wschodzie. I tu pojawia się pytanie: czy ówcześni mieszkańcy Krymu znali *koine*? Bo byli przecież stepowymi koczownikami – analfabetami.

Niby byli, ale trzeba wiedzieć, że całe południowo-zachodnie wybrzeże Krymu, czyli dokładnie to, co dziś stanowi największą jego atrakcję i funkcjonuje pod nazwą Riwiery Krymskiej, zajmowały kolonie handlowe, zakładane przez starożytnych Greków już w VI w.p.n.e. Najważniejsze z nich to Pantikapajon (Kercz), Feodosia (Teodozja), Sugdeia (Sudak), Aluston (Ałuszta), Gorzubiti (Gurzuf), Yalita (Jałta), Foros (Foros), Chersones (Sewastopol), Kerkiniatyda (Eupatoria). Wynika więc z tego jasno, że ludzi, którzy byliby w stanie zrozumieć i przyjąć przepowiadanie Andrzeja, na Krymie nie brakowało.

Oczywiście okres działalności apostoła przypada na czasy władania półwyspem przez Imperium Rzymskie (wyniosą się dopiero w połowie III wieku), czyli na okres, gdy wiara w Chrystusa jest jeszcze tępiona przez państwo. Oznacza to również, że praca każdego misjonarza wiązała się ze śmiertelnym niebezpieczeństwem. Nie miało to jednak dla nich żadnego znaczenia.

Obecność apostoła Andrzeja na Krymie potwierdzona jest nie tylko przez Tradycję, ale też dobrze udokumentowana źródłowo. W przypadku zaś innych – Piotra, Szymona Zeloty i Judy Tadeusza – już dyskusyjna, choć prawdopodobna.

Zajmijmy się więc teraz tym, co wiemy na pewno. Otóż na pewno apostoł zaczął swoją działalność misyjną od Pantikapajonu (Kerczu). W połowie pierwszego wieku był to najsilniejszy grecki ośrodek na półwyspie. W końcu Pantikapajon wchodził w skład Królestwa Bosporańskiego, które stanowiło potężną siłę w tej części świata.

Praca apostoła Andrzeja musiała być owocna, gdyż stosunkowo szybko po-

wstał tu silny ośrodek chrześcijański, a miejscowy biskup miał mocną pozycję. Jeden z jego następców – Kadm, złoży swój podpis pod decyzjami pierwszego soboru powszechnego, odbytego w Nicei koło Konstantynopola w roku 325.

Dalsza droga Pierwszego Powołanego wiodła przez dzisiejszą Teodozję (Feodosia, z gr. Dana przez Boga), Ałusztę (w starożytnym Aluston źródełko św. Andrzeja istnieje od czasów niepamiętnych) i Foros, do Chersonezu Taurydzkiego (obecny Sewastopol) – drugiego pod względem wielkości i znaczenia greckiego ośrodka na Krymie. Taueyda zaś to najstarsza nazwa półwyspu, przejęta przez Greków, a popularna nota bene do dziś (pamiętacie samochód Tawrija?).

I tutaj również działalność misyjna musiała się powieść, gdyż jak podają źródła cerkiewne, w momencie gdy św. Klemens przybył tu trzydzieści lat po śmierci ap. Andrzeja (rok 62), to znalazł w Chersonezie wielu chrześcijan. I jeśli nawet średniowieczna Tradycja trochę liczby zawyżyła, to i tak sukces misji jest niepodważalny. Apostoł przebywał na Krymie dobrych kilka miesięcy, po czym wyruszył na północ, na tereny przyszłej Rusi. W efekcie dotarł do Kijowa, a ponoć nawet do Nowogrodu.

Pamięć o św. Andrzeju i jego działalności przetrwała dwa tysiąclecia i nadal jest niezmiernie żywa – to najlepszy dowód na to, co zostało tu dokonane. Z końcem XVIII wieku bowiem, to właśnie apostoła wybrano patronem nowo utworzonej Floty Czarnomorskiej, a jego krzyż (w kształcie litery X) znalazł się na jej banderze. I do dzisiaj nic w tej kwestii nie uległo zmianie. Apostoł i jego krzyż nadal patronują stacjonującej w Sewastopolu Flocie Czarnomorskiej, a nawet całej flocie Federacji Rosyjskiej. Order zaś św. Andrzeja stanowi tam najwyższe odznaczenie, jakie marynarz może otrzymać.

W każdej natomiast krymskiej cerkwi znajdziemy ikony świętego, gdyż także na lądzie cieszy się wielkim poważaniem.

Paweł Krysa, fot. **autor**

Wielki Tydzień w Tarnowie

Biskup przemyski i gorlicki Paisjusz dekretem z 31 marca powołał do życia prawosławny punkt duszpasterski Częstochowskiej Ikony Matki Bożej w Tarnowie. Dzięki życzliwości Kościoła polskokatolickiego nabożeństwa odbywają się w jego kaplicy przy ulicy Bernardyńskiej 24.



Tarnów, wchodzący swego czasu w skład dóbr wielkiego rodu Ostrogskich – mecenasów i obrońców prawosławia – nigdy nie miał świątyni prawosławnej, choć, według zgodnie z historycznymi danymi, zawsze zamieszkiwała w nim ludność prawosławna – ruska i grecka. W latach dwudziestych minionego stulecia prawosławni modlili się w jednym z rzymskokatolickich kościołów (Tarnów był wtedy siedzibą Rządu Ukrainy na Uchodźstwie), a w latach osiemdziesiątych sporadycznie odprawiano tutaj prawosławne Liturgie w kaplicy Zakładu Karnego i innych

To był niezwykły Wielki Tydzień nie tylko dlatego, że Wielki (choć to akurat rozumie się samo przez się), ale ze względu na to, co się w ciągu niego stało. W ciągu tego tygodnia zainaugurowała działalność tarnowska prawosławna cerkiew ku czci Częstochowskiej Ikony Matki Bożej i odsłużono trzy nabożeństwa. A że pierwsze z nich było Liturgią archijerejską – po raz pierwszy służoną w naszym mieście – to nie dziwcie się państwo, iż mówię, że działy się dla nas rzeczy niezwykłe.

Nabożeństwo to miało miejsce w Niedzielę Palmową. Liturgii przewodniczył władyka **Paisjusz**, a oprócz duchownych, w tym mnichów z Wysowej, zjawiła się na nim garstka prawosławnych z Tarnowa oraz okolic. Grupka niewielka, ale od czegoś trzeba zacząć, bo jak stwierdził władyka: – Mamy od Boga prawo zaczynać tworzyć gdzieś Cerkiew i zaczynać służyć Liturgie, ale nie mamy prawa sami przestawać tego robić. I dopóki ktokolwiek będzie tu na nie przychodził, nie przestaniemy.

Będzie przychodził Władyko, będzie. Możecie być o to spokojni.

miejscach. Na prośbę ponad sześćdziesięciu osób z Tarnowa i okolic władyka Paisjusz poczynił starania, aby pozyskać miejsce dla odprawiania regularnych nabożeństw prawosławnych i mianował administratorem punktu duszpasterskiego o. **Dariusza Bojczyka** z Rzeszowa. Prawosławni w Tarnowie to Polacy, Łemkowie, Ukraińcy, Macedończycy, Rumuni i Rosjanie.

Pierwszą Liturgię w tarnowskiej kaplicy celebrował biskup Paisjusz w asyście o. mitrata **Bazylego Gałczyka**, o. ihumena **Maksyma**, o. Dariusza Bojczyka i o. hierodiakona **Augustyna**. Śpiewał chór rodziny **Dubeców** z Wysowej z towarzyszeniem **Marii Feret**.

Było to wydarzenie historyczne, ponieważ po raz pierwszy w historii Tarnowa, sięgającej czasów piastowskich, Liturgię w tym mieście sprawował prawosławny biskup.

Możliwe, że w tym założonym w IX wieku grodzie na górze św. Marcina (wzgórze wznoszące się nad dzisiejszym miastem) istniała cerkiew prawosławna i krew naszych przodków wzywa dzisiaj do Boga z prośbą o słowiańską prawosławną modlitwę – taką, jaką przynieśli na nasze ziemie Święci Cyryl i Metody wraz ze swymi uczniami. Gród w XI wieku znika z map, a jego ziemie przejmują benedyktyni tynieccy, zaś samo miasto w dzisiejszych granicach lokowane jest w XIV wieku na terenie wsi rycerskiej. Poprzez ślub księcia



Konstantego Bazylego Ostrogskiego z Zofią Tarnowską, wywodzącą się ze starego halickiego rodu, miasto wraz z całym starostwem tarnowskim wchodzi w skład dóbr Ostrogskich (1557 rok).

Tyle historii, ale powróćmy do Liturgii – pięknie śpiewa chór, na twarzach wiernych (zebrało się ponad czterdzieści osób) widać radość i duchowe przeżywanie tych podniosłych chwil.

Po zakończeniu nabożeństwa arcypasterz porównał dzisiejszy dzień do Wjazdu Chrystusa do Jerozolimy. Życząc Bożego błogosławieństwa nowej wspólnocie władyka prosił, aby od tego dnia nie ustawała prawosławna modlitwa w tym grodzie, a o. Dariuszowi życzył wiele wytrwałości i duchowych sił w budowaniu nowej wspólnoty prawosławnej.

Liturgie w kaplicy przy Bernardyńskiej 24 sprawowane będą w każdą niedzielę o godz. 8.00.

Kto chciałby wspomóc naszą wspólnotę, ofiary może przesłać na konto: PBS 29 8642 1126 2012 2405 2225 0002 – z dopiskiem Tarnów. *Spasy Hospody!*

Kontakt: o. Dariusz Bojczyk, ul. Cienista 20, Rzeszów, tel. 511 519 043; ksdbojczyk@gmail.com.

o. Dariusz Bojczyk
fot. **Mikołaj Grycz**

Było więc bardzo podniośle i bardzo uroczyście, a jednocześnie jakoś kameralnie i rodzinnie. Bo pamiętaliśmy, że do tej pory już kilka razy w ciągu ostatnich dziesięcioleci odbywały się w Tarnowie prawosławne nabożeństwa (pierwsze równe 102 lata temu), ale zawsze miały one charakter dosyć epizodyczny i okazjonalny. Tym razem jednak postanowiliśmy sobie, że ta Liturgia, służona w Palmową Niedzielę, będzie pierwszą z niekończącego się już cyklu.

Jest nas – tarnowskich prawosławnych – na razie jeszcze zbyt mało, by myśleć o budowie własnej świątyni. Stąd też współużytkujemy kaplicę Kościoła polskokatolickiego (najbardziej ze wszystkich katolickich denominacji zbliżonego do prawosławia), za co jesteśmy im bardzo wdzięczni.

Następne nabożeństwo miało miejsce w Wielki Piątek. Tym razem nie było już żadnych gości, była więc nas tylko garsteczka, ale i tak przepełniała nas ogromna duma i radość, że wreszcie i u nas wynoszona jest Płaszczenica.

No i wreszcie nadszedł niedzielny, Paschalny poranek i po raz pierwszy w historii tego miasta zabrzmiało *Christos Woskres*! Po raz pierwszy również święcono koszyczki w niedzielę, a nie w sobotę, jak to zwykli robić w kościele.

Byliśmy bardzo dumni i szczęśliwi: bo była prawosławna Pascha, bo było nas więcej niż w Wielki Piątek, no i byliśmy wreszcie we własnej cerkwi!

Bardzo więc prosimy wszystkich Państwa, którzy teraz czytacie te słowa, o modlitwę w intencji powodzenia naszej misji.

Paweł Krysa

Niżej cerkiew garnizonowa św. Mikołaja w 1915 roku,
obok – jako rzynskokatolicka świątynia parafialna



Cerkiew po przebudowie wyświęcono w 1879 roku w imię Kazańskiej Ikony Matki Bożej. Wkrótce okazała się za ciasna.

Na augustowskiej ziemi

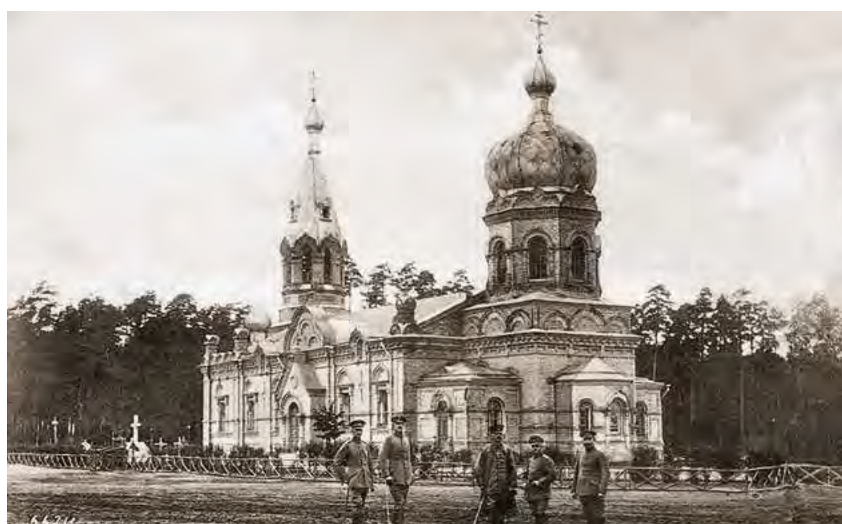
– Nie! Cerkwi w Augustowie nie ma – pamiętam szczere wzburzenie koleżanki ze studiów, augustowianki z dziada pradziada, na moje zagadnięcie o prawosławie w jej mieście. W błędzie jest pewnie i wielu miejscowych, a ci, którzy miasto odwiedzają – wszakże to znany letni kurort – cerkwi także nie szukają. Ale cerkiew tu jest. Zawsze była, swego czasu nawet kilka. Obecną, choć położoną w samym centrum, przy Rynku Zygmunta Augusta 4, trudno znaleźć. Stoi w podwórku, na tyłach kamienic. Mieści się w dawnym zakładzie wulkanizacyjnym. Ale w niedalekiej przyszłości ma się to zmienić. Powstaje tu cerkiew z prawdziwego zdarzenia.

TROCHĘ HISTORII

Historia prawosławia ma tu długą metrykę. O. **Grzegorz Sosna** w książce „Zapomniane dziedzictwo" pisze: *Pomimo sporej liczby Rusinów nie utworzono dla nich wiejskich parafii greckich. Jedyna parafia ruska była fundowana w Augustowie dopiero za Zygmunta Augusta. Można ten brak wytłumaczyć zaleceniem Bony, za czasów której powstało tu najwięcej wsi. Równocześnie trzeba zaznaczyć, że już wielu Rusinów było spolonizowanych. Nie było wyłącznie polskich i ruskich wsi z wyjątkiem wsi Solistówka, gdzie mieszkali Rusini, jednakże dla nich wiejskich parafii nie utworzono.* Zygmunt August najpierw ufundował kościół rzymskokatolicki, a potem w 1553 roku wydał dokument przeznaczający plac pod świątynię prawosławną.

Cerkiew w Augustowie znajdowała się na górce nad rzeką Nettą, na rogu ulicy Cerkiewnej (obecnie Sienkiewicza) i Koziej (obecnie Hoża). Niewielka drewniana cerkiew pod wezwaniem Matki Bożej przetrwała do XX wieku. W międzyczasie przechodziła różne koleje losu. Po roku 1596 parafia, podobnie jak inne na tym terenie, przeszła na unię. W tym czasie liczba wiernych znacznie się zmniejszyła, a cerkiew wymagała remontu. W XVIII wieku cerkiew przebudowano i poświęcono Przemienieniu Pańskiemu.

W latach 20. XIX wieku ówczesna parafia unicka sprzedała część ziemi przy cerkwi z przeznaczeniem na budujący się Kanał Augustowski. W drugiej połowie XIX wieku władze Imperium



Rosyjskiego kierują do Augustowa, leżącego przy granicy z Cesarstwem Niemieckim, dużą liczbę wojska oraz urzędników wraz z rodzinami. Nowo przybyli Rosjanie wyznania prawosławnego szukali wsparcia w Cerkwi, powstała więc potrzeba budowy nowej świątyni. Drewniana cerkiew nad Nettą była w złym stanie i jedynie okazjonalnie odbywały się w niej nabożeństwa.

W 1876 roku została powołana nowa parafia prawosławna, której proboszczem został o. **Maksymilian Stępkowski**, który przez dwadzieścia lat bardzo zasłużył się prawosławiu w Augustowie. W 1876 roku cerkiew zorganizowano w wynajmowanym murowanym budynku na rogu Placu Miejskiego i ulicy Długiej. Dzięki zabiegom proboszcza udało się odzyskać złożone w banku pieniądze za ogród cerkiewny, zabrany pod budowę Kanału Augustowskiego. Posłużyły one do rozbudowy drewnianej świątyni.

Miasto rozwijało się, przybywało więcej ludzi, także prawosławnych, którzy zajmowali ważne stanowiska urzędnicze. Poczyniono zatem starania o budowę większej cerkwi, a gubernator zalecił „postawić ją na centralnym placu". Nową murowaną cerkiew, Apostołów Piotra i Pawła, usytuowaną w sercu miasta, na obecnym Rynku Zygmunta Augusta, dwa kroki od obecnej skromnej świątyni, poświęcono w 1884 roku.

Napięte stosunki rosyjsko-niemieckie spowodowały, że w 1893 roku do stacjonującego w Augustowie 2 Dońskiego Pułku Kozaków z 2 Dywizji Kawalerii, dołączył przybyły z Grodna 104 Ustiużski Pułk Piechoty z 26 Dywizji. Wtedy garnizon liczył już 3260 żołnierzy, którzy początkowo korzystali z posług religijnych parafii miejskiej. Potem została utworzona dla nich cerkiew tymczasowa. Budowę świątyni 104 Ustiużskiego Pułku, na



Plac budowy nowej cerkwi, niżej o. Marek Kozłowski, na anałoju ikona Augustowskie Objawienie i cerkiew – dawny warsztat

placu pomiędzy budynkami koszarowymi, rozpoczęto na początku XX wieku. I tak w Augustowie stanęła cerkiew św. Mikołaja.





Przyszedł rok 1915. Ludność prawosławna ewakuowała się. Starą cerkiewkę Kazańskiej Ikony Matki Bożej Niemcy zamienili na kuźnię. Cerkiew *Pietropawłowska* prawdopodobnie, tak jak sobory w Suwałkach i Łomży, została zamieniona przez Niemców na kościół garnizonowy.

Okres międzywojenny dla prawosławia w Augustowie był najtragiczniejszy. Władze, postanowiły zatrzeć wszelkie ślady rosyjskiego panowania w mieście. Cerkiew garnizonowa św. Mikołaja w 1921 roku została zamieniona na kościół, a cerkiew murowana świętych Apostołów Piotra i Pawła w 1926 roku rozebrana. W czasie wojny drewniana cerkiew Kazańskiej Ikony Bogarodzicy została rozebrana.

Po wojnie modlono się w rożnych miejscach. Na dłużej cerkiew prawosławną zorganizowano w domu prywatnym. Potem adaptowano pomieszczenie w budynku przy ulicy Sienkiewicza. I tak do przenosin w roku 1985, właśnie do dawnego zakładu wulkanizacyjnego.

BOGARODZICA POCIESZA ŻOŁNIERZY I ŁĄCZY LUDZI

Ostatnio odżywa pamięć o augustowskim objawieniu, kiedy to Bogarodzica ukazała się rosyjskim żołnierzom. Zdarzyło się to w 1914 roku. Wojska rosyjskie weszły na teren Prus. Ale nie było spodziewanych sukcesów. Żołnierze ginęli, wielu – na niespotykaną dotąd skalę – trafiło do niewoli. W sierpniu w tzw. bitwie pod Tannenbergiem siły rosyjskie poniosły klęskę. Nastroje były tak złe, że wśród obozujących żołnierzy rosyjskich zdarzały się wybuchy paniki. W połowie września wojska stacjonowały w lasach między Mariampolem a Augustowem. 14 września żołnierze gatczyńskiego i carskosielskiego kirasjerskiego lejbgwardyjskiego pułku, w nocy, około godziny 23, zauważyli niebywałe zjawisko. Nagle na niebie ukazała się Bogarodzica. Na lewej ręce trzymała Dzieciątko, prawą wskazywała na zachód. Po zniknięciu Bogarodzicy, na niebie pojawił się krzyż. Żołnierze padli na kolana, modlili się i płakali. Widzenie trwało trzydzieści, może czterdzieści minut. Zaczęto nazywać je Augustowskim Objawieniem.

Wieść o cudownym zdarzeniu wkrótce pojawiła się w czasopismach religijnych i świeckich, przekazywali ją sobie żołnierze. W różnych miejscach Rosji pojawiło się kilka wariantów ikon. Wydawano je w dużych nakładach. Sporo takich papierowych ikonek przywieźli ze sobą powracający z bieżeństwa mieszkańcy Podlasia. W szerszym rozpowszechnieniu się kultu przeszkodziła rewolucja.

Oryginalna ikona, napisana w 1915 roku, zachowała się! Jest daleko, nad Donem, w wołgogradzkiej obłasti, w dawnym kraju Kozaków Dońskich, w monasterze Wozniesieńsko-Kremienieckim. Według przekazu, żony Kozaków z Klecko-Pocztowego chutoru, wojujących na północno-zachodnim froncie, zamówiły ikonę w podzięce za to, że ich mężowie, którzy opowiadali o cudownym objawieniu się Bogarodzicy, wrócili z wojny. Jak tak duża ikona zachowała się w czasie wielkiej walki z wiarą? To po prostu cud – opowiadają tamtejsi mnisi. I właśnie ta ikona była w Augustowie. W lipcu 2012 roku. W Gusiewie, położonym w Obwodzie Kaliningradzkim, budowana jest cerkiew, w której jeden z ołtarzy ma być poświęcony ikonie. Dzięki staraniom tamtejszego duchowieństwa ikonę udało się sprowadzić do Obwodu Kaliningardzkiego, a stamtąd do Polski. Można było się jej pokłonić także w Supraślu i Białymstoku. Najwięcej wiernych zebrało się przy niej w Sokółce, była tu witana na rogatkach miasta i uroczyście wniesiona do cerkwi.

W augustowskiej cerkwi jest też duża współczesna ikona „Augustowskie Objawienie". Trafiła tu z Petersburga. Podobna jest w Serbii, w Belgradzie. Rosjanie podarowali ją patriarsze serbskiemu, bo właśnie na Bałkanach rozpoczęła się pierwsza wojna światowa. Augustowskich ikon znajdzie się pewnie i więcej, wszakże wojenna zawierucha dotyczyła ogromnych rzesz ludzi i obejmowała ogromny kawałek świata. Osobiście natknęłam się na nią w Mołdawii, w we wsi Cruglic, pod

Kiszyniowem, w kiocie w tamtejszej cerkwi. Batiuszka opowiadał, że wyposażenie cerkwi w dużej mierze pochodzi z darów, które parafia otrzymała zanim objął probostwo.

DZIŚ

Jednospadowy dach, kilka metrów szerokości, trochę więcej długości, szary tynk. Tak obecnie wygląda budynek ponad trzydzieści lat temu zaadaptowany na cerkiew. W środku niskie pomieszczenie, którego szerokość nie pozwala na wstawienie niedużego ikonostasu – zmieściły się carskie wrota, ikony Zbawiciela i Bogarodzicy, drzwi diakońskie już trzeba było zamontować pod kątem. Budowa cerkwi w Augustowie jest pilną sprawą. Obecny budynek po prostu nie jest miejscem godnym kultu.

Po Liturgii w Niedzielę Palmową z cerkwi wychodzą wierni. Nie na cerkiewny plac, bo takiego nie ma, a na wyłożone trylinką podwórko-zaplecze z rampami dla samochodów dostawczych. – Poproszę o taksówkę pod pocztę główną – mówi do słuchawki jedna ze starszych pań. Od strony Rynku Zygmunta Augusta, właśnie między pocztą a jednym ze sklepów, jest brama, którą można dojść do cerkwi.

Zagaduję ludzi. Uśmiechnięte małżeństwo, **Helena** i **Jan Jurgielowie**, są z Sidry, w parafii Jaczno. Postanowili świętowanie połączyć z zakupami. O cerkwi dowiedział się pan Jan, gdy był tu w sanatorium.

Maria i **Antoni Ostrowscy** pochodzą z Hajnówki, przyjechali przed sześcioma laty, za córką, którą życie przywiodło właśnie tutaj.

Na dłużej przystaje pani **Walentyna Kulmaszewska**: – Przyjechaliśmy tu z mężem, z parafii Nowy Dwór, z małą walizeczką w latach pięćdziesiątych. Pewna staruszka, wdowa, dowiedziała się, że jesteśmy prawosławni i poprosiła o opiekę, bo ona też była prawosławna. Modliliśmy się tu w rożnych miejscach. Już trzydzieści lat w tym miejscu. Mało nas tutaj.

Mojej rozmówczyni towarzyszy zięć, tutejszy starosta, **Władysław Żdanuk**: – Trudno znaleźć tę naszą cerkiew. Dzięki naszemu batiuszce jesteśmy w internecie, w sanatorium jest wywieszone i aktualizowane ogłoszenie o nabożeństwach, to i kuracjuszy coraz więcej do nas przychodzi. Trudne zadanie przed nami, budowa cerkwi, naprawdę nie wiem, jak sobie poradzimy bez pomocy.

– Ja jestem stąd, tu się urodziłam – mówi z dumą **Alina Cwalina** – i od trzydziestu lat podróżuję między Augustowem a Warszawą. Warszawa to konieczność, a całe moje życie jest tutaj. Moi rodzice, **Jan** i **Zenaida Lenkiewiczowie**, są tutaj pochowani, tato był starostą. Nie mogę po prostu Augustowa zostawić.

Obok stoi **Aleksandra Kozłowska**, ciocia pani Aliny: – Do Augustowa przyjechałam w 1955 roku, wyszłam tu za mąż. Do cerkwi chodziłam zawsze, to i tu cerkiew znalazłam. Batiuszki na stałe nigdy tu nie mieliśmy, zawsze dojeżdżający, to i moje dzieci ochrzczone w różnych cerkwiach, w Sokółce, Jacznie i Suwałkach.

Parafia liczy szacunkowo pięćdziesiąt osób, ale proboszcz, o. **Marek Kozłowski**, jest przekonany, że prawosławnych jest więcej. Co i rusz dowiaduje się, że jest ktoś prawosławny, ale by pomodlić się, woli pojechać do rodzinnej parafii. Dodatkowo na nabożeństwa przychodzi wielu turystów i kuracjuszy z sanatorium.

BUDOWA

O. Marek proboszczem jest od grudnia 2010 roku. Dojeżdża do Augustowa 45 kilometrów z Dąbrowy Białostockiej, tam jest wikarnym. Wcześniej jeden duchowny poza Augustowem obsługiwał też Ełk i Suwałki. I jako że właśnie w Augustowie wiernych jest najmniej, to i najrzadziej odprawiane były tu nabożeństwa. Teraz są regularnie, co dwa tygodnie w niedziele, a w okresie letnim co tydzień naprzemiennie – Liturgia lub po południu akafist do Bogarodzicy.

Batiuszka i jego matuszka **Elżbieta** dbają o historię. Praca w stołecznych archiwach nie jest im obca. Matuszka swoją pracę licencjacką poświęciła prawosławiu na ziemi augustowskiej. Chcą wydać książkę.

Przed nimi i parafianami nie lada zadanie – budowa cerkwi i domu parafialnego. Po wielu latach i działaniach kolejnych proboszczów o.o. **Jana Kojło**, **Grzegorza Biegluka** i obecnego, wspieranych przez władykę **Jakuba**, jest działka. Oddalona od centrum, położona przy ul. Mazurskiej, czyli ruchliwej drodze krajowej nr 16, prowadzącej z Augustowa do Ełku. Lokalizacja ma plusy i minusy – cerkiew niewątpliwie wreszcie będzie widoczna, będą mogły odbywać się krestne chody – cieszy się baciuszka. Działka nie jest duża, ma 1514 metrów kwadratowych. Miasto sprzedało ją za 1 procent wartości. Są już fundamenty plebanii i cerkwi. Projekty obu budynków przygotował **Mirosław Siemionow**. Cerkiew ma pomieścić sto dwadzieścia osób, choć w praktyce pewnie więcej. Jej architektura nawiązywać będzie do zburzonej cerkwi świętych Piotra i Pawła, choć ze znacznie mniejszą dzwonnicą.

Plac poświęcono, w 2016 roku, 14 września, w dniu Augustowskiej Ikony. Już wkrótce kolejne wydarzenie, na które proboszcz i parafianie serdecznie zapraszają – 28 maja arcybiskup białostocki i gdański Jakub poświęci kamień węgielny. W czerwcu odbędzie się ogólnometropolitalna kolekta na budowę cerkwi. Przyszła cerkiew, tak jak obecnie, będzie pod wezwaniem Wniebowstąpienia Pańskiego, ale wiadomo też, że będzie tu czczona pamięć o Augustowskim Objawieniu.

Natalia Klimuk, fot. **autorka**

Parafię wesprzeć można,
wpłacając ofiary na konto:
Bank Spółdzielczy w Sokółce
32 8093 0000 0030 4498 2000 0010



Ikona Augustowskie Objawienie w mołdawskiej cerkwi

■ 900 tysięcy Polaków ma poważny uszczerbek słuchu. W Europie 80 milionów osób. Znacznie więcej – 4-6 mln osób w Polsce, w tym połowa 40-latków i 70 proc. osób po 65 roku życia – cierpi na niedosłuch. Co szczególnie niepokojące – niedosłyszy co szósty uczeń. Natomiast ponad 5 proc. populacji, czyli około 360 milionów ludzi na całym świecie, cierpi z powodu utraty słuchu. Zagrożenie niedosłuchem, a nawet całkowitą utratą słuchu, rośnie ze względu na wszechobecny hałas. Specjaliści apelują, aby unikać dźwięków szkodliwych dla zdrowia, a za takie uważa się hałas przekraczający 85 decybeli. Przy czym niebezpieczny może być nawet hałas uliczny, który czasem sięga 80-90 decybeli.

■ Prof. **Jan Woleński**, filozof, przewodniczący Komitetu Etyki w Nauce PAN: – W Polsce nauka jest drastycznie niedoinwestowana, poniżej 1 proc. budżetu państwa. To się przekłada na postawy. Ludzie są sfrustrowani, a frustracja rodzi agresję. Mamy do czynienia z dzikimi wręcz przypadkami rywalizacji o pieniądze na badania. We wnioskach o granty autorzy przypisują sobie rozmaite przymioty, jakimi nie przystoi się chwalić. Sprzyja temu fakt, że cały proces przyznawania grantów jest objęty klauzulą tajności. Fama głosi, że bardzo dużo grantów jest z góry „ustawionych”.

■ Gen. dyw. w stanie spoczynku **Zbigniew Jabłoński**, były dowódca dywizji pancernej i dywizji zmechanizowanej, były zastępca dowódcy okręgu wojskowego, były szef Departamentu Kadr i Szkolnictwa Wojskowego MON: – Teraz na piedestał wynosi się „żołnierzy wyklętych”, których jedyną wówczas kalkulacją polityczną była III wojna światowa, a więc dalsze niszczenie narodu i jego dorobku. To są nasze wzorce i tak wychowujemy młodzież. Komu to służy, po co to jest? Wojsko w tej chwili niszczy własny etos, swoje środowisko, poczucie godności zawodowej. Taki m.in. jest efekt upartyjnienia. Żołnierze szukają sobie lepszych życiorysów, znajomych posłów, działaczy, biznesmenów. (...) Została utracona ważna cecha, która w wojsku powinna dominować – przestrzeganie pewnej hierarchii i szacunek dla etosu. Ci, którzy przyjdą na uczelnie wojskowe będą wiedzieli, jak się orientować politycznie, jakie wartości demonstrować.

■ Prof. **Andrzej Szahaj**, filozof polityki, kulturoznawca, profesor zwyczajny Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu, o kłamstwie i naszej bezradności: – Problem polega na tym, że nawet jeśli kłamstwo zostaje obnażone, nic z tego nie wynika. Szybko można je wszak usprawiedliwić jakimś rzekomym interesem wyższym czy nawet, ostatecznie i bezwstydnie, własną korzyścią. W świecie zdominowanym przez bezwzględny egoizm takie usprawiedliwienie staje się coraz bardziej akceptowane. A jeśli ma ono charakter korzyści dla jakiejś opcji ideowej czy politycznej, usprawiedliwienie przychodzi szczególnie łatwo. Tolerancja jest tutaj związana z postępującym procesem odmoralnienia polityki. Wraz z odmoralnieniem relacji ekonomicznych oraz usytuowaniem się części mediów, np. tabloidów, poza dobrem i złem proces ten odpowiada za ponury obraz dzisiejszego świata. (...) Dramatem naszych czasów jest całkowita niemoc, bezradność ludzi wobec sił, nad którymi kompletnie nie panują, a które często pustoszą ich życie. Doskonałym przykładem są wielkie korporacje i banki, które stopniowo obejmują faktyczną władzę nad światem, nie przejmując się ani państwami, ani demokracją, ani moralnością...

■ **Andrzej Szczęśniak** o „strategii” gazowej Polski: – Waszyngton już od lat 80. intensywnie starał się, by Europa nie nawiązywała związków energetycznych z Rosją. Do dzisiaj ta strategia obowiązuje, blokując Europie dostawy gazu ze wschodu. Szczególnym polem tej walki jest Europa Środkowa, gdzie strategicznym celem Amerykanów jest osłabienie związków energetycznych tego regionu z Rosją. Jako uzasadnienie tej strategii służy pojęcie „dywersyfikacji” i to na dodatek „prawdziwej”, uznającej jedynie nierosyjski gaz. Jest to jednak tylko chwytliwe hasło, przesłaniające realną grę interesów i pomijające całkowicie realia geograficzne i ekonomiczne. W naszej części Europy jedyny kierunek importu gazu biegnie ze wschodu na zachód, a my w imię „dywersyfikacji” chcemy to zmienić, budując sztuczne konstrukcje – „Bramę Północną” czy korytarz „Północ-Południe”. Argumenty, że to „przetnie rosyjską pętlę gazową” nie uwzględniają twardych faktów, że gaz jest na wschodzie i płynie na zachód, znajduje odbiorców w Europie, a rynki naszych bliskich sąsiadów są opanowane przez współpracujących z Rosjanami Niemców.

■ **Leonid Swirydow**, dziennikarz, komentator agencji informacyjnej „Rossija Siegodnia” o Polsce w Rosji: – Powiem tak: w 2012 roku pojechałem z zespołem Zakopower do Petersburga z okazji Dnia Rosji, przypadającego na 12 czerwca. Graliśmy tam wtedy koncert polski, który współorganizowałem. Grupa z Polski liczyła 35 osób. W drodze z lotniska do miasta muzycy zaczęli mnie pytać: „Lonia, powiedz nam szczerze, jaki jest stosunek Rosjan do Polaków”? Odpowiedziałem: „Skoro szczerze, to proszę się nie obrażać. Żaden! Nie ma stosunku”. „Ale jak to? Przecież temat rosyjski w polskich mediach istnieje codziennie” – mówili. Ja im na to: „No tak, ale mówimy o polskich mediach. W mediach rosyjskich polskiego tematu nie ma. Nie to, że codziennie albo raz na tydzień – po prostu nie ma”. (...) Kilka miesięcy temu byłem we Władywostoku przy okazji międzynarodowego forum gospodarczego. Tam nie ma nawet tematu europejskiego, a co dopiero polskiego. Sam byłem bardzo zaskoczony, kiedy rozmawiałem z tamtejszymi ludźmi i pytałem o ich stosunek do Europy, sankcji gospodarczych, itd. Oni do mnie: „Jakie sankcje? Idź do sklepu! Czy jest jakiś problem, by coś kupić”? W tej części Rosji w ogóle nie sprowadzają z Europy żywności czy innych produktów, ponieważ im się to nie opłaca. Jeśli jakieś towary mają z zewnątrz, to z Chin, Indii, Japonii czy Korei.

Cerkiew św. Jerzego w Tanta po ataku terrorystycznym
Metropolita dimitriadski Ignacy

EGIPT

Diżhadyści atakują Koptów

W Palmową Niedzielę doszło do dwóch zamachów terrorystycznych, wymierzonych przeciwko Koptom. Pierwszy wybuch miał miejsce w cerkwi św. Jerzego w mieście Tanta. Jak podają media, zginęło trzydzieści osób, od pięćdziesięciu do siedemdziesięciu odniosło rany.

Bombę o dużej mocy podłożono na pierwszym piętrze cerkwi w pomieszczeniu dla modlących się. Zdetonował ją, zdaniem świadków, 30-35-letni terrorysta w brązowej marynarce, w krawacie i czarnych pantoflach, który wszedł do cerkwi i zajął miejsce w pierwszym rzędzie. Policji udało się zatrzymać podejrzanego.

Kilka godzin później zamachowiec samobójca zdetonował ładunek wybuchowy przed koptyjską katedrą w nadmorskiej Aleksandrii. Zabił jedenaście osób, w tym trzech policjantów, ranił 35 osób.

W momencie wybuchu w świątyni znajdował się patriarcha koptyjski **Tawadros II**, ale na szczęście nie doznał żadnych obrażeń.

Do zamachu przyznało się Państwo Islamskie.

To kolejne ataki dżihadystów wymierzone w Koptów, którzy stanowią 10 procent mieszkańców Egiptu. W samobójczym zamachu, przeprowadzonym przez Państwo Islamskie, na koptyjską katedrę w Kairze zginęło 25 osób, 49 zostało rannych.

GRECJA

Kryzys demograficzny

Cerkiewną ocenę sytuacji demograficznej Grecji zaprezentował podczas konferencji w Atenach metropolita dimitriadski **Ignacy**.

Hierarcha podkreślił, że według prognoz w ciągu dwudziestu lat ludność Grecji zmniejszy się o 500 tysięcy do miliona. – *Nasi demografowie uważają, że w 2030 roku liczba mieszkańców Grecji wyniesie 8 mln, podczas gdy sąsiedniej Turcji – 100 mln, a Albanii – 16 milionów.*



Grozi nam narodowa katastrofa – powiedział. Metropolita podkreślił, że *w celu powstrzymania spadku stopy urodzeń niezbędne są finansowe bodźce. Wieloletnie doświadczenie Cerkwi dowodzi jednak, że problem demograficzny ma przede wszystkim duchowe przyczyny. Czynniki, które doprowadziły do spadku stopy urodzeń, to nieprzerwane i systematyczne zmniejszenie roli świętej instytucji rodziny, psychologiczna i intelektualna niedojrzałość społeczeństwa, zastraszający wzrost aborcji w Grecji, dewaluacja macierzyństwa, desakralizacja człowieka i relatywistyczne odnoszenie się do wiary i Boga*.



Metropolita Ignacy opowiedział o inicjatywach greckiej Cerkwi, dążącej do rozwiązania tego kryzysu. Od 1999 roku w regionie Macedonia Wschodnia i Tracja Cerkiew okazuje wsparcie finansowe po urodzeniu trzeciego dziecka, w każdej diecezji istnieją bezpłatne przedszkola, organizowane są szkoły rodziców, rodzinom okazywana jest znaczna pomoc materialna.

– *Kryzys demograficzny jest ogromnym narodowym problemem, który zagraża istnieniu Grecji. Będziemy działać, póki jeszcze nie jest za późno* – podkreślił hierarcha.

Metropolicie Aleksandrowi nie postawiono zarzutów

Śledczy nie dopatrzyli się znamion przestępstwa w działaniach metropolity mantinijskiego **Aleksandra**. Skargę na niego wniosło kilka liberalnych organizacji praw człowieka. W oficjalnym komunikacie śledczy potwierdzili brak przesłanek do pociągnięcia hierarchy do odpowiedzialności.

W kwietniu 2016 roku metropolita mantinijski stanowczo wypowiedział się przeciwko przyjęciu przez grecki parlament ustawy o wolnych związkach partnerskich.

– *Najgorsze jest to, że parlament głosuje za ustawami, które nazywają małżeństwem wynaturzenie i połączenie wynaturzonych osób tej samej płci* – powiedział.

Mówiąc o sodomitach władyka stwierdził m.in.: – *To ludzie anomalii, która jest potępiona przez społeczeństwo i samo życie. Jest mi ich żal. Modlę się, żeby Pan im wybaczył, a oni okazali skruchę i stali się uczciwymi członkami naszego społeczeństwa. Cerkiew kieruje się prawem Bożym i naturalnym porządkiem, nikt kogo cechuje nienaturalność nie powinien jej demonstrować bez najmniejszego wstydu.* Zdaniem władyki, osoby nietradycyjnej orientacji są „chore" i potrzebują wyleczenia.

Po rozpoczęciu śledztwa wobec metropolity mantijskiego, poparcie okazało mu bardzo wielu hierarchów i działaczy społecznych.

Metropolita gortinski **Jeremiasz** nazwał sądowe dochodzenie przeciwko prawosławnemu hierarsze oburzającym. – *Do czego doszliśmy! Zamiast powstać przeciwko sodomii, która znieważa ludzką godność i społeczną moralność, przed sąd został wezwany biskup Boga. Został wezwany dlatego, że nazwał rzeczy po imieniu. Władyka nazwał homoseksualizm chorobą i jak dobry pasterz wyraził współczucie i ból z powodu cierpiących z jej powodu braci. Na czym polega jego wina? Na tym, że nazwał homoseksualizm chorobą.*

Ale przecież tak jest. W Piśmie Świętym każdy grzech nazwany jest chorobą, a grzesznicy chorymi. Zatem wykorzystane przez metropolitę mantinijskiego Aleksandra słowa są biblijne i teologiczne… Dziękujemy mu za piękny obraz pasterskiego słowa. Wszyscy, biskupi i duchowni, powinniśmy tak samo postępować. Na tym polega nasza duszpasterska misja, nasz dług. A więc proces sądowy przeciwko władyce Aleksandrowi to sąd nad wszystkimi biskupami. Chcę poinformować, że w pełni podzielam jego stanowisko i przyłączam do jego słów. Proponuję, by także mnie pociągnąć do odpowiedzialności sądowej.

JEROZOLIMA

Ukraińscy pielgrzymi u patriarchy

– *Życzę Ukraińcom, by nie tracili nadziei i nie przestawali wierzyć, że wszystkie istniejące problemy można rozwiązać na drodze dialogu* – powiedział patriarcha Jerozolimy i całej Palestyny **Teofil III**, przyjmując od ukraińskich pielgrzymów ikonę z przedstawieniami stu cudownych Ikon Bogarodzicy, z prośbą o modlitwę za Ukrainę.

– *Widziałem, ilu ludzi z Ukrainy przyjechało do Jerozolimy. Modlitwa to jeden z kroków do pokoju. Innymi są dialog i zrozumienie. Śledzimy, co się dzieje na Ukrainie i mocno wierzymy, że problemy wcześniej czy później znajdą rozwiązanie. Stale wzywamy wszystkich do pojednania. Pojednanie to pierwszy krok, po którym można rozpocząć dialog. A za sprawą dialogu wszystko jest możliwe* – powiedział patriarcha Wiecznego Miasta.

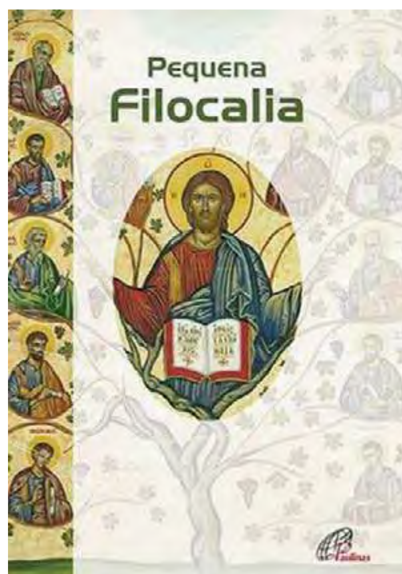
14 kwietnia, w Wielki Piątek, w Jerozolimie odbył się ogromny *krestnyj chod* po Via Dolorosa. Prawosławni wierni z Ukrainy i innych miejsc świata nieśli kopie stu znanych na Ukrainie cudownych ikon Bogarodzicy.

Ikony zostały przyniesione do patriarchy podczas spotkania z oficjalną delegacją Ukraińskiej Cerkwi Prawosławnej, która przybyła po Święty Ogień.

PORTUGALIA

Filokalia po portugalsku

„Małe dobrotolubije" (*Pequena Filocalia*) ukazało się staraniem wydawnictwa „Paulinas" po portugalsku.



Do ośmiusetstronicowego tomu weszły tłumaczenia dzieł wielkich nauczycieli monastycyzmu – św. Antoniego Wielkiego, Ewagriusza z Pontu, Makarego z Egiptu, Jana Kasjana Rzymianina, Hezychiusza z Synaju, Marka Ascety, Maksyma Wyznawcy, Symeona Nowego Teologa, Grzegorza z Synaju, św. Grzegorza Palamasa i innych Ojców Cerkwi.

Wyboru i redakcji tekstów dokonał ihumen **Arseniusz** (**Sokołow**), przedstawiciel patriarchatu moskiewskiego i całej Rusi przy patriarsze Wielkiej Antiochii i całego Wschodu

Wydawca jest przekonany, że książka będzie nie tylko z zainteresowaniem przyjęta przez portugalskojęzycznych czytelników, ale dla wielu z nich stanie się odkryciem prawosławnej ascetycznej tradycji.

ROSJA

Eucharystia – centrum naszego życia

O ważności *priczaszczenija* w życiu każdego chrześcijanina mówił podczas Liturgii w *Uspienskim* Soborze Troicko-Siergijewskiej Ławry patriarcha moskiewski i całej Rusi **Kirył**.

– *Ludzie słyszą kazanie w świątyni i zdarza się, chociaż nie zawsze, kiedy słowa kaznodziei rozgrzewają serce. Ale czy to wystarczy, żeby poznać Boga? Żeby przeżyć osobiste spotkanie z Panem, ujrzeć jego obecność w swoim życiu, w życiu swego narodu, w życiu rodu ludzkiego? Nie, żadne słowa nie mogą obudzić uczucia współuczestnictwa w Bożym życiu. Żadne, nawet najmądrzejsze słowa nie są w stanie połączyć człowieka z Bogiem – a właśnie poprzez to połączenie poznajemy Boga.*

Zdarza się to tylko wtedy, kiedy ze szczerą, czystą wiarą, przynosząc pokajanie, przyjmujemy Ciało i Krew Zbawiciela. Wtedy działają w nas nie słowa, nie mądre książki. Możemy w tej chwili o wszystkim zapomnieć, ale umysłem i sercem czujemy obecność Boga w naszym życiu, podobnie, jak ujrzeli Zmartwychwstałego Chrystusa Łukasz i Kleofas po przyjęciu priczastija z rąk swego Zmartwychwstałego Zbawiciela.

Oto dlaczego Cerkiew nie przestaje podkreślać wagi przyjmowania Świętych Chrystusowych Tajemnic. Sprawowanie Eucharystii leży w centrum naszego życia, w centrum życia Cerkwi. Cerkiew staje się Cerkwią, kiedy sprawuje Eucharystię. Cerkiew jest w całym wszechświecie, pozostaje w milionach ludzkich istnień i losów. Ale zobaczyć i zrozumieć, czym jest

O. Konstanty Bajko z chórzystami cerkwi w Luszniewie, maj 1938, ze zbiorów Heleny Szachowicz

Cerkiew, można wtedy, kiedy sprawuje się Sakrament Ciała i Krwi Chrystusowej. Wtedy otwierają się nasze serca i w radosnym jego biciu czujemy Bożą obecność, czego nie mogą nam dać nawet najbardziej przekonujące słowa – podkreślił patriarcha.

Śladami świętego Hermana z Alaski

Wystawę „Śladami św. Hermana z Alaski" otwarto 5 kwietnia w cerkwi św. Katarzyny w Moskwie, przedstawicielstwie Prawosławnej Cerkwi w Ameryce przy Moskiewskim Patriarchacie.

„Otwarcie tej ekspozycji świadczy o duchowych i historycznych związkach między Rosyjską Cerkwią Prawosławną i Prawosławną Cerkwią w Ameryce, między Rosją i Stanami Zjednoczonymi Ameryki" – napisał w posłaniu metropolita całej Ameryki i Kanady **Tichon**. „Stupięćdziesięciolecie sprzedaży Alaski Stanom Zjednoczonym, które mija w tym roku, nadaje tej wystawie szczególne znaczenie.

Św. Herman Alaski przybył na Alaskę w 1794 roku jako jeden z członków rosyjskiej duchowej misji. Pozostał tu do śmierci w 1837 roku, bezinteresownie kochał rdzennych mieszkańców, a oni odwzajemniali to uczucie.

W osobie św. Hermana przejawiły się miłość i świętość jako niezachwiane założenie skierowanej do całej Ameryki prawosławnej misji.

Już w sierpniu 1970 roku, tuż po nadaniu autokefalii Cerkwi Prawosławnej w Ameryce przez Rosyjską Cerkiew Prawosławną, odbyła się kanonizacja św. Hermana. W ten sposób Cerkiew Prawosławna w Ameryce zachowuje żywą więź ze Św. Hermanem i jego świadectwem prawosławnej wiary".

Do zebranych zwrócił się też przewodniczący rady Wydawniczej Rosyjskiej Cerkwi Prawosławnej, metropolita kałuski i borowski **Kliment**, który wiele lat kierował parafiami moskiewskiego patriarchatu w USA, prowadząc badania na temat rosyjskiej misji na Alasce.

Podkreślił historyczne znaczenie misji mnichów z wałaamskiego monasteru, którzy w końcu osiemnastego wieku przybyli na Alaskę oraz *podwig* krzewiącego i umacniającego prawosławie wśród rdzennych mieszkańców półwyspy mnicha Hermana.

Obecni obejrzeli fragment filmu o św. Hermanie z Alaski, powstałego podczas licznych wypraw do „Rosyjskiej Ameryki".

Jest to pierwsza tego typu wystawa w Moskwie. Została przygotowana dzięki materiałom zebranym podczas ekspedycji na Wyspę Jodłową, na której święty niósł *podwig*. Można na niej obejrzeć m.in. fotografie cerkwi na wyspie Kodiak (duszpasterską służbę niósł tam także św. Bazyli Martysz), a także kopie archiwalnych dokumentów, dość szczegółowo opowiadających o życiu św. Hermana (Jegora Popowa) przed przyjęciem *postrigu*.

SZWAJCARIA

Pięćdziesięciolecie Centrum Prawosławnego w Chambesy

W obchodach pięćdziesięciolecia Centrum Prawosławnego Patriarchatu Konstantynopolskiego w Chambesy koło Genewy i dwudziestolecia powołania Ośrodka Badań przy Centrum wziął udział patriarcha ekumeniczny **Bartłomiej**.

Zwierzchnik patriarchatu ekumenicznego uczestniczył w konferencji naukowej na uniwersytecie we Fryburgu, odwiedził też ekumeniczną wspólnotę w Taize. Podczas wizyty prezentował rezultaty soboru na Krecie, omawiał problemy związane z ochroną przyrody oraz obroną dzieci przed przemocą.

UKRAINA

Zbezczeszczenie świątyni

W nocy z 22 na 23 kwietnia ograbiono i zbezczeszczono cerkiew św. wielkomęczennika Dymitra Sołuńskiego w Parku Preobrażeńskim w Odessie. Złodzieje zakradli się nocą, profesjonalnie wyłączyli sygnalizację alarmową, a potem wyłamali kratę w oknie. Zabrali pieniądze zebrane przez parafian dla ofiar konfliktu na Wschodzie, przesiedleńców, a także weteranów, chorych dzieci i sierot. Oblali też olejem i winem szaty duchownych, uszkodzili utensylia cerkiewne, a w bocznym pomieszczeniu, gdzie przechowywano produkty dla ubogich, przecięli nożami worki z kaszą i ją wysypali.

Wandale rozbili i ograbili ikonę św. Dymitra Sołuńskiego z wotów przynoszonych przez wiernych z wyrazami wdzięczności za wyzdrowienie i pomyślne rozwiązanie skomplikowanych życiowych sytuacji.

OBWE wyraziła zaniepokojenie aktami wandalizmu wobec prawosławnych świętości w odesskiej *obłasti*. W diecezji podkreśla się, że w ciągu ostatnich kilku lat ograbiono i zbezczeszczono około 50 cerkwi.

USA

Święty Ogień dotarł do Ameryki

Po raz pierwszy Święty Ogień, który co roku schodzi w sobotę przed prawosławną Paschą w Jerozolimie, został dostarczony do parafii w Stanach Zjednoczonych. Z taką inicjatywą wystąpili parafianie Rosyjskiej Cerkwi Prawosławnej za Granicą. Święty Ogień trafił do wielu miast Rosji, także Polski, Łotwy, Estonii i Wielkiej Brytanii.

Zejście Świętego Ognia odbywa się w wielką sobotę w cerkwi Grobu Pańskiego podczas specjalnego nabożeństwa. Jako jeden z pierwszych opisał to cudowne wydarzenie ruski mnich **Daniił**, który odbył pielgrzymkę na Ziemię Świętą na początku XII wieku.

Ogień schodzi w zbudowanej w 1810 roku nad miejscem pogrzebania Chrystusa kaplicy. Tuż przed Wielkanocą, którą w tym roku chrześcijanie całego świata obchodzili wspólnie, dobiegła końca pierwsza od dwustu lat restauracja Grobu Pańskiego.

Na podst. www.pravoslavie.ru
oprac. **Ałła Matreńczyk**
fot. **pravoslavie.ru**

ISSN 1899-9018
Nr indeksu 371416

сами о собі
сами о себе
самі про себе
самі пра сябе

samiosobie

miesięcznik społeczno kulturalny /102/ maj 2017



Ушанаванне айца Канстанціна

На пераломе сакавіка і красавіка месяца прыйшлося мне перажыць своеасаблівае паломніцтва па заходнебеларускіх слядах а. Канстанціна Байко. Спачатку пабываў у Берасці, дзе 28 сакавіка, ў зале Раённай бібліятэкі ім. М. Горкага, прайшла прэзентацыя кнігі пра нашага выдатнага свяшчэнніка. Некалькі дзён пасля, з цыклам презентацый адправіўся ў Гародню і іншыя месцы. Айцец Канстанцін неаднойчы вандраваў паміж роднай Белавежай, епархіяльнай Гародняй, манастырскімі Жыровічамі, сваім прыхадскім Клецкам ды Ракавам. Тут пражывалі яго цесці, нарадзілася дачка Зоя ды служыў паважаны а. Сімяон ды яго сын а. Міхаіл Сеўба, лепшы семінарскі сябра а. Канстанціна.

У ГАРОДНІ

Зусім нечаканай для мяне была прапанова сустрэчы ў Гародні. Атрымаў я ліст ад **Аляксандра Горнага**, выкладчыка факультэта гісторыі Дзяржаўнага універсітэта імя Я. Купалы ў Гародні. Гэты малады гісторык мэтанакіравана займаецца вывучэннем і апісаннем гісторыі Праваслаўнай Царквы ў заходняй Беларусі і Літве, закранаючы таксама тэрыторыю Падляшша. У дыяпазоне зацікаўленняў гісторыка таксама іншыя аспекты грамадскага жыцця нашага рэгіёна. Вось, цяпер ён распрацоўвае архіў Беларускай сялянска-работніцкай Грамады ў бельскім павеце.

Прэзентацыя ў Гародні была запланавана ў Епархіяльным цэнтры, які знаходзіцца ў будынку насупраць Пакроўскага сабора. У зале сабралася каля сарака асоб духавенства з Гародні і гарадзен-





З Алесем Сушай, намеснікам дырэктара Нацыянальнай Бібліятэкі Беларусі, падчас прэзентацыі



Айцец Андрэй Абрамовіч з матушкай ля царквы ў Падлессі каля Ляхавіч, радзіме св. Серафіма Жыровіцкага

скага благачыння, як старэйшага, так малодшага пакалення. Амаль двухгадзінны даклад быў нагодай прэзентацыі не толькі постаці а. Канстанціна, але таксама розных аспектаў жыцця нашай Царквы ў міжваенны і пасляваенны перыяды. З перспектывы Гародні, час паміж войнамі, гэта была адзіная гісторыя з тэрыторыяй Беласточчыны. Гарадзеншчыну і Падляшша спалучала шмат радоў духавенства.

Таму, не дзіўна, што гарадзенскае духавенства ставіла дакладчыку цікавыя пытанні і праблемы ды дзялілася заўвагамі. Ужо пасля вяртання, атрымаў я ліст ад а. **Сергія Ермакова** са Скідзеля, які падзяліўся адкрыццём на прыхадскіх могілках надмагільнага помніка а. **Канстанціна Сеўбы**: “Я нарадзіўся і вырас у Скідзелі, дзе цяпер і служу. У гэтую царкву бабулька насіла мяне маленькага да Прычасьця. На той час настаяцелям Скідзельскай цэрквы быў мітрафорны пратаіерэй Канстанцін Сеўба, я яго добра памятаю. Я памятаю яго адпяваньне і яго пахаваньне. Мне тады было 6 гадоў. Пахованы айцец Канстанцін разам з жонкай на старых могілках г. Скідзеля за алтаром царквы». Айцец Канстанцін Сеўба быў родным братам згаданага а. **Міхаіла** і сынам а. **Сімяона Сеўбы** (пазней архіепіскапа венскага і зальсбурскага **Стэфана**).

Пасля сустрэчы з гарадзенскім духавенствам была яшчэ нагода пагутарыць за абедам з благачынным і настаяцелем Пакроўскага сабора а. **Георгіем Роем**, які сам родам з-пад кобрынскіх Бухавіч. Аляксандр Горны запрасіў таксама ў свой гістарычны факультэт, каб расказаць студэнтам пра жыццё Праваслаўшай царквы і беларусаў на Падляшшы.

ЖЫРОВІЧЫ

У Жыровічы прыехалі мы па запрашэнні **Аляксандра Слесарава**, прарэктара Мінскай духоўнай семінарыі і акадэміі. Даклад пра а. Канстанціна прагучаў у вялікай зале семінарыі, куды сабраліся семінарысты дзённага і завочнага аддзяленняў. Цяпер у жыровіцкай семінарыі вучыцца каля 80 студэнтаў.

Пасля свайго абнаўлення школа падрыхтавала сотні высокаадукаваных, адухоўленых свяшчэннікаў. Выхаванню не-

У Клецкім Уваскрасенскім храме: справа а. Матфей Белаус, Андрэй Еўшаль, аўтар

сумненна спрыяе непасрэднае суседства Успенскага манастыра. Семінарысты маюць нагоду штодзённа ўдзельнічаць у багаслужбах, спяваць на клірасе, гутарыць з манахамі.

У сваім корпусе карыстаюцца багатай бібліятэкай, добра абсталяванымі заламі. Асаблівы акцэнт паложаны на гістарычную адукацыю, не толькі тэарэтычную, але і практычную. У семінарскім будынку наладжаны царкоўна-гістарычны музей, дзе на шырокім фоне паказваецца гісторыя Жыровіцкай абіцелі. Асаблівую ўвагу звяртае багатая калекцыя старадрукаў, сярод іх кніга друкаваная ў 16 ст. **Іванам Фёдаравічам**.

У асабістым архіве а. Канстанціна захаваліся два дакументы, звязаныя непасрэдна з Жыровічамі. Першы – гэта рукапіс малітвы з акафіста Жыровіцкай іконе Багародзіцы, спісаны ў 1948 г. а. Канстанцінам падчас варкуцкай ссылкі. Знамянальна, што пад малітвай запісана была ім пасхалія, пачынаючы 1948, канчаючы 1957 годам. Апошнюю Пасху прыйшлося свяшчэнніку святкаваць ужо ў Бельску.

Другі дакумент, звязаны з Жыровічамі, гэта вершаванае лацінска-расійскае прывітанне а. Іаана Чэрнекевіча, напісанае ў 1878 г. з нагоды юбілею 50-годдзя Праваслаўнай літоўскай духоўнай семінарыі. Прывітанне першапачаткова было надрукавана ў "Літоўскіх епархіяльных ведамасцях". Падчас вучобы ў Віленскай семінарыі а. Канстанцін гэты вершаваны твор старанна перапісаў.

У Жыровічы заглядаў а. Канстанцін неаднойчы падчас свайго служэння ў Клецку. Тут пралягала найкарацейшая дарога да роднай Белавежы, якую ў 1937-44 гг. стараўся перыядычна наведваць. У Жыровічах маліўся ў манастырскіх храмах. Сустракаўся з іерархамі і манахамі, ў тым ліку з намеснікам архімандрытам **Серафімам Кудраўцавым**, раней настаяцелем царквы ў Клішчэлях.

У КЛЕЦКУ

Дарога з Жыровіч у Клецк пралягла праз горад Ляхавічы. Тут нас чакаў а. **Андрэй Абрамовіч**, які сваё пастырскае паслушэнства праводзіць у прыходах Ятра і Ваўковічы каля Наваградка. У Ляхавічах а. Андрэй пражывае, але карані ягоных дзядоў вядуцца ў вёскі Якшыцы і Даматканавічы Клецкага Уваскрасенскага прыхода, дзе дзед быў царкоўным старастай.

Але пакуль мы даехалі ў Клецк а. Андрэй запрапанаваў нам наведаць вёску Падлессе, дзе нарадзіўся прападобнамучанік **Серафім** (**Шахмуць**). На Падляшшы святы найбольш вядомы ў прыходзе Курашэва, дзе служыў у трыццатых гадах. У тутэйшым храме зберагаецца рыза архімандрыта, а старэйшыя людзі яго ўспамінаюць. Памятаюць пра св. Серафіма і на бацькаўшчыне. На месцы роднага дому пастаўлена мураваная каплічка ў яго гонар. У сяле зберагласся царква 18 ст., дзе а. Серафім быў ахрышчаны і дзе ўваходзіў у літургічнае жыццё. У камуністычны час у храме пастаянна ішлі богаслужэнні, таму большасць даўняга абсталявання захавалася.

Падлескі храм напэўна наведваў і а. Канстанцін. Сустракаўся таксама з а. архімандрытам Серафімам Жыровіцкім (Шахмуцем), які падчас нямецкай акупацыі праводзіў актыўную місіянерскую працу па адраджэнні структур Праваслаўнай царквы ва ўсходняй Беларусі. За гэта ў 1946 г., падобна а. Канстанціну, прыйшлося яму пацярпець ад савецкай ўлады.

З Падлесся ў Клецк ужо недалёка. Тут нас чакалі прыхаджане Уваскрасенскай царквы з настаяцелем а. **Матфеем Белаусам** і вікарным а. **Андрэем Еўшэлям**. Сустрэча прайшла непасрэдна ў храме, дзе сем гадоў служыў а. Канстанцін. Яго сюды накіравалі ў 1937 г., каб дапамагчы старэйшаму настаяцелю а. **Грыгорыю Лукашэвічу** ў адбудове храму пасля пажару. Падчас савецкай акупацыі прыйшлося пераЖыць а. Канстанціну шмат выпрабаванняў. Змагаўся за храм перад закрыццём. У 1940 г., за невыплату прыходам вялікіх падаткаў, ўлады пасадзілі яго ў нясвіжскую турму. Падчас нямецкай акупацыі падтрымліваў на духу не толькі сваіх прыхажан, але таксама жыдоў і цыганоў. У клецкай, вялікапоснай пропаведзі з 1942 г., а. Канстанцін кранальна гаварыў пра трывожны час, ў якім прыйшлося жыць: "... калі пад ударамі грубай фізічнай сілы, зачараванай міражом нажывы за чужы кошт і фізічных задавальненняў – мясных катлоў і хлеба ўдосталь, – знішчаюцца не толькі пэўныя асобы, але і цэлыя народы і дзяржавы і губляюць каштоўнасць і высмейваюцца лепшыя ідэалы чалавецтва".

У Клецку сапраўды ганарацца, што служыў тут такі выдатны свяшчэннік.

У мясцовым краязнаўчым музеі знаходзіцца невялікая экспазіцыя, яму прысвечаная. Падчас сустрэчы а. Матфей Белаус выказаў пэўныя ідэі па ўшанаванню а. Канстанціна – названне ў Клецку вуліцы або пляцу ягоным іменем ды наладжанне вечарыны, з ўдзелам гасцей з Падляшша.

МІНСК

Завяршэннем цыкла сустрэч была прэзентацыя ў Нацыянальнай Бібліятэцы Беларусі ў Мінску, якая прайшла 5 красавіка. Яе суарганізатарам было Беларускае праваслаўнае брацтва св. Віленскіх мучанікаў (дарэчы яго члены, асабліва Канстанцін Антановіч, вельмі заангажаваліся ў рэдакцыю кнігі пра а. Канстанціна). На сустрэчы былі прадстаўлены

ўсе кнігі з выдавецкай серыі Музея малой бацькаўшчыны ў Студзіводах – “Гісторыя і культура падляшскіх беларусаў”. Кніга пра а. Канстанціна выйшла як чацвёртая. Прысутнасць каля ста асоб на прэзентацыі, у тым ліку прадстаўнікоў шмат-лікіх мас-медыяў паказала, што ў Мінску пачалі цікавіцца інтэлектуальнымі здабыткамі суродзічаў з Падляшша. Сярод прысутных быў м.інш. прарэктар Духоўнай акадэміі **Аляксандр Слесараў**, старшыня Брацтва трох віленскіх мучанікаў **Мікола Матрунчык**, дырэктар Польскага Інстытута **Матэуш Адамскі** ды **Вольга Антаненка**, дырэктар Цэнтра нацыянальных культур.

Алесь Суша, намеснік дырэктара Нацыянальнай бібліятэкі выказаў спадзяванне, што прэзентацыі сучасных інтэлектуальных здабыткаў падляшскіх беларусаў надалей у Нацыянальнай Бібліятэцы будуць адбывацца. Бо Падляшша не перыферыя, а адзін з жыватворных цэнтраў стварэння беларускай культуры.

Мінская сустрэча ў бібліятэцы мела таксама музычныя акцэнты – выступленне хору імя А. Рашчынскага ды гурту “Рада”. Навечар прыйшлося яшчэ пабываць на незвычай-ный падзеі. У зале Мінскай духоўнай акадэміі прайшоў вялікапосны канцэрт, дзе была прадстаўлена араторыя “Страсці паводле Матфея”, аўтарства мітрапаліта **Іларыёна** (**Алфеева**). Выканаўцамі былі Дзяржаўны акадэмічны аркестр Рэспублікі Беларусь, пад кіраўніцтвам **Аляксандра Анісімава**, Дзяржаўная акадэмічная харавая капэла імя Рыгора Шырмы ды і мітрапалічы хор мінскага кафедральнага сабора. Тэкст Евангелля ў перакладзе на беларускую мову прачытаў Алег Вінярскі, адзін з найбольш вядомых дыктараў Беларускага радыё.

Сярод публікі быў маэстра **Міхаіл Дрынеўскі**, кіраўнік Нацыянальнага акадэмічнага хора ім. Г. Цітовіча. Для мяне гэта была сапраўдная нечаканасць. І так, непасрэдна пасля канцэрта, прайшла апошняя прэзентацыя кнігі пра а. Канстанціна Байко. **Генадзь Цітовіч**, патрон хора, быў ягоным калегай па Віленскай духоўнай семінарыі. Таму экземпляр кнігі, дзе змешчаны м.інш. ліст а. Канстанціна да Г. Цітовіча перадаў я на рукі Міхаіла Дрынеўскага.

Дарафей Фіонік
фота **са збораў аўтара**

BIELSKI PROLOG

Stowarzyszenie Muzeum Małej Ojczyzny w Studziwodach oraz parafia Opieki Bogarodzicy w Bielsku Podlaskim zapraszają od 17do 26 maja do Bielska Podlaskiego na Prolog – III Dni Kultury i Piśmiennictwa Słowiańskiego. W tym roku wydarzenie upamiętni 500-lecie wschodniosłowiańskiego i białoruskiego drukarstwa. W 1517 r. doktor Franciszek Skoryna wydrukował w Pradze „Psałtir” w starobiałoruskiej redakcji języka cerkiewnosłowiańskiego.

Główne wydarzenia liturgiczne Prologu będą mieć miejsce 23 i 24 maja, kiedy w cerkwi Pokrowskiej zostaną odsłużone nabożeństwa, poświęcone św.św. Cyrylemu i Metodemu, śpiewane melodiami bizantyńskimi i staroruskimi.

19 maja organizatorzy zapraszają do Bielskiego Domu Kultury na polską premierę folk-rock opery „Wsiesław Czarodziej”, według scenariusza Romana Arłowa, w wykonaniu m.in. zespołów „U nieskładovaje” oraz „Kupalinka”. Musical opowiada o księciu Wsiesławie Braczysławowiczu, dziadku św. Eufrozyny Połockiej.

Przez dwa dni Prolog zagości w bielskim Parku Królowej Heleny. 20 i 21 maja odbędzie się jarmark książek, połączony z wystawą, koncertami i ulicznymi korowodami. Wystąpi m.in. chór im. Aleksandra Raszczyńskiego z Mińska oraz zespoły z białoruskiej stolicy– „Kachanaczka”, „Hramnicy” i „U nieskładowaje”, a także „Chocisławianie” z Chocisławia na Polesiu oraz „Bylina” z Wisagini na Litwie.

22 maja w Miejskiej Bibliotece Publicznej w Bielsku Podlaskim zainauguruje obrady międzynarodowa konferencja naukowa, na której wystąpią badacze z Polski, Białorusi i Rosji. Referaty będzie można usłyszeć w Bibliotece Miejskiej również 23 maja. Organizatorzy planują ich wydanie drukiem w 56 numerze pisma „Bielski Hostineć”. Z wykładowcami z Białorusi i Rosji będą mieli okazję porozmawiać uczniowie LO z Białoruskim Językiem Nauczania na spotkaniach autorskich 22 maja. Do szkoły zawitają Iwan Sawierczanka, Anatol Hładyszczuk, Aleksander Susza i Anatol Trachimczyk. W tym dniu odbędzie się premiera spektaklu o Jarosławie Kostycewiczu, przygotowanego przez Joannę Troc i uczniów szkoły, noszącej jego imię.

Pod znakiem teatru będą stać także dwa inne dni Prologu – 25 i 26 maja. Aktorzy Teatru Białoruskiej Dramaturgii na scenie Bielskiego Domu Kultury przedstawią dwa spektakle: dla dzieci „A mnie nie soramna” (A mi nie jest wstyd) oraz „Dydaktyka” ze znaną białoruską aktorką Tatianą Marchel.

Wśród wydarzeń towarzyszących Prologowi warto wymienić prezentację tomu poezji Andrzeja Stepaniuka „Raspisany kwadrat”, spotkanie autorskie z dr. Iryną Biełową z Kaługi, wiodącą w Rosji badaczką dziejów bieżeństwa i ujrzeć pokazy mody współczesnej, inspirowanej wzornictwem ludowym, projektantki Nadziei Kuzniecowej z Mińska.

Informacje na stronach: www.muzeumstudziwody oraz www.facebook.com/studziwody.

(df)



Абрадавая лялька ў беларускай традыцыі

Лялькі ў матэрыяльнай культуры славянскіх народаў займаюць асаблівае месца, таму што іх лічылі засцярогамі. Рабілі лялек з саломкі, дрэва, шматкоў тканіны, нітак, прыбіралі іх, вакол іх вадзілі карагоды, ладзілі гульні, потым з песнямі неслі на руках. Лялькі былі самыя розныя, але адно было агульнае – у іх не было твару. Лічылася, што нельга, каб лялька занадта ўжо была падобная на чалавека. Бо ў чалавека ёсць душа, а ў лялькі ўнутры пуста. Вось у гэтую пустэчу і можа усяліцца якой-небудзь злой дух.

– Лялькі-абярэгі для нашых продкаў былі вельмі важныя – гаворыць **Вольга Седлярэвіч**, рукадзельніца з Аб'яднання мастакоў і майстроў "Гарадзенскі каларыт". – Са старажытных часоў лялькі лічыліся моцнымі магічнымі інструментамі, здольнымі прыносіць поспех, засцерагаць ад зла і выконваць жаданні.

– Іх рабілі толькі жанчыны, таму што гэта было жаночым рамяством – дадае Вольга Седлярэвіч. – Калі сын ішоў служыць у армію, на сцяну хаты абавязкова вешалі ляльку. У тым выпадку, калі з хлопцам здараліся непрыемнасці, то гэты абярэг быў перавернуты ў другі бок. Клалі апатрапеі (абярэгі) і ў калыску нованароджанага, але не ў той дзень, калі дзіця нараджаецца, а за два тыдні. Лічылася, што лялька сагрэе калыску. Нямала рабілі лялек, якія напаўнялі лячэбнымі травамі. Кожная дзяўчына стварала для сябе дзесяціручку. Гэта маленькая лялька, якая мела дзесяць рук. На кожную з іх дзяўчына загадвала тую працу, якую хацела б выконваць добра.

У дзесяць гадоў дзяўчынкі рабілі ляльку-жаданейку. Калі хацелі, каб збылася іх мара, яны нашывалі на ляльку пацерку, завязвалі прыгожую стужку.

У простых на першы погляд прадметах народнага быту закладзеная шматпланавая інфармацыя і векавая жыццё-

вая мудрасць. Яны напаўняюць чалавека асобай духоўнасцю. Даўней лялькі займалі выключнае месца ў матэрыяльнай культуры славянскіх народаў. З даўніх часоў, яшчэ з эпохі матрыярхату, жанчына была асноўнай захавальніцай традыцый, перадавала веды і навыкі з пакалення ў пакаленне.

Абрадавыя лялькі ўяўлялі сабой не цяжкія канструкцыі з асновы і тканіны. Іх можна падзяліць на “апранутыя” і “не апранутыя”. Першыя ўяўляюць сабой лялькі, апранутыя ў адзенне. Другія – сімвалічнае ўяўленне.

Абрадавую ляльку вельмі бераглі. Ёй адводзілі спецыяльнае патаемнае месца ў хаце, хавалі ў куфар, клалі ў пасаг.

– Калі лялькі выконвалі сваё прызначэнне, іх знішчалі ў агні, тапілі ў вадзе, закопвалі ў зямлю, ператваралі ў цацкі для дзяцей – паясняе рукадзельніца. – Толькі некаторыя захоўваліся доўга. Так, напрыклад, усё жыццё захоўвалі вясельныя лялькі і ляльку-суцяшальніцу. З імі дзяўчына заўсёды магла пагутарыць, калі было сумна.

Лялькі-абярэгі заўсёды рабіліся з белым тварам – для таго, каб праз іх нельга было перанесці злыя думкі і ўчынкі на ўладальніка ці ўладальніцу. Таксама белы колер вобразна выказваў адухаўленне і чысціню намераў гаспадароў. Заўсёды яны рабіліся без прымянення іголак, нажніц, нажоў, клею, каб не нанесці шкоду тым, чыё здароўе і дастатак будуць яны потым захоўваць.

Традыцыі вырабу лялек існавалі з глыбокай старажытнасці і да пачатку ХХ стагоддзя. Затым, у сувязі са з’яўленнем гумовых, пластмасавых і механічных цацак, яны, на жаль, забыліся. Зараз можам назіраць, што ручныя цацкі – лялькі карыстаюцца вялікай папулярнасцю.

Анна Домань, фота **аўтарка**



Zaproszenie na Białoruś

Świetną zachętą do kulturalnej podróży do Grodna, była wystawa „Wzniosła radość Wielkanocy”, przygotowana przez Państwowe Muzeum Historii Religii w Grodnie oraz centra – kulturalne Białorusi w Warszawie i kultury prawosławnej w Białymstoku. W tym ostatnim otwarto ją w dniu święta Zwiastowania Bogarodzicy, 7 kwietnia.



Treści ściśle religijne przeplatały się z ludowymi. Zobaczyć można było (wystawa czynna była do 28 kwietnia) zdobione na różne sposoby jajka-pisanki woskowe i drapanki z początku XX wieku, stare ikony, drewniane krzyże, zabytkowe księgi liturgiczne, osiemnasto- i dziewiętnastowieczną metaloplastykę, pocztówki, ręczniki, naczynia. Ułożone tematycznie, odzwierciedlały cykl od święta Wjazdu do Jerozolimy, poprzez Wielki Tydzień, Paschę i okres paschalny, do dnia Świętej Trójcy. Spróbować można było tradycyjnie wypiekanych na święto Zwiastowania drożdżowych busłowych łap, a także stanąć do rywalizacji w taczaniu pisanek. O tym, że pascha z twarogu powinna być jak najwyższa, bo symbolizuje Golgotę, że witki wierzbowe niesiemy do cerkwi, bo one zazieleniają się u nas najwcześniej, że miedziana cerkiewna metaloplastyka ma ugruntowanie w Piśmie, że krzyżyki do noszenia na piersi powinny być miedziane na pamiątkę miedzianego węża zrobionego przez Mojżesza – o tym zajmująco opowiadała oprowadzająca po wystawie **Wiera Chwiedczyna**.

Mnie wystawa przede wszystkim zachęciła do odwiedzenia samego muzeum. Właśnie rusza sezon tu-



rystyczny. Do leżącego w pobliżu granicy z Polską Grodna można się udać w ramach ruchu bezwizowego. Na miejscu trzeba koniecznie odwiedzić Państwowe Muzeum Religii, które wystawę przygotowało. Muzealnicy są bardzo otwarci, świadczy o tym świetnie przygotowana strona internetowa www.muzej.by. Planowanie podróży na Białoruś bez wizy można zacząć od niej. Po pierwsze, jest na niej przekierowanie na grodnovisafree.by, to zasobny w informacje praktyczne serwis – jest tu lista biur podróży, za pośrednictwem których można wyrobić zaświadczenie konieczne do przekroczenia granicy, baza noclegowa, kalendarium zapowiedzi różnych wydarzeń. Strona muzealna ma cztery wersje językowe – polską, angielską, rosyjską i białoruską. Jest na niej formularz kontaktowy, dzięki któremu można się umówić na zwiedzanie. To zrobić warto, bo wystawa prezentowana w Białymstoku nabrała walorów dzięki oprowadzaniu po niej kuratorki Wiery Chwiedczyny. Można przygotować się do zwiedzania indywidualnego – zajrzeć na listę dziesięciu najcenniejszych muzealnych eksponatów, może wybrać konkretne z planowanych wystaw, na przykład tę sierpniową, poświęconą 500-leciu wydania Biblii Skoryny. Warto poznać ciekawą ofertę zajęć muzealnych. Może zapoznaliby się z nimi nauczyciele języka białoruskiego w naszym regionie? Muzeum jest otwarte na zwiedzających, to się czuje, bo kiedy Białorusini mówią „запрашаям", nie pozostają gołosłowni.

Natalia Klimuk
fot. **autorka**

Dziedzinka

Lasy Państwowe w okresie międzywojennym założyły na terenie Puszczy Białowieskiej kilkadziesiąt osad leśnych, w których zamieszkali leśniczowie i gajowi ze swoimi rodzinami. Część tych malutkich osiedli przetrwała do naszych czasów. W polskiej części puszczy najbardziej znaną osadą jest Dziedzinka. Leży przy Drodze Browskiej, biorącej swój początek na wschodnim krańcu Polany Białowieskiej. Kiedyś był to ważny lokalny szlak komunikacyjny. Na znaczeniu stracił po drugiej wojnie światowej w wyniku podziału puszczy na części polską i białoruską. Osadę dzielą od granicy państwowej tylko dwa kilometry.

Dziedzinka zajmuje powierzchnię około czterech hektarów, położonych w oddziałach 402 i 403 puszczy. Wznoszą się tutaj dwurodzinny budynek mieszkalny oraz budynki gospodarcze. Wybudowano je w latach dwudziestych ubiegłego wieku, przy czym jeden z budynków w 1953 roku został przeniesiony do uroczyska Głuszec, gdzie przysposobiono go na leśniczówkę.



Dziedzinka w sierpniu 2014 roku. Fot. z archiwum Małgorzaty Karczewskiej

Nazwa Dziedzinka zaczęła funkcjonować w latach trzydziestych. Nikt z najstarszych mieszkańców Białowieży nie potrafi wytłumaczyć, skąd się wzięła i co właściwie oznacza? Na tym terenie nazwa ta jest zupełnie nieznana. Skądinąd zaś wiadomo, że to po prostu – niedużа wioska! Należy domniemywać, że nowo wzniesiona osada wraz z położoną nieopodal osadą Leśnictwa Bryki, która została spalona w czasie okupacji niemieckiej, przypominała komuś małą wioskę – tak też ją nazwał i nazwa utrwaliła się wśród ludzi.

Do Puszczy Białowieskiej w okresie międzywojennym przybywało za pracą mnóstwo ludzi, pochodzących z różnych regionów Polski. Przybysze często nadawali tutejszym uroczyskom i obiektom nazwy typowe dla swych stron. Najpewniej tą drogą przywędrowała również Dziedzinka.

Dziedzinka od początku istnienia była przypisana do gminy Białowieża. Nie znamy wszystkich jej mieszkańców. Zachowała się informacja jedynie o leśniczym **Władysławie Borkowskim**, który mieszkał w osadzie w połowie lat trzydziestych. W czasie drugiej wojny światowej w Dziedzince próbował zamieszkać pracownik łowiectwa – **Sergiusz Waszkiewicz**, lecz po ograbieniu go przez partyzantów przeniósł się w inne miejsce.

Po wojnie osada zmieniła swą funkcję. Umieszczono w niej utworzony w 1947 roku Centralny Ośrodek Selekcyjnej Hodowli Pszczół. W owym czasie była to jedyna tego typu placówka w województwie białostockim. W ośrodku podjęto eksperymentalną hodowlę pszczół specjalnej rasy białowieskiej. Pasieka licząca na początku sześć uli, po dziesięciu latach powiększyła się do 250. W ośrodku prowadzono hodowlę pszczelich matek. Narodzone na Dziedzince pszczoły-matki zakładały potem rodziny w różnych częściach Polski, oczywiście przy pomocy ludzi. Ośrodkiem kierował **Bolesław Szerszenowicz**.

Dziedzinka w tym czasie podlegała Spółdzielni „Las". Na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych hodowlę pszczół w osadzie zlikwidowano, choć prywatną pasiekę prowadził tutaj jeszcze przez pewien czas, a także mieszkał z rodziną, znany białowieski pszczelarz Stanisław Sawrycki. Dziedzinka została przekazana Białowieskiemu Parkowi Narodowemu, który w 1962 roku przeprowadził remonty we wszystkich budynkach. Zaraz potem w osadzie zamieszkał strażnik Parku **Aleksander Żłobin** z rodziną. Był on odpowiedzialny za najbliższy obchód w Ścisłym Rezerwacie Przyrody BPN. Usprawniony został tym samym nadzór nad przejazdem tzw. Trybem Masiewskim, biorącym początek w Dziedzince.

W 1967 roku w osadzie wykopano nową studnię. Dwa lata wcześniej w starej zanikła woda i musiano ją dowozić beczkowozem z Białowieży.

Początek sławy, jaką nieoczekiwanie zaczęła się cieszyć Dziedzinka, przypada na początek lat siedemdziesiątych. Osiedlili się w niej wtedy **Simona Kossak** – świeżo upieczona absolwentka Uniwersytetu Jagiellońskiego, która podjęła pracę w jednym z białowieskich zakładów naukowych, oraz artysta-plastyk **Lech Wilczek** –



utalentowany warszawski fotografik i autor albumów przyrodniczych. Simona przywiozła ze sobą sowę i trzy myszołowy, a Lech cztery sowy. Od nich zaczęła się ich wspólna menażeria.

Dzisiaj nie sposób już zliczyć, ile zwierząt przewinęło się przez Dziedzinkę. Zachowała się pamięć o tych najciekawszych – losze Żabce, pełniącej funkcję oswojonego „złego psa", oślicy Hepuni, sprowadzonej z poznańskiego zoo, kruku Korasku, niedoścignionym w swoim fachu złodzieju różnych przedmiotów, sowie Isaurze, rysiczce Agatce, szczurze Kanalii, łaciatej jamniczce Sabince. Mieszkały tu również sarny, jelenie, lisy, borsuki, kuny, bociany, a z domowych zwierząt owce wrzosówki, złociste bażanty, pawie. Simona wyhodowała na Dziedzince również dwa łosie – Pepsi i Colę, które przekazała do Rezerwatu Pokazowego Żubrów. W osadzie nie było tylko wilków, niedźwiedzi i żubrów.

W dwurodzinnej leśniczówce Simona i Lech mieszkali początkowo osobno, każdy w swojej połówce. Simona przywiozła część zbiorów krakowskiej Kossakówki – piękne meble, obrazy, starą broń. Lech z kolei ściągnął kolekcję warszawskich zegarów i lamp. Z czasem leśniczówka stała się wspólnym lokum krakowianki i warszawianina.

W domu nie było światła, wszel-



kie czynności jego lokatorzy wykonywali przy prostych ruskich lampach naftowych. Ustawione przy lustrach dawały wystarczająco dużo światła, by móc czytać. Później zainstalowany został agregat benzynowy. Wodę Lech nosił ze studni. Lodówkę zastępowała chłodna piwnica. Z łazienką też sobie poradzili. Zastosowali system ogrzewania beczkowego – palili w piecu, a wodę pompowali za pomocą agregatu ze studni. I można było się kąpać w wannie.

Lech Wilczek z krukiem Koraskiem. Fot. Simona Kossak. Z archiwum Lecha Wilczka
NIżej Simona Kossak z hodowanym przez siebie młodym łosiem. Fot. z książki Evy Sebok „Lengyel teakeverek” (Budapeszt 1978)

Ciepłą porą roku Simona i Lech jadali posiłki pod rozłożystym drzewem, przy którym stał duży okrągły dębowy stół oraz grubo ciosane niby-krzesła. Kolacjom dodawał uroku blask świec, palących się w zabytkowym kandelabrze.

Wieść o oryginalnych mieszkańcach Dziedzinki i hodowanych przez nich dzikich zwierzętach zaczęła budzić szerokie zainteresowanie w różnych kręgach społeczeństwa. Osada stała się niemal jedną z głównych atrakcji turystycznych Puszczy Białowieskiej. Odwiedzali ją nie tylko turyści, ale także liczni dziennikarze prasowi i radiowi, filmowcy oraz wybitni przedstawiciele kultury i nauki. Dziedzinka była coraz częściej opisywana w licznych czasopismach, pojawiała się w reportażach radiowych, audycjach i filmach telewizyjnych.

Złoty okres w dziejach osady zakończył się w pierwszym dziesięcioleciu XXI wieku. Chora już Simona Kossak i będący w podeszłym wieku Lech Wilczek wyprowadzili się z osady, zamieszkując w wykupionym starym domu przy ulicy Browskiej w Białowieży. Niedługo potem, 15 marca 2007 roku, Simona zmarła w jednym z białostockich szpitali.

Dziedzinka obecnie nie ma stałych mieszkańców. Zaglądają do niej jedynie pracownicy służby ochrony Białowieskiego Parku Narodowego, a obok przechodzą z rzadka turyści, ponieważ tędy przebiegają dwie trasy Nordic Walking, oznaczone kolorem zielonym i czarnym.

Wszystkie budynki w osadzie wymagają już remontu. Brak elektryczności, uciążliwy dojazd z Białowieży po gruntowej drodze, szczególnie w okresie zimowym, i bliskie sąsiedztwo granicy państwowej, nie pozwolą raczej na realizację pomysłu urządzenia w Dziedzince izby pamięci po ich sławnych mieszkańcach.

Piotr Bajko

АПАВЯДАННІ З ТУТЭЙШАГА ЖЫЦЦЯ

Віктар, Нічыпар і Рэня

Даўно Нічыпар не спяваў. Старэнькі, з парадзелымі пёрамі, быў, так сказаць, на пенсіі ў бабы Рэні. Трымала яго, як і цюціка Віктара (малы сабачка — да старасці шчанюк), беспародзістага, з норавам і крывымі кароткімі ножкамі таксіка, аблавухага ды з пёрыстым буйным хвастом бы з іншага сабакі — як песцяць звяроў шмат хто з самотных людзей. За радню Рэні былі, за сяброў Нічыпар ды Віктар. Віктар выгульваў бабу Рэню зранку ды ўвечары, а то б сіднем сядзела ў хаце перад тэлевізарам або ў касцёле.

Віктар бадзёра, трошкі сіплавата час ад часу пабрэхваў — пільнаваў, каб ніхто не пакрыўдзіў гаспадыню ды каб хто чужы ў хату не зайшоў. А Нічыпар моўчкі падзюбваў канар, сядзеў у клетцы, здавалася б, зусім абыякава.

Анямеў Віктар, убачыўшы на падлозе Нічыпара. Ад нечаканасці прысеў, віскнуў. Нічыпар начапурыўшы бляклае жоўтае пер'е, баявіта ступіў да сабакі, надзьмуў пёркі на шыі і адчайна закрычаў. А пасля з яго перасохлай ад страху дзюбкі палілася песня — уславўленне волі, адвагі, жыцця. Віктар гэта адчуў, і, паглядаючы на адчыненую клетку старое канарэйкі, узвыў разам з пташкай адчайна, шкадобна.

Прысутнічаў Віктар на пахванні старога Нічыпара. З ганаровым салютам — трэскам запальнічкі бабы Рэні, што закурыла пад канец сумнай цырымоніі ў лысым ляску за блёкамі, прысеўшы на кукішкі над маленькай магілкай канарэйкі. Паклала была мёртвую птушку ў кардонку ад дзіцячых боцікаў, што знайшла на сметніцы ля супермаркета, загарнула ў латку ядвабнай тканіны ад сукенкі ў макі, што ў маладосці сабе пашыла, худое вялае цельца колеру пяску. І асыпала нябожчыка пялёсткамі вяргіні, што расце ў гародчыку пад блёкам.

Ля магілкі праходзілі штодзень, выгульваючы сябе ўзаемна, баба Рэня і сабачка. А хадзіў часам і сам Віктар. Затаптаны быў ужо копчык, але ён сваім прачулым нюхам адчуваў, дзе ляжаў Нічыпар. Бачыў яго ў сваёй кароткай памяці, як верашчыць на падлозе ваяўніча, не прымяраючы, як тыя вароны на сметніку. Не выпадала сабаку раскопваць магілку, але неяк давялося. Гнаны інстынктам паляўнічых продкаў, узрыў Віктар тое месца. Але не было там чамусьці Нічыпара... Нават кардонкі, у якой быў пахаваны.

Ад жахлівага смуроду бензіну, шмару і бруду Віктар ажно скалануўся і пабег дадому. У гэты раз з ахвотай палез у ванну, дзе яго выскрабла ды вымыла шэрым мылам баба Рэня. Яшчэ і сам дзёрся лапай, чухаў спіну, выціраўся аб дыван. Гатовы зноў быў яшчэ раз улезці ў ванну, да гаспадыні, што цяпер хлюпатала там сваім худым жылістым целам, па самую шыю ў пене. Тая пена, што востра пахла ружай, найбольш збрыдзіла сабаку — умакнуў туды толькі лапу, абтрос і пайшоў у свой кошык.

У сне ўздрыгвалі яму лапы, варушыліся чуткія вусы, хадзіла скура на ўсім целе — снілася паляванне. Не на выбітай пляцоўцы перад блёкам, а сярод буйных кустоў, якія білі яму лістоўем у спіну, сярод дрэў, што аблівалі прахалодай. Лапы неслі яго амаль у паветры над пругкай зямлёй. А наўкола лёталі жоўтыя Нічыпары і спявалі пра волю.

Міра Лукша

Земавіт Фядэцкі

Пазнаёміліся мы ў шасцідзяся-тыя гады мінулага стагоддзя. Земавіт Фядэцкі прыйшоў у клуб Варшаўскага аддзела Беларускага грамадска-культурнага таварыства. Быў я тады сакратаром Аддзела і займаўся клубнай працай. Азваўся ён да мяне на беларускай мове, падаючы сваё імя і прозвішча. Я ведаў, што ён з'яўляецца суарганізатарам Студэнцкага тэатра сатырыкаў, слаўнага СТС, які дзейнічае ў Варшаве ад 1954 года, што піша на яго патрэбы сатырычныя тэксты, а таксама перакладае на польскую мову рускую літаратуру, якая выходзіць друкам у выдавецтве „Нытэльнік". На Сенатарскай 8, у нашым клубе, гэта быў важны госць і да таго гаварыў па-беларуску.

Пачалі мы супольную размову. Земавіт Фядэцкі быў зацікаўлены нашай працай і я паінфармаваў яго, што клуб займаецца культурна-асветнай дзейнасцю, арганізацыяй дакладаўз беларускай тэматыкай, аўтарскіх сустрэч з беларускімі пісьменнікамі, пражываючымі ў Польшчы і прыезджымі з Беларусі, навуковымі супрацоўнікамі і артыстамі. Ад гэтага часу Земавіт Фядэцкі стаў частым наведвальнікам нашага клуба. Завязалася між намі бліжэйшае знаёмства і часам паведамляў я яго па тэлефоне аб цікавейшых новых мерапрыемствах. Пазней выступіў таксама ў клубе як славіст, аўтар і перакладчык.

Аднойчы прыйшоў ён у наш клуб з паведамленнем, што даведаўся ён з прэсы быццам на Беласточчыне пражывае каля дзвесце пяцьдзясят тысяч беларускага насельніцтва. Гэта яго моцна здзівіла і шукае пацвярджэння гэтага. Калі я пацвердзіў сапраўднасць гэтай інфармацыі, ён адказаў, што абавязкова хоча там паехаць, каб усё пачуць і пабачыць на свае вочы. Усцешыўся я гэтай прапановай і адказаў, што ахвотна буду яго правадніком.

Наш выезд адбыўся, калі не памыляюся, улетку 1971 года. Земавіт выехаў на Беласточчыну на сваёй машыне, забіраючы мяне і свайго сардэчнага друга, паэта Эдварда Стахуру. Першым этапам нашага падарожжа была мая родная вёска Мора, што ўгміне Чыжы Гайнаўскага павета. Калі мы мінулі Беласток і набліжаліся да Бельска-Падляшскага, мае госці заўважылі, што ў вёсках, якія мы міналі, яны не чуюць польскай мовы. Газетная інфармацыя аказалася сапраўднай, а я пачуўся раптам абарыгенам. На шчасце не толькі я.

Выявілася, што Земавіт Фядэцкі, калі мы затрымліваліся ў вёсках, адчуваў тут сябе нароўні са мною, што дасканала наладжваў кантакты з мясцовым насельніцтвам, карыстаючыся беларускай мовай. Паходзіў ён з ваколіц Ліды. Там жа ў Лябёдцы 24 верасня 1923 года ён нарадзіўся і там даўжэйшы час давялося яму жыць.

Толькі Эдвард Стахура нейк знаходзіўся збоку, пакуль не прыехалі мы ў маё роднае Мора. Гасцінны дом швагра Васіля Філіманюка і сястры Ніны, як заўсёды стаяў перад намі адкрытым. Помню, што ласаваліся мы „пальцавай" каўбаскай, аржаным хлебам і было яшчэ штосьці, да чаго ўсміхаліся вочы Эдварда. Гэтае штосьці абмінаў Земавіт Фядэцкі, які быў за рулём. Аддаваў перавагу беларускім фальклорным песням, якія на яго просьбу спявала мая сястра Ніна. Можа вяртаўся ён думкамі да свайго Феліксава? Ніна мела дасканалы голас і яе спевам заўсёды захаплялася ўся вёска.



Добрым спеваком выявіўся таксама Эдвард Стахура. Дзякуючы яму, у Моры прагучала не-калькі народных песень з Францыі, краіны дзяцінства паэта. Яго бацькі выехалі ў Францыю ў пошуках хлеба і там ён нарадзіўся ў 1937 годзе. Пасля заканчэння вайны сям'я Стахураў у1948 годзе вярнулася ўПольшчу. Эдвард Стахура пакінуў след сваёй пабыўкі ў Моры ў аповесці „Wszystko jest poezja". Калі ён пасля дваццаці пяці гадоў вяртаецца да Пон-дэ-Шэруі (Pont-de-Chéruy), дзе ён нарадзіўся, адведвае там сваіх знаёмых, зусім ужо старых. У кантэксце гэтага візіту прыпамінае беларускую вёску Мора. Там таксама ён убачыў старых, бездапаможных людзей.

Выспаўшыся ў белай, накрухмаленай пасцелі, пасля адпачын-ку памыліся мы пры студніхалоднай вадой. Было прыгожае ле-та і я цешыўся, што мае госці надта задаволеныя. Наступным этапам нашага падарожжа была вёска Бандары, распалажаная над маляўнічай ракой Нарвай уБеластоцкім павеце (цяпер гміна Міхалова). Там мы затрымаліся ўбацькоў майго сябра паэта Алеся Барскага (Аляксандра Баршчэўскага). Бацькі Але-ся прынялі нас надта гасцінна. Земавіт Фядэцкі таксама ў Бандарах хацеў паслухаць мясцовыя песні. Яго просьбу споўніла Люба Баршчэўская, сястра Алеся, якая вельмі прыгожа праспявала некалькі песень з мясцовага беларускага фальклору.

Пасля размоў з Баршчэўскімі і іншымі жыхарамі Бандароў Земавіт Фядэцкі, як славіст, дайшоў да вываду, штоў параўнанні з дыялектам вёскі Мора, мова, якой карыстаюцца ў Бандарах, гэта амаль беларуская літаратурная мова. Быў ён гэтым ачараваны. Ачараваў нас таксама водар духмянага свежага сена ў стадоле, на якім мы з вялікім задавальненнем праспаліся. Трэцяга дня, пасля кароткага адпачынку над Нарвай, паехалі мы ў Белавежу. Аглядаючы па дарозе лясныя краявіды Белавежскай пушчы, мае госці былі поўныя захаплення. Магчыма, што ў апавяданнях Эдварда Стахуры ёсць недзе лапікі белавеж-скіх пейзажаў, а не толькі зялёнагурскіх, дзе ён даўжэйшы час прабываў.

Земавіт Фядэцкі памёр 8 студзеня 2009 года. Запомніў я яго як высокага ростам прыгожага мужчыну, разумнага і высакароднага чалавека, таленавітага пісьменніка, які асабліва дружалюбна ставіўся да беларусаў. Гэты ўраджэнец Лябёдкі ў Лідскім павеце падчас гітлераўскай акупацыі жыў у сям'і свайго друга Уладзіміра Мальца ўвёсцы Феліксава. Увольных ад працы хвілінах запісваў ён у Феліксаве беларускія народныя песні. У 1992 годзе Варшаўскі аддзел БГКТ дапамог Земавіту Фядэцкаму выдаць зборнік гэтых песень пад загалоўкам „Цёплыя вечары... ды халодныя ранкі... czyli co śpiewano w Feliksowie”. Напісаў ён таксама прыгожы ўступ да гэтага зборніка.

Мінулі многія гады ад нашага супольнага выезду і мне здаецца, што Земавіт Фядэцкі знайшоў крыху сваёй Лідчыны на Беласточчыне і пачуў, як спяваюць не толькі ў Феліксаве, але таксама ў Моры і Бандарах.

Віктар Швед
З Мора ў горад
Беласток 2015, с. 247-249

За тамтом за гором...

То пріба одкрываня през знаного етноґрафа і автора вельох кныжок про темы культуральны – Лемковины. То оповіст не лем о одраджаню ся лемківской культуры, буджыню лемківской свідомосты, то тіж легкым пером дана лекция історийі. **Антоні Крог**, выдатний етноґраф, літературознавец і предо вшыткым ерудыта в своїй найновшій кныжці, котра вказала ся накладом «Іскєр» оповідат о «своїй Лемковині». Розділ по розділі, барз інтересуючо представлят процес формуваня ся власного пізріня на історию реґийону і його мешканців. Як ся вказує, лемківскы проблемы вписуют ся в польску історию. Крог, абсольвент етноґрафійі Варшавского Університету до Нового Санча спровадил ся не долго по студях в 1972 році. На етаті в новосанчівкым Округовым Музею дост скоро зорєнтувал ся, же література з тамтых років о реґйоні в дост кривым зеркалі вказує його історию, што звязане было з політыком єднонародовой державы. Час цензуры узнавал тенденцыйні окріслених авторів.

Натуральным наступством вантпливости Крога было заінтересуваня ся Лемкамы і ным дошло до преломового акту – отвертя культовой выставы «Лемкы» в 1984 році в новосанчівскым музею, котрой был куратором і котра прыдала крыл не лем творцям і орґанізаторам Лемківскых Ватр, але Лемкам, котрым по поворотах нелегко ся жыло, орґанізувал в домах культуры прелекцийі про тему Лемків. Тото не за барз подабало ся товдышним властям і на ріжны способы прібувано молодому і накормленому ідеями човековы вказаты, же должен змінити об'єкт своїх заінтересувань. Од браку пронду в дому культуры, де мал попровадити прелекцию по остережыня директора музею в Новым Санчу.

За тамтом гором то тіж вказаня, як шкодливе для невелького народу може вказати ся замыканя його культуры лем в етноґрафічных рамах, чого прыкладом єст контроверсийний Найдух, пастух з Рыхвалду открытий і презентуваний през професора **Романа Райнфусса**. Зроблена пред другом міровом войном артистична знымка босого, неоголеного Найдуха зачала жыти своїм жытьом, стала ся сымболом Лемка в роках 60. Жж віку і обуряла вельох Лемків. Як пише автор, сымболі мают вельку силу ражыня. Маестро Ярослав Трохановскій оповідал мі, як єдного разу по выкладів професора Реінфусса звернул му увагу, чом не вкаже кражшого образу Лемовины, як хоцбы маршалка весільного. Тымчасом за вдякы стрічы з босым пастухом пізнійшый професор заміст юрыстом стал ся етноґрафом. Опубликувал першый допис в прессі.

Полемківскы цы лемківскы? Антоні Крог описує вельо прыкладів, як по выселінях прібувано затерати шліды по Лемках. Напеpед давны села лемкіскы ставали ся в розмаїтых публикациях «полемківскыма». Наступні давны назвы, маючы в назві слово рускє заміняно словом семантичні неутральным. І так, заміст Кріловой Руской обявила ся Крулова Ґурна, але сусіднє село дале остало Круловом Польском. Натоміст Устя Рускє замінено на Устя Ґорлицкє. Подібні было з крестамы на церковных банях. Осадникы одрізували додатковы, «рускы рамена» креста, жебы выглядал на латиньскый. Дост частом практыком было достосуваня розпятя Христового до іх потреб – обтинано разом зложены

ногы, жебы не выдно было його всхіднчого походжыня.

31 січня 1984 рока

отвертя выставы «Лемкы»

в Округовым Музею в Новым Санчу по знесіню стану воєнного было сукцесом выдоптаным през Антоньового Крога і його співпрацовників. Дванадцет років вчаснійше повідано, жебы тему лишыл, але він вперті познавал люды і штораз барже входил в середовиско з потребы не лем професийного познаня. Яко еванґелик по вітцю, хоц охрещений в католицкым костелі першорядні одчувал специфіку меншын. Може тіж мал єй вражливіст. Велькым в тамтых часах плюсом была його Альма Матер. З переспективы Варшавы міг з векшым дистансом, барже об'єктивні однести ся до справи. 12 вересня 1982 рока на коцерті Лемковины в Крениці, котрым за пару років стане ся почесным членом, познал заангажуваных **Петра Трохановкого** і **Владка Ґрабана**. Выстава «Лемкы» была єдыном посвяченом меншынам в тамтых часах. Заплянуваны втовды тіж выставы о новосанчівскых Німцях, Жыдах і Циганах зорганізувано допєро по 1989 році. Тымчасом люде на потребы експозицийі о Лемках пожычали стройі і предметы штоденного ужытя. Пры монтажу дораджал кураторовы **Петро Мурянка**. Прыходил тіж **Павло Стефанівскій**. «Лемкы» дост шыроко запрезентували аспекты жытя на Лемковині. Культуру духову і матеряльну. З презентуваных выдавництв можна было ся довідати, же з той землі вышло вельо выдатных осіб. Професорів, священників і літератів. Антоні Крог мал тіж того свідоміст, же выстава не представила тематикы вычерпуючо. Найважнійше было тото, же без входжыня во внутренны квестийі натуры світопоглядовой представлено факты складаючы ся з експонатів. Што найважнійше – голосно оповіджено о справах, котры Лемків болят, а оны самы не можут о них повісти. Отвертю выставы товаришыл концерт Лемковины. О выдаріню писала пресса. Появили ся голосы, же експозицыя єст україньском провокацийом. З другой старны, одвиділ єй консуль США з Кракова з женом. Вказало ся, же притягли іх лемківскы корені.

В липны 1984 рока автор помедже двома тисячамы взял участ в другій Лемківскій Ватрі в Чарні. Стал ся тіж свідком складаня першого номера Ґолосу Ватры і чытачом колейных штырьох. Вникливым обсерватором сучасной лемківской культуры. За тамтом гором одкрыват медже інчыма кулісы высаджыня в грудны 1976 рока памятника в Зындранові. Тикат тіж о феномені місцевого музею і існуваню біляньской Лемковины. Вспоминат люды, котрых уж не ма медже намы. Терпкым гумором коментуваня выборів Місс Лемковина в Загороді през **Теодора Кузяка**. З польской стороны Лемковины переносит нас на словацку сторону, жебы скоментувати праві же греческу мудріст рисункового богатера, а істинно – **Ілька Сови** з Баюсова покликаного до жытя в 1974 році през маларя і ґрафіка Федора Віцо для потреб выдаваного в Прешові по українскы тыжневника «Нове жытя». Ілько Сова бесідує по руснацкы, а його гумористычны речыня вошли до языка поточного. Віцо за справом рубашного кума тикат дуже важных для Русинів справ, медже інчыма іх тожсамости. Антоні Крог усьвідамят чытачам вельо цінных річы, бо справы выджены з боку часто наберают выразьнійшого пізріня. Коли початком років 80. Ставал ся приятельом Лемків, стрічал люды поранених тягаром крывд. Помалу здобывал іх акцептацию і шацунок. В За тамтом гором



пише о нелегкых справах. О добровільных переселінях на Украіну до 1946 рока праві 70 % Лемків, а рік пізнійше депортацию Акцийі Вісла - около 30%. О нищыню середовиска меншыны народовой през політику НПР, а тіж о внутренных поділах. Конфесыйных і світопоглядовых. Последній розділ трактує о тым,



што потім? Ту, Антоні Крог, мімо поділу Лемків, оптимістычні повертат до речыня, котре написал трыдцет пят років тому: Хто хтілбы одправити ім последну паніхіду, мусит іщы почекати.

Анна Рыдзанич

Przeglądy upolowanej zwierzyny

Na zakończenie każdego dnia polowania urządzano przegląd ustrzelonej zwierzyny. Nazywano go z niemiecka *sztreką* lub *pokotem*. Po kolacji myśliwi wychodzili przed pałac i podziwiali swoją zdobycz. Zwierzynę układano na lewym boku, pod rosnącymi tutaj starymi dębami. Na przedzie leżały sztuki ustrzelone przez cara, dalej – przez pozostałych uczestników polowania. Przestrzegano też hierarchii zwierzęcej. Każdy pokot otwierały żubry, następnie leżały jelenie, daniele itd. W przypadku, gdy ktoś ustrzelił drobną zwierzynę lub jakiegoś ptaka, to umieszczano je od frontu, przed zwierzyną grubą. Całość przystrajano girlandami z gałązek dębowych i świerkowych.

Nadłowczy ustawiał się przed frontem ułożonej zwierzyny, łowczowie natomiast zajmowali miejsce po jego lewej stronie. Z tyłu pokotu stali strzelcy z trąbkami, za nimi pozostały personel łowiecki oraz pałacowi robotnicy w czerwonych koszulach, którzy trzymali w rękach latarnie, oświetlające otoczenie. Wszyscy byli zwróceni twarzami do pałacu. Nieco z dala widowisko to obserwował tłum ciekawskich, złożony z miejscowych urzędników, przyjezdnej inteligencji, a także z mieszkańców Białowieży. Na przeglądy przybywali ludzie z bliższych i dalszych miejscowości, nawet z Białegostoku, Grodna, Brześcia Litewskiego czy Warszawy. Oczywiście przyciągała ich przede wszystkim możliwość ujrzenia z bliska carskiej rodziny i wielkich książąt, a nie upolowana zwierzyna.

Jako pierwszy z przeszklonego ganku pałacu wychodził car z rodziną, a za nim jego świta i goście. Zapalano pochodnie, umocowane na drewnianych słupkach, ustawionych w czterech rogach placu. Trębacze rozpoczynali sygnał powitania. Dostojni myśliwi zatrzymywali się przed ułożoną zdobyczą. Nadłowczy **Józef Newerly** podchodził do cara i składał raport z ilości i rodzaju upolowanej zwierzyny. W momencie wskazywania przez niego kordelasem na poszczególne gatunki zwierzyny, orkiestra łowiecka odgrywała odpowiednie hejnały na ich cześć. Sygnały były wykonywane według zwyczaju przyjętego w Niemczech – na trąbkach typu pless.

Po zakończeniu ceremonii myśliwi podchodzili do ułożonej zwierzyny, sprawdzając celność swych strzałów i opowiadając szczegóły jej zdobycia. Car kończąc oględziny, dziękował za wynik polowania i wracał do pałacu. Trębacze żegnali go marszem. Rozchodziła się także publiczność.

Po przeglądzie zwierzynę przekazywano preparatorowi, który w specjalnym pomieszczeniu oddzielał łby z porożem od tusz, wygotowywał je i następnie robił medaliony. Trofea te trafiały do pałacu lub były zabierane przez myśliwych. Tusze zwierzęce szły do lodowni. Młodsze kozły i dziki przeznaczano do pałacowej kuchni, a pozostała część była rozdawana wojsku, pracownikom administracji leśno-łowieckiej i chłopom. Niektóre partie mięsa odprawiano do Petersburga.

Piotr Bajko, fot. **archiwum autora**



Car Mikołaj II ogląda z żoną upolowanego łosia, rok 1900



Wstępny przegląd upolowanej zwierzyny, rok 1912

Роднае слова ў 46 раз



З пашаны да роднай мовы нарадзіўся гэты конкурс. У Бельскім доме культуры адбыліся цэнтральныя элімінацыі дэкламатарскага конкурсу “Роднае слова”. Пра званне лепшага декламатара змагаліся дашкольнікі, вучні пачатковых школаў ды гімназісты. Пасля адборачных праслухоўванняў у Орлі, Бельску Падляшскім, Гайнаўцы ды Беластоку, да асноўнага конкурсу ў Бельскім доме культуры прыступіла каля 120 маладых дэкламатараў.

– Дзеці ахвотна вывучаюць беларускія вершы – гаворыць **Ніна Абрамюк**, настаўніца беларускай мовы з Комплексу Школ у Нарве. – Бацькі таксама вельмі заангажаваныя ў конкурсы, часта самыя выбіраюць вершы дзеткам. Малодшых дзетак не трэба заахвочваць да вывучэння вершаў, старэйшыя, гімназісты, ужо менш ахвотна прымаюць удзел, таму што больш заняты навукай. Дзеткі гавораць вершы “дзіцячыя”, якія расказваюць пра школьныя справы або пра звяры.

– З даборам рэпертуару заўцёды ёсць цяжкасці - гаворыць **Анджэліна Масальская** з Комплексу школьна-прадшкольнага ў Белавежы. – Вершы часта паўтараюцца. У гэтым годзе я выбрала вершы **Віктара Шведа** і **Віктара Кудлачова**, яны падходзяць для вучняў класаў **I-III**. Такія конкурсы многа даюць дзеткам. Перш за ўсё, яны могуць пабачыць, што многа вучняў вывучае беларускую мову, многа дэкламуе і лепш пачынаюць гаварыць на беларускай мове, дзеці не маюць праблемаў з мовай. Відаць працу настаўнікаў і гэта цешыць.

Дзяцей да удзелу ў конкурсах заахвочвае **Эмілія Грыко**, настаўніца беларускай мовы ў школе ў Міхалове. Яна дапамагае выбіраць вершы гледзячы на характар ды дэкламатарскія здольнасці дзяцей, з дзеткамі многа працуюць таксама бацькі.

– Конкурс дае магчымасць паказаць сябе ў паэтычным слове – гаворыць **Наталля Савіцкая** з Гімназі нр 7 у Беластоку. – Дэкламацыя развівае акцёрскія здольнасці, заўсёды можна нешта навучыцца ад іншых дэкламатараў.

– Конкурс цешыцца вялікім зацікаўленнем так выканаўцаў як і настаўнікаў – гаворыць намецнік старшыні Беларускага грамадска-культурнага таварыства **Васіль Сегень**. – Цешыць нас, што вучні не цураюцца мовы продкаў. Можам пачуць творы беларускіх класікаў, але і вершы падляшскіх беларусаў. А асабліва цешыць тое, як выдатна выступаюць наймалодшыя. Дашкольнікі вельмі добра падрыхтаваныя, відаць, што гэта ім падабаецца.

Конкурс “Роднае слова” накіраваны да дашкольнікаў, вучняў пачатковых школ ды гімназій. Сёлета мерапрыемства Таварыства беларускай культуры прайшло ў 46-ты раз.

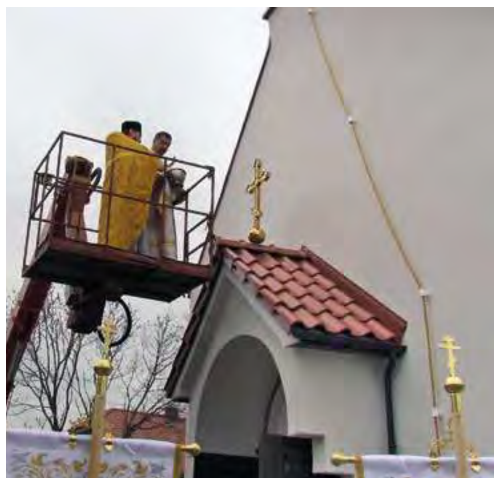
Анна Домань
фота **аўтарка**

Sami o Sobie. Miesięcznik społeczno-kulturalny. Nieodpłatny dodatek do Przeglądu Prawosławnego
Współfinansowany ze środków Ministra Spraw Wewnętrznych i Administracji
oraz Fundacji im. Księcia Konstantego Ostrogskiego
ISSN 1899-9018 Nr indeksu 371416
Wydawca: Fundacja im. Księcia Konstantego Ostrogskiego
Redaguje zespół: Michał Bołtryk, Eugeniusz Czykwin (red. naczelny), Doroteusz Fionik
Natalia Klimuk, Ałła Matreńczyk (sekretarz redakcji), Anna Petrovska, Anna Radziukiewicz
Opracowanie graficzne: Dorota Wysocka
Skład komputerowy: Halina Kierdelewicz
Adres redakcji: 15-399 Białystok, ul. Składowa 9; tel./fax (0048 – kier. z zagranicy) 85 742 18 57
e-mail: redakcja@przegladprawoslawny.pl; www.przegladprawoslawny.pl/samiosobie



Zmieniło się wszystko

W środku niewielkiej wsi, tuż za przystankiem autobusowym, stoi skromna cerkiewka. Jeszcze dwa lata temu było tu niecałe osiem arów prywatnej działki. 8 kwietnia 2017 roku – sobota św. Łazarza, przypadająca akurat w przededniu Niedzieli Palmowej okazała się świętem w życiu niewielkiej, skupiającej trzydzieści pięć osób, parafii Świętej Wielkiej Męczennicy Paraskiewy w Samborzu na Dolnym Śląsku.



Tuż przed Liturgią, przed godziną dziesiątą rano, poświęcono dwa krzyże na cerkwi oraz niewielki, pochodzący z pracowni ludwisarskiej Jana Felczyńskiego w Przemyślu, pięćdziesięciokilogramowy dzwon. Aktu konsekracji, przy pomocy wysięgnika ciężarówki, dokonał o. mitrat **Jerzy Szczur**, proboszcz wrocławskiej cerkwi katedralnej w asyście o. protodiakona **Mieczysława Oleśniewicza**.

Zebrani przed cerkwią parafianie i zaproszeni goście mogli już poświęconym dzwonem zaprosić na Liturgię. Następnie jego dźwięk w tonacji H towarzyszył wiernym w trakcie *Wieruju.*



– Budynek ma wtedy tylko sens, kiedy oznaczony jest symbolem swego przeznaczenia. Poświęciliśmy oto krzyż i cerkiew jest już jakby w komplecie. Mamy też dzwon, a to wszystko powoduje, że cerkiew stała się w pełni wartościowa – mówił w homilii o. Jerzy Szczur.

Proboszcz parafii, o. **Igor Habura** podziękował duchownym i wiernym za przybycie i wspólną modlitwę. Po nabożeństwie poświęcono palmy. Na zakończenie w cerkwi o. Igor Habura wraz z o.protodiakonem Mieczysławem Oleśniewiczem wręczyli *gramoty* w podziękowaniu za trud budowy. **Jerzemu Filarowskiemu**, projektantowi cerkwi, oraz przedstawicielce rodziny fundatorów dzwonu. Wsparty tego dnia śpiewakami z Wrocławia chór wykonał *Mnohaja Lita*. Inskrypcje, umieszczone na dzwonie, upamiętniające patronkę cerkwi, jej projektanta, który swą pracę wykonał *pro bono* i fundatorów, zredagował władyka **Jeremiasz**, a transliteracji na cerkiewnosłowiański dokonał o. **Lubomir Worhac**z z Legnicy.

Po Liturgii wszystkich zaproszono na przygotowaną w namiocie przed



cerkwią agapę, a następnie do pamiątkowej fotografii.

Lubomira Żerelik i **Julianna Gogoc**, urodzone w 1926 roku w Banicy i Mochnaczce na Łemkowszczyźnie, bardzo przeżywały ten dzień. – Jak nas tu przywieźli, przydzielono nam ten dom – pokazuje szary budynek nieopodal cerkwi pani Lubomira. W pamięci starszych parafian, prawie siedemdziesiąt lat temu, w czerwcu 1947 roku, transport przywiezionych w ramach Akcji Wisła rodzin wyładowano przy przystanku, w miejscu, które prowadzi dziś do cerkwi.

Prawosławnym z Samborza przez ponad sześćdziesiąt lat świątynią była położona kilkaset metrów dalej kaplica domowa w poniemieckim pałacu.

– Kiedy powstaje cerkiew, zmienia się wszystko. Wokół jest Łaska Boża - mówił w homilii podczas wyświęcenia kamienia węgielnego 12 września 2015 roku władyka Jeremiasz.

W życiu parafian zmieniło się bardzo dużo. Rok 2015 okazał się przełomowy. W lutym dostali własnego proboszcza, ponieważ przez lata byli parafią filialną. Od początku – 1954 roku – parafii w Malczycach, a przez ostatnie dziewięć lat obsługiwaną przez proboszcza z Legnicy. Młody proboszcz, o. Igor Habura, zaraził ich swoim entuzjazmem budowania niewielkiej świątyni. **Grzegorz Żerelik**, prawie równolatek proboszcza, podarował grunt pod budowę cerkwi i kilka dni po wyświęceniu – 18 lipca – placu przez władykę Jeremiasza zaczęto budować przypominający greckie kapliczki obiekt. W zamierzeniu mający podkreślić również tradycyjną więź prawosławnych Łemków z Bałkanami. W istocie udało się jeszcze więcej, ponieważ cerkiew bryłą nawiązuje do tradycji cyrylo-metodiańskich, a przecież ślady misji uczniów św.św. Cyryla i Metodego możemy odnaleźć na Dolnym Śląsku.

– Cerkiew budujemy sami systemem gospodarczym – mówi starosta **Jan Żerelik**, obecny prawie każdego dnia od początku przedsięwzięcia. Przychodzą parafianie, ale też pomagają im ludzie dobrej woli. Zaprzyjaźnieni katolicy przyjeżdżają nawet z Wrocławia. Najczęściej w soboty. Jednak każdego dnia ktoś jest na budowie. Najbliżej miejscowym. Dziś w samym Samborzu mieszkają tylko trzy rodziny. Granice parafii uległy zmianie. Wierni, przeważnie potomkowie pierwszych parafian, do cerkwi przyjeżdżają ze Środy Śląskiej, Miękkini i Wrocławia. Zaczynają także przyjeżdżać z odległej o trzynaście kilometrów Środy Śląskiej pracujący czasowo w Polsce obywatele Ukrainy. Cerkiew siłą rzeczy wpisała się w lokalny, w dużej mierze popegeerowski, krajobraz i bezsprzecznie stanowi jego najjaśniejszą część, o czym świadczą wpisy na stronie parafii ze słowami uznania. – Dzięki cerkwi i stronie internetowej parafii Samborz funkcjonuje w mediach – mówi proboszcz.

W zależności od możliwości finansowych planują wykończenie murowanego ikonostasu carskimi wrotami i ikonami oraz zakup utensyliów. Tymczasem Jan Żerelik rozpoczął budowę niewielkiego budynku parafialnego, gdzie można będzie spotkać się po Liturgii oraz schować sprzęt gospodarczy. Teren przed cerkwią wymaga jeszcze uporządkowania oraz ogrodzenia. Przed parafią jednak najważniejsze wyzwanie – wyświęcenie czynnej od ponad roku cerkiewki. – Niewykluczone, że to nastąpi jeszcze w tym roku – mówi o. Igor Habura.

Anna Rydzanicz, fot. **autorka**

Parafia Prawosławna św. Paraskiewy
Samborz 21
55-311 Kostomłoty
Nr konta:
84 1090 2590 0000 0001 3017 3940

Na str. 59 parafianie z Samborza, wyświęcenie krzyża i cerkiew
Obok podczas Liturgii w samborskiej cerkwi

Chrześcijańska Bruksela

Dwa lata na emigracji wystarczą, by zauważyć podobieństwa i różnice prawosławnej duchowości światowej stolicy frytek, gofrów i piwa z prawosławiem w Polsce.

Belgowie w ciągu kilkunastu ostatnich lat mocno zmienili swój stosunek do wiary. Przy ulicach noszących imiona świętych lub nazwy klasztorów nie dość, że już tych miejsc kultu nie ma, to nawet nie mieszka tam ani jeden chrześcijanin. Przyczyn tego stanu rzeczy jest zapewne więcej, ale mój znajomy Belg, który konwertował na prawosławie, wyróżnił kilka. Przede wszystkim afery w Kościele rzymskokatolickim – pedofilska, finansowa. Druga to bogacenie się społeczeństwa – zdrowie i inne życiowe potrzeby można kupić za pieniądze, do tego nie jest potrzebny Bóg. Obecnie większość chrześcijan stanowią emigranci – rzymscy katolicy z Polski, Włoch, Portugalii, krajów afrykańskich. Jest sporo protestantów. Oraz my – prawosławni. W ostatnim czasie przybywa także chrześcijan z Syrii, Etiopii i Erytrei.

W dawnych czasach Kościół dysponował ogromnymi majątkami, nieruchomościami, ziemią. Napoleon, zanim poniósł klęskę w bitwie pod położonym niedaleko Waterloo, zdążył wszystko upaństwowić. Z tego powodu po spełnieniu wielu wymogów pięć związków wyznaniowych (rzymscy katolicy, protestanci, Żydzi, muzułmanie i prawosławni) cieszy się państwowymi przywilejami. Każda wspólnota-parafia wyżej wymienionych wyznań, po szczegółowych procedurach i kontrolach, może otrzymywać wsparcie finansowe od państwa. Przykładem takiej pomocy jest np. zatrudnienie duchownych jako urzędników państwowych, pobierają



oni wyplaty z ministerstwa sprawiedliwości. Parafie mogą ubiegać się o dotacje na remonty i działalność. Zanim jednak parafia zostanie uznana przez państwo, musi udowodnić, że działa legalnie, ma określoną liczbę wiernych, jest zasymilowana ze społeczeństwem belgijskim, szanuje i respektuje prawo, prowadzi klarowną politykę finansową, działa na rzecz lokalnej społeczności. Nasza parafia jest w połowie tej drogi. Od czasu złożenia wniosku do uzyskania odpowiedzi może minąć nawet pięć lat.

Chrześcijaństwo w Belgii ma oczywiście bardzo długą historię i związek z misjonarzami działającymi na terytorium północnej Francji – św. Amandem i innymi. Święci Hubert, Lambert, Bawon, Gudula, Gertruda, Alina, Gwidon to jedynie kilkoro reprezentantów lokalnie czczonych świętych. Prawosławie zaś pojawiło się w Belgii wraz z emigrantami. Najstarszą parafią w Belgii jest rosyjska św. Mikołaja w Brukseli, potem Grecy. Obecnie tylko w Brukseli są cerkwie w jurysdykcjach patriarchatu konstantynopolitańskiego (greckojęzyczna, francuskojęzyczna, niderlandzkojęzyczna i nasza polsko-słowiańskojęzyczna), moskiewskiego, gruzińskiego, rumuńskiego, serbskiego, bułgarskiego. Wszystkich wiernych prawosławnych reprezentuje przed państwem biskup patriarchatu Konstantynopola metropolita **Atenagoras**. On odpowiada za nominacje duchownych, nauczenie religii w szkołach, kapelaństwo w szpitalach i więzieniach.

W Brukseli, jak doskonale wiemy, obraduje Parlament Europejski, tutaj mają swoje siedziby poszczególne Komisje. Belgijska stolica gości też siedzibę Konferencji Kościołów Europejskich (CEC). W Brukseli obraduje Konferencja Prawosławnych Biskupów Beneluksu. Konferencja jest zgromadzeniem wszystkich uznawanych za kanonicznych biskupów, posiadających swoje parafie w Belgii, Holandii i Luksemburgu. Zgodnie z ustaleniami, przewodniczy jej pierwszy spośród hierarchów należący do patriarchatu Konstantynopola, czyli w naszym przypadku metropolita Atenagoras. Konferencja troszczy się o jedność prawosławia, wspólną pracę nad rozwiązaniem problemów, analizuje wydarzenia mające znaczenie dla prawosławnych wspólnot w trzech krajach. Biskupi przyjmują wspólne stanowisko w takich sprawach jak kwestie prawne czy rozwijanie edukacji religijnej, omawiają palące problemy. Zapobiega to niezdrowej konkurencji, ale buduje też poczucie jedności.

Wśród internetowych dyskusji polskich prawosławnych w Polsce prym wiodą dwa tematy – kalendarz i język. W Belgii takiego problemu w zasadzie nie ma. Wybór parafii jest spory, są parafie z językami narodowymi, są posługujące się nowym i starym kalendarzem. Nawet, co może być dla niektórych szokiem, w Beneluksie niektóre rosyjskie parafie posługują się nowym kalendarzem i odprawiają nabożeństwa po niderlandzku lub francusku. Wydaje się, że zrozumiano, że Kościół stoi teraz przed większymi wyzwaniami niż względnie błahe sprawy jak narzędzia, jakimi są język lub kalendarz.

Parafie są dynamiczne. Są parafie misyjne, gdzie wielu parafian to konwertyci. Ale są i parafie narodowe. Z czasem ta granica się zaciera, gdyż drugie lub trzecie pokolenie emigrantów traktuje język swoich przodków i religię jako cześć kultury, a coraz częściej także folkloru. Standardem jest wspólne spotykanie się po nabożeństwie przy kawie i herbacie. Takim spotkaniom często towarzyszy wykład, występ lub projekcja filmu. W wielu mniejszych miastach zabiega się o to, by nie mnożyć małych parafii, niezdolnych się utrzymać, ale wspierać w parafii różnorodność. W Gandawie lub Brugii wspólnym językiem wszystkich jest niderlandzki, natomiast w zależności od możliwości duchowny wygłasza ektenie i modlitwy w różnych językach. Podobnie jest z chórem.

W parafii w Brugii poznałem dwie Polki. Jedna z nich przyjęła prawosławie ze względu na małżeństwo z prawosławnym (dzisiaj jest ona kołem napędowym tej parafii). Druga wkrótce wyjdzie za Rumuna z pochodzenia, planują ślub w jego ojczyźnie, ale zależy im na tym, by nabożeństwo odbyło się po niderlandzku i po polsku. Takich historii jest wiele.

Prawosławni w Beneluksie także ulegają stopniowej laicyzacji. Statystki mówią, że już tylko od pięciu do dziesięciu procent zarejestrowanych parafian regularnie uczestniczy w życiu liturgicznym. W publicznych szkołach nauczana jest religia. Efekty są różne. Dziewięćdziesiąt procent moich uczniów w cerkwi bywa średnio raz-dwa razy w roku. Na porządku dziennym jest pytanie, czy to o czym opowiadam na lekcjach jest prawdą. Zdarza się, że na zajęcia zapisują się też osoby innych wyznań, chcące poznać prawosławie. Parafie stają na głowie, by przyciągnąć wiernych. Z różnym skutkiem. Z drugiej strony doroczne spotkania młodzieży gromadzą średnio ponad 150 osób, chętnych spędzić wspólnie czas, dowiedzieć się czegoś więcej o swojej wierze, uczestniczyć w warsztatach, rozmawiać, poznawać siebie i swoją tradycję.

O prawosławiu w Belgii można napisać książkę, chociaż podejrzewam, że pewnie takie już powstały. W czasach, gdy bilet lotniczy kosztuje często mniej niż podróż pociągiem na trasie Warszawa – Wrocław, warto poświęcić czas i wybrać się w podróż śladami prawosławia w innych zakątkach świata. Gwarantuję niezapomniane wrażenia, niesamowite znajomości i ogrom satysfakcji, zwłaszcza duchowej, nawet w Belgii.

o. Paweł Cecha, fot. **autor**





Żywy pomnik

21 i 22 kwietnia na *Swietłoj Siedmice* wierni w Biłgoraju świętowali parafialny *prazdnik*, który uświetnił swoją obecnością arcybiskup lubelski i chełmski Abel. Wieczorne piątkowe modlitwy poprowadził proboszcz parafii Świętej Trójcy w Tarnogrodzie, o. mitrat Włodzimierz Klimiuk. Przybywającego na uroczystość władykę powitali przedstawiciele rady parafialnej i proboszcz o. Korneliusz Wilkiel, który otrzymał z rąk arcybiskupa kolejną nagrodę kapłańską – *kamiławkę*. Władyka gratulował parafianom postępów w budowaniu przybytku Bożego, a proboszczowi i katechecie miejscowej i ukraińskiej młodzieży w Biłgoraju oraz Janowie Lubelskim – duchowej, kapłańskiej radości.

– W dniu wspominania tu, w biłgorajskiej cerkwi, jej patrona, św. wielkiego męczennika Jerzego Zwycięzcy, wznosimy modlitwę, aby za sprawą orędownictwa św. Jerzego dobry Bóg pozwolił nam zakończyć budowę świątyni. Zbliża się bowiem rok 2018, gdy przypadnie jubileusz tragicznej akcji burzenia świątyń prawosławnych na Chełmszczyźnie i południowym Podlasiu. Dobry Bóg obdarowuje ciebie, ojcze proboszczu – zwrócił się do o. **Korneliusza Wilkiela** władyka **Abel** – duchową satysfakcją, że na twoich barkach spoczął ten trud inwestycyjny. To, co dzisiaj oglądamy, buduje nas wszystkich i formuje naszą postawę nadziei, zachęcając do dalszego wysiłku na chwałę Trójjedynego Boga, na chwałę Zmartwychwstałego Chrystusa i świętej Cerkwi prawosławnej. W tych intencjach wznieśmy naszą gorliwą paschalną modlitwę.

Wśród gości, przybyłych na święto byli przedstawiciele władz lokalnych: burmistrz **Janusz Rosłan**, starosta powiatu **Kazimierz Paterak** oraz ks. **Adam Malinowski** z rzymskokatolickiej parafii św. Marii Magdaleny w Biłgoraju, na ręce którego władyka Abel przekazał szczególne pozdrowienie paschalne dla siostrzanej wspólnoty i wszystkich wiernych tradycji łacińskiej. Posługę sakramentalną nieśli duchowni diecezji lubelsko-chełmskiej z o. mitratem **Janem Łukaszukiem** z Chełma.

W okolicznościowej homilii o. **Jarosław Szczur**, proboszcz parafii św. Marii Magdaleny w Puławach, zachęcał do uwewnętrznienia Paschy Chrystusowej i czerpania z niej nowego życia, pozytywnej energii, przebaczenia i odrzucenia pychy: – Cerkiew – żywy pomnik strasznych wydarzeń – to my. Materialną świątynię można zburzyć, ale tej w naszym sercu, bez naszej zgody, nie da się zburzyć. Przebaczmy Zmartwychwstaniem (*prostimsia Woskriesienijem*)!.

Nawiązując do słów św. Ireneusza z Lyonu i fresku, przedstawiającego patrona cerkwi, o. Jarosław mówił m.in.: – Włócznia, która przebiła bok Chrystusa, jaką św. Jerzy przebija smoka grzechu, daje nam życie. Jak dla Adama z boku rodziła się Ewa, tak dla nas z boku Chrystusa rodzi się Cerkiew. Pojawia się ona, gdy włócznia przeszywa bok Jezusa. Powodując śmierć – okazuje się życiem. Włócznie grzechów starają się na co dzień zniszczyć nasze życie, lecz my je zamieniamy we włócznię Zmartwychwstania, która daje nam nowe życie. Mamy nimi godzić nie w namiętności innych, lecz w swoje słabości i grzechy.

Zwieńczeniem tegorocznych uroczystości w budowanej cerkwi – pomniku dramatu roku 1938 – były *krestnyj chod* i uhonorowanie dwóch przedstawicieli parafian, **Józefa Tychanowicza** i **Jana Fedaka**, orderami Świętej Równej Apostołom Marii Magdaleny III stopnia, nadanymi przez metropolitę **Sawę** oraz Święty Sobór Biskupów Cerkwi Prawosławnej w Polsce. Paschalne świętowanie ubogaciły chóry parafialny i diecezjalny Chołmszczyna pod dyrekcją matuszki **Elżbiety Weremijewicz**.

Grzegorz Jacek Pelica

fot. **autor**

Paschalny parastas w Zawadce Morochowskiej

Drugiego dnia Paschy Chrystusowej biskup przemyski i gorlicki **Paisjusz** po Liturgii Paschalnej w cerkwi Świętej Trójcy w Sanoku udał





się do Morochowa, aby stamtąd wraz z duchownymi i wiernymi udać się w procesji do nieistniejącej dziś wsi Zawadka Morochowska. Co roku odprawiany jest tutaj parastas na grobach wymordowanej przez totalitarną władzę w 1946 roku miejscowej ludności.

Młodzież z chorągwiami i ikonami, wierni i duchowni ze śpiewem, prowadzeni przez swego władykę, po przebyciu ponadkilometrowej drogi przez las i mokradła, dotarli na miejcie cmentarza, który pozostał po całej wsi, i wznieśli modlitwę za niewinne ofiary, męczenników naszej ziemi.

– Dzisiaj Zawadka Morochowska, którą zniszczyła zła ludzka ręka, pozbawiająca życia jej mieszkańców, zmartwychwstała – mówił biskup Paisjusz.

Ponad siedemdziesięciu wiernych radosnym *Chrystos Woskres* pozdrowiło spoczywających tu męczenników i wraz z władyką powróciło do Morochowa. Po raz pierwszy od wielu lat nie padał deszcz, nie sprawdziły się też zapowiedzi meteorologów o załamaniu pogody – witało nas i żegnało słońce, bo Chrystus Zmartwychwstał i poprzez naszą modlitwę, której przewodniczył nasz ojciec i władyka zmartwychwstaje Zawadka Morochowska.

o. Julian Felenczak
fot. **ihumen Pafnucy**
Bogdan Gocko

Paschalna Liturgia na Jaworze

Trzeciego dnia Paschy biskup **Paisjusz** wraz z duchownymi sprawował Liturgię Paschalną na



ołtarzu polowym na Świętej Górze Jawor. Uczestniczyło w niej, pomimo śnieżycy i chłodu, ponad sześćdziesięciu wiernych naszej Cerkwi.

– W 1947 roku zło wygnało naszych ludzi z rodzinnej ziemi. Po tułaczce wielu powróciło, aby od nowa zaczynać życie poprzez odbudowę struktur naszej Cerkwi – mówił władyka po zakończeniu Liturgii, sprawowanej pod namiotem. Dziś przez „naszych braci" prawosławni pozbawieni zostali



możliwości użytkowania kaplicy na Świętej Górze Jawor (wyrokiem sądu kaplica została przekazana Kościołowi katolickiemu obrządku bizantyńsko-ukraińskiego – przyp. red.), ale dysponują działką, usytuowaną nawet bliżej miejsca objawienia Matki Bożej. Władyka dziękował wiernym za wierność świętemu prawosławiu. Arcypasterz szczególne słowa wdzięczności wyraził wójtowi **Dymitrowi Rydzaniczowi** oraz **Janowi Dubecowi** i **Michałowi Sudykowi** wraz z parafianami z Wysowej i Hańczowej, a także ojcom **Władysławowi Kaniukowi** i **Maksymowi i Augustynowi** za przygotowanie miejsca do nabożeństwa.



– Przez 22 lata w Polanach modliliśmy się pod gołym niebem i dzisiaj nie lękamy się niczego. Bóg nie w sile, a w prawdzie, która zwycięży! Po Golgocie nastąpi Zmartwychwstanie, kiedy wspólnie będziemy przeżywać dzień wyświęcenia nowej cerkwi - zakończył władyka.

Po Liturgii wierni z biskupem, zgodnie z kilkuletnią już tradycją zainicjowaną przez władykę Paisjusza, spożyli wspólnie paschalny posiłek.

Prawosławne nabożeństwa na Świętej Górze Jawor będą sprawowane bez zmian – na ołtarzu polowym na naszej działce, na prawo od kaplicy.

Chrystos Woskres i my woskresneme!

o. Jarosław Grycz
fot. **Sławomir Kaniuk**

Hajnowski festiwal zaprasza

Po raz XXXVI w maju odbędzie się Międzynarodowy Festiwal Hajnowskie Dni Muzyki Cerkiewnej. Kolejny raz wprowadzi nas w świat mistyki i duchowości, pozwoli dostrzec bogate tradycje prawosławia. Śpiew to modlitwa Cerkwi i sztuka sakralna, dotykająca ludzkich dusz.

Hajnowski festiwal wrósł w tradycję i historię miasta, stając się swoistym świętem, czasem spotkań różnych kultur i tradycji, miejscem wymiany doświadczeń, zawiązywania przyjaźni i współpracy.

Festiwal zainauguruje w poniedziałek, 8 maja, koncert chóru Błagowiest z Rygi (Łotwa). Przesłuchania konkursowe rozpoczną się w środę 10 maja i potrwają do piątku, 12 maja. Początek o godz. 16 w soborze Świętej Trójcy. Ogłoszenie wyników nastąpi w sobotę 13 maja, koncerty galowe odbędą się w hajnowskim soborze Świętej Trójcy o godz. 15 i w białostockiej cerkwi Hagia Sophia o godz. 18.

W przesłuchaniach konkursowych wezmą udział chóry:

ŚRODA
„Stebło” z Grabówki koło Białegostoku, chór parafii św.św. Cyryla i Metodego z Wołkowyska na Białorusi, „Chabry” z Grodna na Białorusi, dziecięcy chór „Szyszkin Lies” z parafii Narodzenia św. Jana Chrzciciela w Hajnówce, chór parafii Wniebowzięcia Pańskiego z Orzeszkowa, chór parafii św. Aleksandra Newskiego w Sokółce, chór starszych klas gimnazjum artystycznego w Kamieńcu na Białorusi, chór parafii Zaśnięcia Najświętszej Marii Panny z Bielska Podlaskiego, chór dziecięcy soboru Świętej Trójcy w Hajnówce.

CZWARTEK
Kwintet „Dołgij Wieczer” z Hajnówki, zespół „Woskliknowienije” z Hajnówki, „Classik” z Mińska na Białorusi, „Mnohaja leta” z Kijowa na Ukrainie, chór młodzieżowy „Wozrożdzienije” z Homla na Białorusi, chór Ally Kamieńskiej z Zabłudowa, folklorystyczny chór szkoły sztuki z Kobuleti w Gruzji, chór soboru Świętej Trójcy w Hajnówce, chór z Supraśla.

PIĄTEK
Kameralny chór żeński im. św. Lidii z Warszawy, chór katedry Aleksandra Newskiego z Łodzi, zespół wokalny



„Cantus Delicium” z Pyrzyc, zespół wokalny muzyka.cerkiew.pl z Warszawy, chór archijerejski katedry Świętego Ducha z Mińska na Białorusi, chór gimnazjum artystycznego z Mohylewa na Białorusi, chór duchowieństwa diecezji grodzieńskiej z Białorusi, chór „Metropolitan Joseph Naniescu” z Jassy w Rumunii, zespół „Cantabile” z Kamienskoje na Ukrainie, chłopięcy chór z Charkowa na Ukrainie.

Organizatorzy, Stowarzyszenie „Miłośnicy Muzyki Cerkiewnej”, serdecznie zapraszają.

oprac. **ota**

ROCZNIKI PRZEGLĄDU OPRAWIAMY

Możemy oprawić bieżące roczniki Przeglądu Prawosławnego w cenie 70 zł za tom liczący 816 stron. Ofertę kierujemy głównie do bibliotek, zwłaszcza parafialnych. Ale i prywatni czytelnicy mogą w ten sposób mieć uporządkowany zbiór Przeglądów. Zamówienia zbieramy przez cały rok. Zamówienie można przesłać na adres redakcji (ulica Składowa 9, 15-399 Białystok, telefon 85 / 742 18 57, adres e-mail: redakcja@ przegladprawoslawny pl).

Oprawione tomy będzie można odebrać w redakcji albo zostaną wysłane pocztą. Koszt wysyłki pokrywa odbiorca.

Przegląd Prawosławny, miesięcznik
ISSN 1230-1078 Nr indeksu 371416

Wydawca
Fundacja im. Księcia Konstantego Ostrogskiego

Redaguje zespół w składzie
Michał Bołtryk, Eugeniusz Czykwin (redaktor naczelny)
Natalia Klimuk, Ałła Matreńczyk (sekretarz redakcji)
Anna Radziukiewicz (zastępca redaktora naczelnego), Dorota Wysocka

Stale współpracują
Sergiusz Borowik, Jarosław Charkiewicz
Doroteusz Fionik, o. Marek Ławreszuk, o. Włodzimierz Misijuk
Aleksander Naumow (Wenecja), Grzegorz Jacek Pelica, Anna Petrovska, o. Aleksy Petrovski
Anna Rydzanicz, o. Stanisław Strach

Opracowanie graficzne: Dorota Wysocka

Skład komputerowy: Halina Kierdelewicz

Adres redakcji: 15-399 Białystok, ul. Składowa 9
tel./fax (0048 – kier. z zagranicy) 85 742 18 57

E-mail: **redakcja@przegladprawoslawny.pl; www.przegladprawoslawny.pl**

Redakcja Przeglądu Prawosławnego działa na swoją odpowiedzialność.
Nie angażując autorytetu Cerkwi, stara się jej wiernie służyć

Materiałów niezamówionych redakcja nie zwraca, a także zastrzega sobie prawo skracania tekstów niezamówionych

Nakład: 5000 egz.

PRENUMERATA
„Przegląd Prawosławny" można zaprenumerować w urzędzie pocztowym na terenie kraju, u listonosza lub za pośrednictwem redakcji

Prenumerata za pośrednictwem redakcji (koszt egzemplarza i wysyłki):
miesięczna: Polska 8,60 zł; Europa 16,00 zł, USA i Kanada 19,00 zł, Australia 19,00 zł; **kwartalna:** Polska 25,80 zł, Europa 48,00 zł, USA i Kanada 57,00 zł, Australia 57,00 zł; **półroczna:** Polska 51,60 zł, Europa 96,00 zł, USA i Kanada 114,00 zł, Australia 114,00 zł; **roczna:** Polska 103,20 zł, Europa 192,00 zł, USA i Kanada 228,00 zł, Australia 228,00 zł. Przegląd można prenumerować poprzez PP Pocztę Polską (w urzędzie pocztowym lub u listonosza). Jest do kupienia w parafiach prawosławnych, kioskach Ruchu i sklepach spożywczych na Białostocczyźnie.

Dowód / pokwitowanie dla zleceniodawcy

Nr rachunku odbiorcy
98 1240 5211 1111 0010 3993 4278

Odbiorca:
Fundacja ks. Konstantego Ostrogskiego
ul. Składowa 9, 15-399 Białystok

Kwota: ....

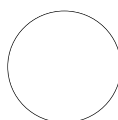
Wpłacający: ....

....

....

Zamawiam prenumeratę „Przeglądu Prawosławnego"

Podać okres prenumeraty:



....

Wpłata gotówkowa

F U N D A C J A K S. O S T R O G S K I E G O

ul. S K Ł A D O W A 9 1 5 - 3 9 9 B I A Ł Y S T O K

98 1 2 4 0 5 2 1 1 1 1 1 1 0 0 1 0 3 9 9 3 4 2 7 8

Numer rachunku odbiorcy:

Kwota PLN:

Kwota słownie:

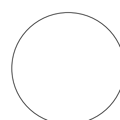
Imię i nazwisko zleceniodawcy:

Adres zleceniodawcy:

P r e n u m e r a t a P P

Tytułem:

Podać okres prenumeraty:



....
(opłata)

Dowód / pokwitowanie dla odbiorcy

Jeśli chcą Państwo wesprzeć działalność Fundacji, wpłat można dokonywać na konto:
Fundacja im. Księcia Konstantego Ostrogskiego, ul. Składowa 9, 15-399 Białystok

98 1240 5211 1111 0010 3993 4278

z dopiskiem „Wsparcie działalności statutowej”

E-wydanie Przeglądu Prawosławnego w prenumeracie

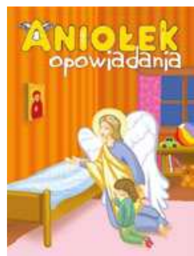
Roczna prenumerata e-wydania kosztuje 48 zł – 4 zł za jedno wydanie. Jak zaprenumerować e-wydanie? Wystarczy wpłacić odpowiednią kwotę na nasze konto (podane u góry), podać adres e-mailowy, a Przegląd w plikach PDF będziemy wysyłać zaraz po jego złożeniu.

Fundacja im. księcia Ostrogskiego poleca



Kim jesteśmy, skąd pochodzimy, dlaczego tak się nazywamy? W odpowiedzi na te pytania może nam pomóc książka prof. Michała Kondratiuka „Nazwy geograficzne i osobowe Białostocczyzny”. Prof. Michał Kondratiuk jest autorem ponad dwustu publikacji, w tym dziewięciu książek, dotyczących wielu zagadnień językoznawstwa słowiańskiego i bałtyckiego.
W książce znalazły się prace naukowe i popularnonaukowe, studia, artykuły, opracowania z zakresu toponimii i mikrotoponimii oraz antroponimii pogranicza polsko-wschodniosłowiańskiego. Pierwszy rozdział zawiera informacje o historii badanego terenu, jego osadnictwie, dziejach politycznych, drugi bada nazwy osobowe (imiona, nazwiska, przezwiska) Białostocczyzny, trzeci poświęcono nazwom miejscowym i terenowym badanego obszaru, ich powstaniu, historii, zmianom.

Cena u wydawcy 70 zł (w tym 5% VAT), z wysyłką 80 zł





Obie książeczki liczą po 16 stron. Są kolorowe, bogato ilustrowane, doskonałe do uczenia dzieci podstaw prawosławnej wiary.
Pierwsza uczy zasad chrześcijańskiej moralności poprzez pouczające opowiadania, druga przybliża w rebusach, zagadkach, krzyżówkach dwanaście najważniejszych w liturgicznym roku świąt. Jesteśmy przekonani, że obie książeczki są świetną pomocą dydaktyczną dla katechetów.
Pieniądze pozyskane ze sprzedaży książeczek będą wspierać dalsze wydawanie „Aniołka” jako bezpłatnego dodatku do Przeglądu Prawosławnego.

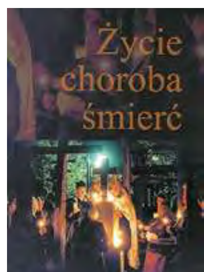
Cena kompletu u wydawcy 2 zł (w tym 5% VAT), z wysyłką 5



NIEŚĆ POKÓJ, KOCHAĆ LUDZI. Arcybiskup Miron, ordynariusz wojskowy, władyka hajnowski, pierwszy ihumen monasteru w Supraślu po jego odrodzeniu, zginął w katastrofie prezydenckiego samolotu pod Smoleńskiem. O hierarsze mówią duchowni, politycy, dyplomaci, dziennikarze. W książce przedstawiono też dzieje prawosławnego duszpasterstwa polowego. **Cena 15 zł (w tym 5% VAT), z wysyłką 22,30 zł**



Eseje o trzech twórcach wielkiej literatury rosyjskiej – Dostojewskim, Gogolu i Tołstoju – i bohaterach ich utworów, zawsze w kontekście ich relacji z Bogiem, poszukiwania i odrzucania, dróg wiodących ku zatraceniu i zmartwychwstaiu. **Cena książki w wydawnictwie 10 zł (w tym 5% VAT), z wysyłką 13 zł**



Wywiad z metropolitą Antonim Bloomem i jego rozważania, wypływające z doświadczeń jako lekarza i kapłana. Do książki dołączono panichidę za zmarłych i akatyst o *upokojenii usopszych*, po cerkiewnosłowiańsku, w transkrypcji na łacinkę i w przekładzie o. Stanisława Stracha.
Cena 10 zł (w tym 5% VAT), z wysyłką 13 zł



Zbiór wybranych artykułów, które „Przegląd Prawosławny” w ćwierćwieczu swego istnienia poruszał wiele razy, tu zebranych tematycznie w rozdziały. Teksty złożyły się na kompendium wiedzy o prawosławiu – jego historii, dziejach najnowszych, punktach zapalnych i duchowości.
Cena 10 zł (w tym 5% VAT), z wysyłką 15 zł

Książki kupować można bezpośrednio w wydawnictwie (Białystok, ul. Składowa 9, tel. 85 / 742 18 57)
albo wpłacając na konto Fundacji 98 1240 5211 1111 0010 3993 4278 z dopiskiem tytułu zamawianej pozycji

ZBLIŻENIA

ANDRZEJ. Lat 55, bez zobowiązań, przedsiębiorczy, pozna panią, najchętniej do stu kilometrów od Bielska Podlaskiego. Tel. 729 650 668

ANNA. Lat 65, pozna pana z centralnej Polski. Tel. 512 409 183

ASIA. Lat 36, wykształcenie wyższe, pozna pana w stosownym wieku. E-mail: matrioshka.pl@gmail.com

ATRAKCYJNA, wykształcona panna, pracująca w Warszawie, pozna ciekawego kawalera do lat 35. Tel. 607 532 193

JAN. Lat 57, wysoki, pozna odpowiedzialną panią w zbliżonym wieku. Tel. 507 427 369

KAWALER. Lat 33, z okolic Siemiatycz, z wyższym wykształceniem, pozna pannę od 25 do 33 lat. Tel. 536 560 079

PANNA. Lat 50, poszukuje przyjaciela, bratniej suszy. Bez nałogów. Tel. 572 026 626

PANNA, 44 lata, pozna pana w stosownym wieku, najlepiej mieszkańca Białegostoku, bez nałogów i zobowiązań, wrażliwego i tolerancyjnego, lubiącego dobrą książkę i kino, mile widziane wyższe wykształcenie. E-mail: nadzieja.2017@wp.pl.

PANNA. Lat 44, domatorka, po studiach, pozna odpowiedzialnego i pracującego pana bez nałogów i zobowiązań, najchętniej z Bielska Podlaskiego, Hajnówki lub Siemiatycz. E-mail:powazna.znajomosc@onet.pl

POZNAM panią w wieku 60-70 lat. Tel. 663 367 080

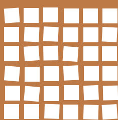
PRAWOSŁAWNY w średnim wieku, rozważny, dobrze sytuowany, pozna pannę w wieku od 25 do 33 lat. E-mail: prawoslawny_ja@wp.pl

BRACTWO TRZECH ŚWIĘTYCH HIERARCHÓW 28 i 29 maja organizuje pielgrzymkę do monasteru w Turkowicach. Wyjazd o godz. 7.00, godz. 8.00 – Bielsk Podlaski, godz. 8.40 – Siemiatycze, wizyta w Terespolu, Kostomłotach i Jabłecznej, udział we wsienoszcznom bdienii i Liturgii w Turkowicach, wyżywienie i nocleg na terenie monasteru. Możliwość przystąpienia do spowiedzi i Eucharystii. Powrót 29 maja około godz. 20.00. Koszt 180 zł. Zapisy pod tel. 883 772 000 do 20 maja.

Dzień Zwycięstwa w Białymstoku i województwie podlaskim

8-9 maja w Białymstoku i na terenie województwa podlaskiego odbędą się uroczystości z okazji Dnia Zwycięstwa, 72 rocznicy zakończenia drugiej wojny światowej w Europie. Zaprasza na nie Rosyjskie Stowarzyszenie Kulturalno-Oświatowe. Informacje o obchodach pod tel. 698 881 259 i e-mail: rsko_zswb-stoku@wp.pl, rsko@tlen.pl

FUNDACJA IM. KSIĘCIA KONSTANTEGO OSTROGSKIEGO



Fot. Anna Radziukiewicz

ISSN 1230-1078



KATEDRALNA CERKIEW NARODZENIA BOGARODZICY WE WROCŁAWIU